

Nowa powieść autorki bestsellera *WSZYSTKIE JASNE MIEJSCA*



JENNIFER NIVEN



PODTRZYMUJĄC



WSZECHŚWIAT



BUKOWY LAS

MYŚL
- NIK

Teraz rozumiem, że to jakaś okropna gra. „Przytul się do grubaski” albo „Przyklej się do grubej dziewczyny”. To jeszcze gorsze niż wyrzucenie z placu zabaw, ogarnia mnie taka wściekłość, że aż się cała trzęsę. Czuję, jak podwyższa się temperatura mojego ciała, on zapewne też to zauważa, w końcu jest do mnie przyczepiony, jakby był moją ręką albo nogą.

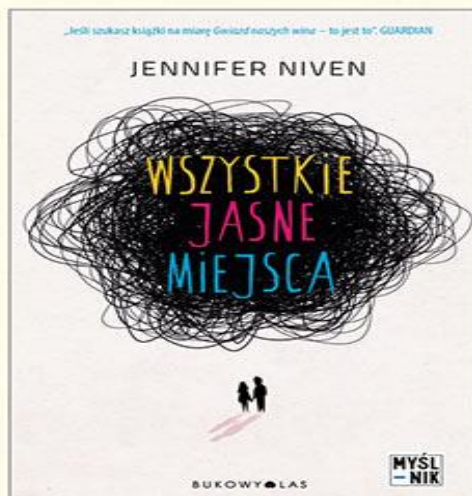
Myślę sobie: „Nie po to schudłam sto trzydzieści siedem kilo i zrezygnowałam z jedzenia pizzy oraz ciasteczek Oreo, żeby taki dupek poniżał mnie teraz w stołówce”.

– NIEEEEEEE! – Mój okrzyk brzmi jak ryk lwa.

Jak na tak chudego gościa jest naprawdę silny, muszę więc zebrać w sobie całą energię, żeby go oderwać jak plaster od rany.

A potem walę go w pysk.

Przeczytaj!



JENNIFER NIVEN

PODTRZYMUJĄC
WSZECHŚWIAT

przełożyła
Donata Olejnik

BUKOWY  LAS

Kerry, Louisowi, Angelo i Edowi,
którzy podtrzymują mój wszechświat,
oraz wszystkim moim czytelnikom
– jesteście dla mnie całym światem

– *Atticus, on był naprawdę porządny... [...]*

– *Przeważnie, Smyku, ludzie okazują się tacy, kiedy w końcu ich zobaczymy*[1].

Harper Lee

1 Harper Lee, *Zabić drozda*, przeł. Zofia Kierszys, Warszawa 1971. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

Nie jestem beznadziejnym człowiekiem, jednak za chwilę zrobię coś beznadziejnego. Zdaję sobie sprawę, że zniechęcisz mnie za to – Ty oraz inni ludzie – ale i tak to zrobię, żeby ochronić Ciebie oraz siebie.

Wiem, że to brzmi jak wymówka, ale mam coś, co się nazywa prozopagnozą, a co oznacza, że nie rozpoznaję twarzy, nawet moich najbliższych. Nawet mamy. Ba, nawet własnej.

Wyobraź sobie, że wchodzisz do pokoju pełnego obcych – ludzi, którzy nic dla Ciebie nie znaczą, ponieważ nie znasz ich imion ani historii. A potem wyobraź sobie, że idziesz do szkoły, pracy albo – co jeszcze gorsze – wracasz do własnego domu, a więc udajesz się w miejsca, w których powinnaś znać każdego człowieka. I że tam też wszyscy wyglądają na obcych.

Tak to właśnie jest w moim przypadku: wchodzę do pomieszczenia – obojętnie jakiego – i nikogo w nim nie znam. Poznaję ludzi po tym, jak chodzą. Po gestach. Po głosie. Po włosach. Uczę się ludzi za pomocą znaków szczególnych. Mówię sobie, że Dusty ma odstające uszy i rudawą fryzurę afro, a potem zapamiętuję te fakty, dzięki czemu łatwiej mi znaleźć mojego młodszego brata. Nie potrafię jednak wyczarować obrazu jego wielkich uszu i włosów, o ile nie stoi tuż przede mną. Zapamiętywanie ludzi jest jak supermoc, którą posiada każdy człowiek oprócz mnie.

Czy zostałem oficjalnie zdiagnozowany? Nie. I nie tylko dlatego, że zapewne coś takiego znacznie przekracza możliwości doktora Blume'a, pediatry w naszym mieście. I nie tylko dlatego, że moi rodzice od kilku lat mają kupę własnych problemów na głowie. A także nie tylko dlatego – o czym Ty akurat wiesz najlepiej – że trzeba unikać bycia dziwadłem. Główny powód jest taki: gdzieś w głębi duszy mam nadzieję, że to nieprawda. Że może to samo przejdzie. Na razie radzę sobie w następujący sposób:

Kiwam głową i uśmiecham się do wszystkich.

Jestem sympatyczny.

Jestem na topie.

Jestem cholernie zabawny.

Jestem duszą każdej imprezy, ale nie piję. Nie mogę ryzykować utraty kontroli (co zdarza się wystarczająco często na trzeźwo).

Zwracam na wszystko uwagę.

Robię, co jest konieczne. Bywam królem idiotów. Wszystko, byle tylko nie stać się ofiarą. Lepiej być myśliwym niż celem polowania.

Nie mówię ci tego, żeby się usprawiedliwiać za to, co zamierzam zrobić, ale mam nadzieję, że weźmiesz to pod uwagę. To jedyny sposób, żeby powstrzymać moich kumpli przed zrobieniem czegoś jeszcze gorszego, i jedyny sposób, żeby przerwać tę idiotyczną zabawę. Wiedz, że wcale nie chcę nikogo skrzywdzić, chociaż wiem, że to nieuniknione. Ale to nie jest motyw, który mną kieruje.

Z poważaniem,
Jack

PS Jesteś teraz jedyną osobą, która wie, co jest ze mną nie tak.

prozopagnozja *rzecz. ż.* 1. zaburzenie związane z niemożliwością rozpoznawania twarzy znajomych osób, zwykle w wyniku uszkodzenia mózgu; 2. kiedy każdy jest dla ciebie obcy.

18 GODZIN WCZEŚNIEJ



Gdyby z lampki nocnej wyskoczył teraz dżin, moje trzy życzenia brzmiałyby następująco: żeby żyła moja mama, żeby już nigdy nie zdarzyło się nic złego ani smutnego, żeby należeć do Martin Van Buren High School Damsels, najlepszej drużyny cheerleaderek w trzech sąsiadujących ze sobą stanach.

Ale co zrobić, jeśli nie chcą cię w tej drużynie?

Jest 3.38, to ta pora, w której mój umysł zaczyna latać jak oszalały – zupełnie jak mój kot George, kiedy był mały. Myk, i oto mój umysł wdrapuje się na firanki. Chwilę później zwisa z półki na regale. A potem wkłada łapę do akwarium i zanurza łepetynę w wodzie.

Leżę na łóżku, wpatruję się w ciemność, a mój umysł obija się po pokoju.

A co, jeśli znów zostaniesz uwięziona? Co, jeśli będą musieli zburzyć wejście do stołówki albo łazienki, żeby cię wydostać? Albo jeśli twój tato ponownie się ożeni, a potem umrze, a ty zostaniesz z jego nową żoną i przyrodnim rodzeństwem? Albo jeśli ty umrzesz? Jeżeli się okaże, że niebo nie istnieje i już nigdy nie zobaczysz mamy?

Każę sobie zasnąć. Zamykam oczy i leżę nieruchomo.

Bardzo nieruchomo.

Przez długie minuty.

Każę mojemu umysłowi leżeć razem ze mną, mówię mu: śpij, śpij, śpij.

A jeśli pójdziesz do szkoły i zdasz sobie sprawę, że wszystko się zmieniło i ludzie także? I chociaż będziesz się nie wiem jak starała, nigdy się z nimi nie zrównasz?

Otwieram oczy.

Nazywam się Libby Strout i zapewne o mnie słyszeliście. Najprawdopodobniej oglądaliście nagranie z akcji ratowania mnie z mojego własnego domu. Kiedy ostatnio sprawdzałam, obejrzało je 6 345 981 osób; istnieje spora szansa, że do nich należycie. Trzy lata temu byłam „najgrubszą nastolatką w Ameryce”. W najgorszym momencie ważyłam dwieście dziewięćdziesiąt sześć kilogramów, czyli około dwustu dwudziestu sześciu kilogramów za dużo. Jednak nie zawsze byłam taka gruba. Mówiąc krótko, moja mama zmarła, ja przytyłam, ale nadal tu jestem. I to nie jest wina mojego taty.

Dwa miesiące po tym, jak zostałam uratowana, przeprowadziliśmy się do innej dzielnicy po drugiej stronie miasta. Teraz mogę już sama wychodzić z domu. Schudłam sto trzydzieści siedem kilo, masę dwóch osób z krwi i kości. Zostało mi jeszcze jakieś osiemdziesiąt parę do zrzucenia, ale spoko. Lubię siebie taką, jaka jestem. Przede

wszystkim teraz mogę biegać. Jeździć samochodem. Kupować ciuchy w centrum handlowym bez konieczności sprowadzania ich na specjalne zamówienie. Mogę się też okręcać. Nie licząc tego, że pozbyłam się wreszcie strachu o niewydolność jakiegoś narządu, to chyba najlepsza zmiana ze wszystkich.

Jutro będzie mój pierwszy dzień w szkole od czasu piątej klasy. Mój nowy status brzmi „uczennica trzeciej klasy liceum”, co – nie czarujmy się – wygląda znacznie lepiej niż „najgrubsza nastolatka w Ameryce”. Ale i tak jestem PRZERAŻONA.

Czekam na atak paniki.



Caroline Lushamp dzwoni, zanim jeszcze rozlegnie się dźwięk budzika. Wiem, że cokolwiek ma mi do powiedzenia, nie będzie to nic dobrego i wszystko na pewno jest moją winą.

Dzwoni trzykrotnie, ale zostawia tylko jedną wiadomość. Już mam ją wykasować bez odsłuchania, ale może zepsuł jej się samochód i ma problemy? W końcu to dziewczyna, z którą chodzę nieregularnie od czterech lat. (Tak, taką właśnie jesteśmy parą. Zrywamy ze sobą, a potem się schodzimy i wszyscy zakładają, że będziemy razem na wieki).

– Jack, to ja. Wiem, że zrobiliśmy sobie przerwę od siebie, ale to moja kuzynka. KUZYNKA. Rozumiesz? Gratulacje, jeśli to miała być zemsta za to, że z tobą zerwałam, ale naprawdę, kretynie, tym razem przesadziłeś. Jeżeli zobaczysz mnie dzisiaj w klasie, na korytarzu, w stołówce CZY W JAKIMKOLWIEK INNYM MIEJSCU, nie odzywaj się do mnie. A największą przysługę zrobiłbyś mi wtedy, gdybyś poszedł do diabła!

Trzy minuty później dzwoni jej kuzynka. Początkowo wydaje mi się, że płacze, ale potem słyszę głos Caroline w tle. Kuzynka zaczyna krzyczeć, Caroline zaczyna krzyczeć. Usuwa wiadomość.

Dwie minuty później Dave Kaminski przysyła esemesa, ostrzegając, że Reed Young zamierza skopać mi dupę, bo całowałem się z jego dziewczyną. Odpisuję mu, dziękując za ostrzeżenie. Naprawdę jestem mu wdzięczny. Kam ratował mi tyłek znacznie częściej niż ja jemu.

A całe to zamieszanie o dziewczynę, która – powiedzmy sobie szczerze – jest tak podobna do Caroline Lushamp, że przynajmniej na początku sądziłem, że to ona. Czyli Caroline powinna czuć się zaszczycona, bo to tak, jakbym obwieszczał światu, że chcę do niej wrócić, chociaż w pierwszym tygodniu wakacji rzuciła mnie dla Zacha Higginsa.

Zastanawiam się, czy do niej nie napisać, ostatecznie jednak wyłączam telefon i zamykam oczy, żeby się przekonać, czy uda mi się wrócić myślami do lipca. Wtedy miałem na głowie tylko pracę, przeszukiwanie miejscowego złomowiska, tworzenie (zajebistych) projektów w moim (rewelacyjnym) warsztacie i spędzanie czasu z braćmi. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby znów równało się tylko: Jack + złomowisko + rewelacyjny warsztat + zajebiste projekty.

Nie trzeba było leżeć na tę imprezę. Nie trzeba było pić. Wiesz dobrze, że nie można

ci zaufać. Unikaj alkoholu. Unikaj tłumów. Bo tylko wszystkich wkurzysz.



Jest 6.33 rano, już nie śpię. Stoję przed lustrem. Był taki czas, niecałe dwa lata temu, kiedy nie mogłam, nie chciałam na siebie patrzeć. Zamiast swojego odbicia widziałam skrzywioną twarz Moseesa Hunta, który wrzeszczy na całe boisko:

– Nikt cię nie pokocha, bo jesteś taka gruba!

A potem wszystkie twarze pozostałych czwartoklasistów, którzy na te słowa wybuchnęli śmiechem.

– Jesteś taka wielka, że zasłaniasz księżyc. Wracaj do domu, Flabby Stout[2], wracaj do swojego pokoju...

Dzisiaj widzę głównie siebie – śliczną granatową sukienkę, tenisówki. Oraz odbicie gigantycznego brudnego kociego kłębka. George wpatruje się we mnie swoimi mądrymi złocistymi oczami, a ja próbuję sobie wyobrazić, co mógłby do mnie powiedzieć. Cztery lata temu zdiagnozowano u niego niewydolność serca. Weterynarz dał mu sześć miesięcy życia. Ja jednak dobrze znam George'a i wiem, że odejdzie wtedy, kiedy uzna, że przyszła pora. Teraz mruga do mnie z łóżka.

Myślę, że w tej chwili kazałby mi oddychać. Więc oddycham. Od pewnego czasu jestem w tym naprawdę dobra.

Spoglądam na swoje dłonie: nie trzęsą się, chociaż paznokcie mam obgryzione do żywego mięsa. Co dziwne, jestem całkiem spokojna, zważywszy na okoliczności. Uświadamiam sobie, że atak paniki jednak nie nadszedł – muszę to uczcić. Włączam jedną ze starych płyt po mamie i zaczynam tańczyć. Najbardziej na świecie kocham taniec i to właśnie zamierzam robić w życiu. Od czasu, kiedy skończyłam dziesięć lat, nie chodzę na lekcje, ale taniec mam w sobie i żaden brak treningów mi tego nie odbierze.

Thumaczę sobie: może w tym roku uda ci się zgłosić się do Damsels.

Mój umysł zatrzymuje się na ścianie i tkwi tam rozdygotany jak galareta. A jeśli nigdy do tego nie dojdzie? Jeśli umrzesz, zanim w twoim życiu wydarzy się cokolwiek dobrego, cudownego albo pięknego? Przez ostatnie dwa i pół roku martwiłam się tylko o jedno: żeby przeżyć. Każda osoba w moim życiu, łącznie ze mną, skupiała się na jednym: musimy zrobić wszystko, żeby ci się polepszyło. A teraz mi się polepszyło. Co będzie, jeśli sprawię im zawód po tym, jak zainwestowali we mnie tyle czasu i wysiłku?

Tańczę jeszcze intensywniej, żeby stłumić te wszystkie myśli. W końcu tata zaczyna łomotać do drzwi, a chwilę później ukazuje się jego głowa.

– Skarbie, wiesz, że uwielbiam Pat Benatar o poranku, ale pytanie, co powiedzą sąsiedzi.

Ściszam muzykę, jednak nie przestaję tańczyć. Kiedy piosenka dobiega końca, biorę marker i ozdabiam jeden but. „Przez całe nasze życie coś gdzieś na nas czeka

i nawet jeśli jest to coś złego i my wiemy, że to jest coś złego, to cóż wówczas możemy zrobić? Trudno przecież przestać żyć”[3]. (To Truman Capote, *Z zimną krwią*). A potem wyjmuję szminkę, którą dostałam od babci na urodziny, pochylam się do lustra i maluję usta na czerwono.

2 Gra słów: Libby Strout – Flabby Stout. *Flabby* – ang. sflaczały, *stout* – ang. przysadzisty, korpulentny.

3 Truman Capote, *Z zimną krwią*, przeł. Krzysztof Filip Rudolf, Poznań, Dom Wydawniczy Rebis, 2005.



Słyszę szum wody pod prysznicem i głosy na dole. Zakrywam twarz poduszką, ale jest już za późno – obudziłem się.

Włączam telefon i piszę esemesy: najpierw do Caroline, potem do Kama i Reeda Younga. Wszystkim tłumaczę, że strasznie się upiłem (przesadzam), było bardzo ciemno (prawda) i nie pamiętam niczego, ponieważ nie dość, że byłem pijany, to jeszcze zestresowany.

W mojej rodzinie jest ostatnio gówniana sytuacja, o czym nie chcę chwilowo rozmawiać, więc jeśli możesz mi wybaczyć, na zawsze pozostanę Twoim dłużnikiem.

To o gównianej sytuacji jest akurat szczerze.

Do wiadomości adresowanej do Caroline dorzucam jeszcze parę komplementów i prośbę, by przeprosiła w moim imieniu kuzynkę. Piszę, że wolę nie robić tego osobiście, żeby jeszcze bardziej wszystkiego nie zagmatwać, a poza tym nie chcę psuć tego, co jest między nami. Chociaż to Caroline ze mną zerwała, chociaż nie spotykamy się od czerwca, kajam się jak głupi. To cena, jaką przychodzi mi zapłacić za próbę uszczęśliwienia wszystkich dookoła.

Zwlekam się z łóżka i idę do łazienki. Marzy mi się długi, gorący prysznic, ale świat ma dla mnie tylko wąską stróżkę ciepłej wody, a potem kaskadę lodowatości. Sześćdziesiąt sekund później – bo tylko tyle jestem w stanie wytrzymać – wychodzę, wycieram się i staję przed lustrem.

A więc tak wyglądam.

Zawsze to myślę, gdy widzę swoje odbicie. Ale nie: „Cholera, to ja”. Raczej: „Hm. No dobrze. Co my tu mamy?”. Przysuwam się bliżej, próbuję złożyć elementy mojej twarzy w całość.

Chłopak w lustrze nie jest brzydki – wysokie kości policzkowe, silnie zarysowana szczęka, kąciki ust lekko uniesione, jakby właśnie opowiedział kawał. To coś graniczącego z przystojnością. Przechyliła głowę do tyłu i spogląda spod półprzymkniętych powiek, jakby zwykle na wszystkich patrzył z góry. Jakby był inteligentny i doskonale sobie z tego zdawał sprawę. W którymś momencie uświadamiam sobie, że tak naprawdę wygląda jak kretyn. Nie licząc może oczu. Są zbyt poważne, podkrążone, jakby miał problemy ze snem. Ma na sobie tę samą koszulkę z Supermanem,

którą nosi od początku lata.

Co znaczą te usta (jak u mamy) w połączeniu z tym nosem (też jak u mamy) i tymi oczami (połączenie oczu obojga rodziców)? Mam brwi ciemniejsze od włosów, ale i tak są jaśniejsze niż brwi taty. Moja skóra ma średniobrazowy kolor, nie taki ciemny jak skóra mamy, ale i nie jasny jak karnacja taty.

Jeszcze jedna rzecz zupełnie tu nie pasuje: włosy. Mam potężną lwią grzywę afro, która sprawia wrażenie, jakby robiła, co jej się żywnie podoba. Jeśli ten chłopak w lustrze jest taki jak ja, z pewnością wszystko sobie kalkuluje. Nawet jeśli nie daje rady zapanować nad fryzurą, nie bez powodu zapuścił włosy: zrobił to, żeby zawsze mógł z łatwością siebie odnaleźć.

W połączeniu tych wszystkich elementów na twarzy jest coś, co pozwala ludziom się rozpoznawać. Coś, co sprawia, że mówią: „O, to Jack Masselin”.

– Czym się wyróżniasz? – pytam swoje odbicie. Chodzi mi o coś prawdziwego, nie o to gigantyczne afro na głowie. Wpadam w zadumę, ale przerywa mi wyraźne parsknięcie, a potem coś chudego przemyka mi za plecami. To chyba mój brat Marcus.

– Mam na imię Jack i jestem taki śliczny – śpiewa, zbiegając po schodach.

PIĘĆ NAJBARDZIEJ ZAWSTYDZAJĄCYCH RZECZY W MOIM ŻYCIU

Jack Masselin

1. Kiedy mama przyszła mnie odebrać z przedszkola (po wizycie u fryzjera), a ja przed nauczycielką, wszystkimi dziećmi i rodzicami, a także dyrektorką oskarżyłem ją, że chce mnie porwać.

2. Kiedy włączyłem się do gry w nogę w Reynolds Park i przez cały czas podawałem piłkę do drużyny przeciwnej, ustanawiając tym samym rekord w kategorii „najbardziej katastrofalny i poniżający debiut stulecia”.

3. Kiedy chodziłem na rehabilitację do naszego szkolnego fizjoterapeuty ze względu na kontuzję barku i spotkanego w supermarkecie faceta wziąłem za mojego trenera koszykówki i powiedziałem mu, że przydałby mi się jeszcze jeden masaż. Jak się okazało, to był pan Temple, szef mojej mamy.

4. Kiedy zalecałem się do Jesselle Villegas, po czym się okazało, że to pani Arbulata, która przyszła do naszej klasy na zastępstwo.

5. Kiedy całowałem się z Caroline Lushamp, a to była jej kuzynka.



Nie mam prawa jazdy, więc do szkoły zawozi mnie tata. Jedną z rzeczy, jakich nie mogę się doczekać w tym roku szkolnym, jest szkolny kurs na prawko. Czekam, aż tata obdarzy mnie jakąś mądrością, złotą radą albo motywującą przemową, ale on zdobywa się tylko na dwa krótkie zdania:

– Dasz radę, Libbs. Będę na ciebie czekał, kiedy to się skończy.

W jego ustach brzmi to złowieszczo, jak początkowa scena w horrorze. Tata się uśmiecha – to z kolei uśmiech, którego na pewno uczą na filmikach instruktażowych dla rodziców. Nerwowy uśmiech osoby, która kąciki ust ma przyklejone taśmą do policzków. Też się uśmiecham.

Co, jeśli utknę za ławką? Albo będę musiała siedzieć w stołówce sama i nikt się do mnie nie odezwie do końca roku?

Mój tata to duży, przystojny facet. Sól tej ziemi. Jest mądry (zajmuje się bezpieczeństwem komputerowym w dużej firmie informatycznej). Ma miękkie serce. Kiedy uwolnili mnie z naszego domu, przeżył naprawdę ciężkie chwile. Dla mnie to było okropne, ale dla niego chyba jeszcze gorsze, zwłaszcza że oskarżano go o zaniedbanie i znęcanie się nade mną. Dziennikarze nie wyobrażali sobie, jak mógł doprowadzić mnie do takiego stanu. Nie mieli jednak pojęcia o lekarzach, do których mnie zabierał, o dietach, jakie próbował mi wdrożyć, choć przecież przez cały czas opłakiwał zmarłą żonę. Nie widzieli jedzenia, które chowałam przed nim pod łóżkiem i w zakamarkach szafy. Nie mogli przypuszczać, że jeśli raz sobie coś postanowię, nic mnie od tego nie odwiedzie. A ja postanowiłam, że będę jadła.

Początkowo nie chciałam rozmawiać z dziennikarzami, ale w którymś momencie stwierdziłam, że czas pokazać światu, że mam się dobrze, a mój tata nie jest czarnym charakterem, jakim go zrobili. Że nie ładuje we mnie ciastek i cukierków, żeby mnie od siebie uzależnić, jak to było w przypadku sióstr z *Przekleństw niewinności*. Tak więc wbrew życzeniom taty udzieliłam jednego wywiadu stacji z Chicago, a wywiad okrążył pół Ziemi.

* * *

Mój cały świat runął, gdy miałam dziesięć lat. Zmarła moja mama, co było wystarczającą tragedią, a zaraz potem stałam się ofiarą rówieśników. Wcześniej zaczęłam

dojrzewać i nagle miałam wrażenie, że moje ciało jest dla mnie za duże. Nie zrzucam tym samym winy na kolegów, w końcu byliśmy tylko dziećmi. Chcę tylko podkreślić, że w grę wchodziło kilka czynników – prześladowania połączone z utratą najważniejszej osoby w życiu, a do tego ataki paniki za każdym razem, gdy wychodziłam z domu. I przez cały ten czas mój tata stał za mną murem.

* * *

– Wiedziałaś, że Pauline Potter, najcięższa kobieta na świecie, schudła czterdzieści pięć kilogramów dzięki maratonowi seksu?

– Żadnego seksu do trzydziestego roku życia! – grozi mi tata. Zobaczymy. W końcu cuda się zdarzają. Być może jeden z tych dzieciaków, które mnie wyzywały na boisku, w końcu dojrzał i zrozumiał swój błąd. Może nawet wyrósł na sympatyczną osobę. Albo na jeszcze gorszą. Każda książka, którą czytam, i każdy oglądany przeze mnie film dają czytelny przekaz: szkoła średnia to najgorsze doświadczenie w życiu każdego człowieka.

A jeśli niechcący kogoś skrytykuję i zostanę Pyskatą Grubaską? Albo jakaś chudzinka przygarnie mnie do siebie z najlepszymi intencjami i zostanę Grubą Przyjaciółką? Albo szybko stanie się jasne, że nauka w domu przygotowała mnie do gimnazjum, a nie do trzeciej klasy liceum i jestem zbyt głupia, żeby cokolwiek zrozumieć?

– Masz tylko przeżyć dzisiejszy dzień, Libbs. Jeśli się okaże, że to katastrofa, wrócimy do nauki w domu. Daj mi tylko jeden dzień. A właściwie nie dawaj go mnie – daj go samej sobie.

Mówię sobie: „Tylko dzisiaj”. Powtarzam: „O tym właśnie marzyłaś, kiedy za bardzo się bałaś, żeby wyjść z domu. O tym marzyłaś, gdy przez sześć miesięcy leżałaś przykuta do łóżka. Tego chciałaś – wyjść na świat, jak wszyscy inni. Było potrzeba dwa i pół roku obozów odchudzających, psychologów, terapeutów, lekarzy i trenerów osobowości, żeby cię do tego przygotować. W ciągu ostatnich dwóch i pół roku robiłaś dziesięć tysięcy kroków dziennie. Wszystkie prowadziły do tej chwili”.

Nie umiem prowadzić samochodu.

Nigdy nie byłam na tańcach.

Opuściłam całe gimnazjum.

Nigdy nie miałam chłopaka, chociaż kiedyś całowałam się z takim jednym na obozie odchudzającym. Ma na imię Robbie i właśnie powtarza ostatnią klasę szkoły średniej gdzieś w Iowa. Nie licząc mojej mamy, nigdy nie miałam prawdziwych przyjaciół – oprócz tych, których sobie wymyśliłam: trzech braci mieszkających naprzeciwko mojego dawnego domu. Nazwałam ich Dean, Sam i Castiel, bo chodzili do prywatnej szkoły, a nie znałam ich prawdziwych imion. Udawałam, że są moimi kolegami.

Tata wygląda na tak zdenerwowanego i pełnego nadziei, że biorę plecak i wysiadam. Staję na chodniku przed szkołą, wymijają mnie ludzie.

A co, jeśli spóźnię się na lekcje, bo będę za wolno chodziła, zostanę za karę po lekcjach, gdzie spotkam jedynych chłopaków, jacy zwrócą na mnie uwagę –

nieudaczników i młodych bandytów – po czym zakocham się w jednym z nich, znajdę w ciąży, rzucę naukę i zamieszkać z tatą do końca życia, a przynajmniej do czasu, kiedy moje dziecko skończy osiemnaście lat?

Już prawie wracam do samochodu, ale tata ma taką nadzieję wypisaną na twarzy, że rezygnuję.

– Dasz radę – mówi, tym razem głośniejszym głosem, i przysięgam – pokazuje mi uniesiony kciuk.

Dlatego właśnie miesza się z tłumem i pozwalam mu się unosić aż do wejścia. Tam muszę poczekać na swoją kolej, otworzyć plecak, żeby strażnik mógł go sprawdzić, i przejść przez bramkę. Wychodzę na korytarz, który rozgałęzia się na wszystkie możliwe kierunki, jestem popychana i potrącana. Może gdzieś w tej szkole znajduje się chłopak, w którym się zakocham. Może jeden z tych tutaj ukradnie mi serce. Jestem Pauline Potter ze szkoły Martin Van Buren. Reszty nadwagi pozbędę się dzięki ciąglemu seksowi. Przyglądam się mijającym mnie chłopakom. Może to będzie ten? Albo tamten? Na tym polega piękno tego świata. W tej chwili ci chłopcy nic dla mnie nie znaczą, ale wkrótce się poznamy i nasze życie ulegnie zmianie.

– Rusz się, gruba dupo – mówi ktoś. Czuję ukłucie, jakby ktoś potraktował mnie szpilką, jakby świat próbował przekłuć mój entuzjazm tak, jak się przekłuwa balon. Ruszam przed siebie. Moje rozmiary mają przynajmniej ten plus, że z łatwością toruję sobie drogę.



Nie tylko włosy są częścią mojego wizerunku, także samochód. To odnowiony land rover z 1968 roku, kupiliśmy go z Marcusem od starego wujka. Początkowo był wykorzystywany do pracy na farmie, potem przez jakieś czterdzieści lat już tylko rdzewiał. Obecnie to po części jeep, po części quad i w stu procentach zajebisty wóz.

Marcus siedzi na miejscu pasażera i się wkurza.

– Dupek – marudzi. Po cichu, do szyby. Niestety dla mnie, miesiąc temu dostał prawo.

– Jesteś słodki. Mam nadzieję, że liceum nie odbierze ci tego chłopięcego uroku. Będiesz mógł jeździć za rok, kiedy wyjadę na studia.

Jeśli pójdę na studia. Jeśli stąd wyjadę.

Marcus pokazuje mi środkowy palec. Nasz młodszy brat Dusty siedzi z tyłu i kopie w siedzenie.

– Przestańcie się kłócić.

– A kto tu się kłóci, młody?

– Gadacie jak mama i tata. Podgłośnij muzykę.

Jeszcze dwa lata temu moi rodzice całkiem dobrze się ze sobą dogadywali. Potem jednak tata zachorował na nowotwór. Tydzień przed diagnozą odkryłem, że zdradza mamę. On nie wie, że ja wiem, ja nie jestem pewien, czy mama zdaje sobie z tego sprawę. Czasami się nad tym zastanawiam. Teraz jest zdrowy, ale to wszystko nie było łatwe, zwłaszcza dla Dusty'ego, który ma dopiero dziesięć lat.

Daję głośniejsze, leci akurat stary kawałek: *SexyBack* Justina Timberlake'a. Wkraczam w moją bezpieczną strefę. Mam takie cztery piosenki, które chciałbym słyszeć za każdym razem, gdy wchodzę do jakiegoś pomieszczenia. To jedna z nich.

* * *

Podjeżdżamy pod podstawówkę, Dusty wyskakuje, wybiegam za nim, zabierając kluczyki, żeby Marcus nie mógł mi odjechać.

Tego lata Dusty zaczął nosić torebkę. Nikt nic o tym nie mówi – ani rodzice, ani Marcus. Dusty jest już w połowie korytarza, kiedy go w końcu doganiam. Nie mogę spuszczać z niego wzroku, w przeciwnym razie go zgubię. Ma najciemniejszą karnację z nas trzech i włosy w kolorze miedzianym. Stoją na wszystkie strony, tak jak moje.

Teoretycznie rzecz biorąc, mama jest w połowie Afroamerykanką, w połowie Kreolką z Luizjany, a tata jest biały i ma żydowskie pochodzenie. Dusty odziedziczył kolor skóry po mamie, za to Marcus jest biały jak śnieg. A ja? Ja jestem Jack Masselin, cokolwiek to oznacza.

– Nie chcę się spóźnić – mówi Dusty.

– Nie spóźnisz się. Ja tylko chciałem... Jesteś pewien tej torebki, młody?

– Podoba mi się. Wszystko się do niej mieści.

– Mnie też się podoba, to zajebista torebka. Ale nie jestem pewien, czy inni podzielą nasze zdanie. Możesz spotkać dzieciaki, które tak ci będą jej zazdrościć, że zaczną się wyśmiewać. – Widzę około dziesięciu potencjalnych kandydatów. Właśnie nas wymijają.

– Nie będą mi zazdrościć. Pomyślą, że jestem dziwny.

– Nie chciałbym, żeby ktoś ci dokuczał.

– Jeśli chcę nosić torebkę, to będę ją nosić. Nie przestanę tylko dlatego, że im się to nie podoba.

W tym momencie ten chudy dzieciak z wielkimi uszami jest moim bohaterem. Patrzę, jak odchodzi, wyprostowany, z podniesioną głową. Chciałbym iść za nim krok w krok i pilnować, żeby nic mu się nie stało.

SIEDEM POTENCJALNYCH ZAWODÓW DLA OSÓB Z PROZOPAGNOZJĄ

Jack Masselin

1. Pasterz (zakładając, że nierozpoznawanie twarzy nie dotyczy także psów i owiec).
2. Pracownik pobierający opłaty na autostradzie (zakładając, że nikt znajomy tamtędy nie jeździ).
3. Gwiazda rocka/członek boysbandu/gracz NBA lub coś w tym stylu (ludzie spodziewają się gigantycznego ego, więc nikt nie będzie zdziwiony, że go nie pamiętasz).
4. Pisarz (najbardziej zalecany zawód dla osób z zaburzeniami lękowymi).
5. Osoba wyprowadzająca lub tresująca psy (patrz punkt pierwszy).
6. Pracownik zakładu pogrzebowego balsamujący zwłoki (tylko że mógłbym je pomylić).
7. Pustelnik (idealna praca, choć kiepskie zarobki).



Toruję sobie drogę do pierwszej sali, gdzie siadam jak najbliżej drzwi. To na wypadek, gdybym jednak chciała uciec. Ledwo się mieszczę w ławce. Mam wilgotne plecy, serce mi łomocze. Nikt tego jednak nie zauważa, a przynajmniej mam taką nadzieję, bo chyba nie ma nic gorszego niż łąka tłustej, spoconej dziewczyny. Klasa powoli się zapełnia, niektórzy się na mnie gapią. Parę osób śmieje się pod nosem. Nie rozpoznaję nikogo z wcześniejszych lat.

Szkoła jest taka, jak się spodziewałam, a nawet bardziej. Po pierwsze, chodzi do niej około dwóch tysięcy osób, więc panuje tu niezły chaos. Po drugie, nikt nie wygląda jak idealni i wypielęgnowani aktorzy z seriali o szkołach średnich. Prawdziwi nastolatki nie mają dwudziestu pięciu lat. Jedni zmagają się z pryszczami i przetłuszczającymi się włosami, inni mają piękną cerę i włosy, widać wszystkie możliwe rozmiary i kształty. Wolę taką prawdziwą wersję nastolatków, nie telewizyjną, chociaż w tej chwili czuję się jak aktorka odgrywająca swoją rolę. Jestem rybą wyjętą z wody, nową uczennicą w wielkiej szkole.

Jak to się skończy?

Uznaję, że po prostu jestem czystą kartką. Zaczynam od nowa. Cokolwiek się zdarzyło, gdy miałam jedenaście, dwanaście, trzynaście lat, teraz już nie istnieje. Jestem inna. Oni też są inni, przynajmniej z zewnątrz. Może nie będą pamiętać, kim byłam. Nie zamierzam im tego przypominać.

Patrzę im prosto w oczy i uśmiecham się do nich typowym uśmiechem mojego taty: podnosząc delikatnie kąciki ust. To dla nich zaskoczenie. Parę osób odpowiada uśmiechem, a siedzący obok chłopak wyciąga rękę.

– Mick.

– Libby.

– Przyjechałem z Kopenhagi. To wymiana międzynarodowa. – Mimo kruczoczarnych włosów przypomina wikinga. – Jesteś z Amos?

Mam ochotę powiedzieć: „Ja też jestem z wymiany. Przyjechałam z Australii. Jestem z Francji”. Ale jedyni chłopcy, z którymi rozmawiałam w ciągu ostatnich pięciu lat, to byli moi towarzysze z obozów odchudzających, więc tylko kiwam głową.

Mick mówi, że początkowo nie był pewien, czy tu przyjechać, ale w końcu uznał, że poznanie samego serca Stanów będzie ciekawym doświadczeniem. Zobaczy, „jak żyje

większość Amerykanów”. Cokolwiek to znaczy.

– Co ci się najbardziej podoba w Indianie? – udaje mi się z siebie wydusić.

– To, że potem wracam do domu.

Wybuchają śmiechem, więc i ja się śmieję. W tej samej chwili do klasy wchodzi dwie dziewczyny i ich wzrok natychmiast pada na mnie. Jedna szepcze coś do drugiej, siadają przed nami. Jest w nich coś znajomego, czego nie potrafię niczemu przyporządkować. Może znałam je wcześniej. Czuję mrowienie na skórze, znowu pojawia się ten strach rodem z horroru. Zerkam na sufit, sprawdzam, czy przypadkiem za chwilę nie spadnie mi na głowę fortepian. Bo wiem, że jakiś atak musi nastąpić. Zawsze następuje.

Tłumaczę sobie, że muszę dać szansę Mickowi, tym dziewczynom, całemu dzisiejszemu dniu, a przede wszystkim – sobie. W końcu straciłam mamę, zajadłam się niemal na śmierć, żeby mnie wyciągnąć z domu, trzeba było zburzyć ścianę, a wszystkiemu przyglądały się całe Stany, przeszłam przez reżimy ćwiczeniowe, niezliczone diety, obozy odchudzające, stałam się powodem powszechnego rozczarowania i adresatką nienawistnych maili od zupełnie obcych ludzi.

To obrzydliwe, że można się aż tak zapuścić, to obrzydliwe, że twój ojciec nic z tym nie zrobił. Mam nadzieję, że przeżyjesz i wyprostujesz to wszystko z Bogiem. Ludzie głodują na całym świecie, wstyd, że ty tyle jesz, podczas gdy inni nie mają co do garnka włożyć.

Tak więc pytam was, co może mnie spotkać takiego w szkole średniej, co jeszcze dotąd mnie nie spotkało?



Wjeżdżamy na parking i zajmujemy ostatnie wolne miejsce w pierwszym rzędzie samochodów. Mamy jeszcze minutkę do rozpoczęcia lekcji. Marcus upuszcza telefon, pochyla się, a kiedy się podnosi, jest tak, jakby był zupełnie nową osobą. Jakby rysunek na znikopisie mojego mózgu został wymazany i teraz muszę zaczynać od początku:

Kudłaty łeb + szpiczasta broda + dwupółmetrowe żyrafie nogi = Marcus.

Land rover się zatrzymuje, a on od razu wyskakuje na zewnątrz i woła swoich kumpli. Chcę powiedzieć: „Zaczekaj na mnie. Nie zostawiaj mnie samego”. Chciałbym chwycić go za rękę i trzymać, żeby mi nie uciekł. Zamiast tego wbijam w niego wzrok i nie mrugam, bo boję się, że wtedy zniknie. Ale on wtapia się w tłum i idzie do szkoły jak członek wielkiego stada.

W świecie zwierząt istnieją zabawne nazwy grup osobników. Kolonia bobrów. Kierdel owiec. Klan hien. I moje ulubione: litwa kawek. Jak można by nazwać tę grupę? Horda nastolatków? Sfora uczniów? Dla zabawy lustruję twarze, szukając mojego brata. Równie dobrze mógłbym jednak próbować znaleźć ulubionego niedźwiadka polarnego w całej ich gromadzie.

Siedzę przez trzydzieści sekund, napawając się samotnością. 30. 29. 28. 27...

W ciągu tych trzydziestu sekund myślę o wszystkim, o czym nie pozwolę sobie myśleć przez następne osiem godzin. Ta śpiewka zawsze zaczyna się tak samo:

Mam spierdolony umysł...



Dwadzieścia minut po rozpoczęciu lekcji nikt się na mnie nie gapi. Nasza nauczycielka, pani Belk, cały czas opowiada, a ja jak dotąd za wszystkim nadążam. Mick szepcze błyskotliwe komentarze, żeby mnie rozbawić, a tym samym staje się moim najlepszym kumplem albo potencjalnym chłopakiem, albo gościem, który pomoże mi zrzucić resztę kilogramów za pomocą seksu.

To twoje miejsce tak samo jak ich. Nikt cię nie zna. Nikogo nie obchodzisz. Dasz radę, dziewczyno. Nie uważaj siebie za nie wiadomo co, dasz radę, myślę sobie.

A potem śmieję się z tego, co powiedział Mick, i coś wylatuje mi z nosa i ląduje na jego zeszytcie.

– Proszę o spokój – mówi pani Belk. I dalej nawija. Wbijam w nią wzrok, ale nadal widzę Micka kątem oka. Nie jestem pewna, czy zauważył, czym w niego strzeliłam, ale boję się popatrzeć. Błagam, nie zauważ tego.

Mick dalej szepcze, jakby nic się nie stało, jakby świat wcale nie miał się za chwilę skończyć, ale ja chciałabym jedynie zamknąć oczy i umrzeć. Nie tak to sobie wyobrażałam, gdy leżałam wczoraj wieczorem w łóżku i wizualizowałam mój wielki powrót do świata nastolatków.

Może Mick uzna, że to jakaś dziwna amerykańska tradycja. Taki zwyczaj witania cudzoziemców.

Przez resztę lekcji skupiam się na tym, co mówi pani Belk. Wzrok mam wbity przed siebie.

* * *

Kiedy dzwoni dzwonek, te dwie jakby znajome dziewczyny odwracają się i na mnie patrzą. Wtedy poznaję, że to Caroline Lushamp i Kendra Wu, które znam od pierwszej klasy. Po tym, jak wynieśli mnie z domu, prasa przeprowadziła z nimi wywiad, określając je mianem „bliskich koleżanek tej chorej nastolatki”. Kiedy widziałam je na żywo po raz ostatni, Caroline była niezbyt atrakcyjną jedenastolatką, noszącą dzień w dzień ten sam szalik Harry’ego Pottera, bez względu na temperaturę. Pamiętam jeszcze, że jako kilkulatka przeprowadziła się do Amos z Waszyngtonu i że miała kompleksy na punkcie swoich stóp i bardzo długich, zawiniętych jak u papugi palców u nóg. Z kolei Kendra wypisywała na dzinsach różne teksty z książek i codziennie płakała z jakiegoś

powodu: chłopaków, deszczu, zadań domowych.

Oczywiście Caroline ma teraz dwa i pół metra wzrostu i wygląda jak modelka reklamująca szampony. Włożyła spódniczkę i obcisłą kurteczkę, jakby chodziła do prywatnej szkoły. Kendra, której uśmiech przypomina tatuaż, ubrała się na czarno. Jest na tyle ładna, że mogłaby zostać hostessą w Applebee's po drugiej stronie miasta.

– Już cię gdzieś widziałam – stwierdza Caroline.

– Ciągłe to słyszę.

Gapi się na mnie, wiem, że próbuje umiejscowić mnie w czasie.

– Pomogę ci. Wszyscy mnie mylą z Jennifer Lawrence, a nawet nie jesteśmy rodziną.

Jej brwi strzelają do góry jak gumki recepturki.

– Wiem, wiem. Trudno w to uwierzyć, ale sprawdziłam dwa razy na portalu z genealogią nazwisk.

– Ty jesteś tą dziewczyną, która nie mogła wyjść z domu. Straż pożarna musiała zburzyć ścianę, pamiętasz? – zwraca się do Kendry. – Byłyśmy w telewizji.

Nie: „Jesteś Libby Strout, którą znałyśmy od pierwszej klasy”, tylko „dziewczyną, która została uwięziona we własnym domu, i dzięki niej trafiłyśmy do wiadomości”.

Wszystkiemu przysłuchuje się Mick z Kopenhagi.

– Znow masz na myśli Jennifer Lawrence – mówię.

– Co u ciebie? – Głos Caroline nabiera delikatnego, pełnego litości brzmienia. – Tak się martwiłam. Nie wyobrażam sobie, przez co przeszłaś. O matko, ale ty schudłaś! Prawda, Kendra?

Kendra teoretycznie nadal się uśmiecha, ale górna część jej twarzy krzywi się przy tym i marszczy.

– Prawda.

– Ślicznie wyglądasz.

– Masz ładne włosy – dodaje Kendra z tym uśmiecho-grymasem.

Jedną z najgorszych rzeczy, jakie śliczna dziewczyna może powiedzieć grubej dziewczynie, jest to, że wygląda ślicznie. Albo że ma ładne włosy. Zdaję sobie sprawę, że wrzucanie wszystkich ślicznych dziewczyn do jednego worka jest tak samo bezsensowne jak wrzucanie do jednego worka wszystkich grubych, orientuję się też, że można być grubym i ładnym (hełoł!), ale z doświadczenia wiem, że kiedy takie laski jak Caroline Lushamp i Kendra Wu mówią coś takiego, w rzeczywistości mają na myśli coś zupełnie innego. To komplementy z litości. Czuję, że moja dusza obumiera po kawałku. Mick z Kopenhagi wstaje i bez słowa wychodzi z klasy.



Caroline Lushamp to osoba, którą chyba mogę nazwać moją dziewczyną. Kiedy zakochałem się w niej po raz pierwszy, była bardzo inteligentna, ale się tym nie chwaliła – chwalenie się przyszło później. Siedziała wtedy cicho na lekcjach i chłonęła wszystko jak gąbka. Kiedy wszyscy poszli już spać, dzwoniliśmy do siebie, a ona opowiadała mi o swoim dniu – co widziała, co myślała. Niekiedy potrafiliśmy przegadać całą noc.

Obecna Caroline jest wysoka i obłądna, ale tym, co ją najbardziej wyróżnia, jest to, że tłumy się przed nią rozstępują. Caroline cholernie wszystkich onieśmiela, nawet nauczycieli, ponieważ teraz wyraża głośno swoje zdanie – zawsze! – i mówi prawdę w oczy. Głównym powodem naszego przerywanego związku jest historia. Dawna Caroline musi tkwić gdzieś w tej nowej, nawet jeśli jej nie widać. Nowa Caroline zjawiała się bez ostrzeżenia w okolicach drugiej klasy. Spodziewam się, że stara może wrócić w każdej chwili. Drugi powód to to, że łatwo ją rozpoznać.

Skręcam w mój najbardziej znienawidzony korytarz, ten prowadzący obok biblioteki, na którym znajduje się szafka Caroline. W pierwszej klasie pomagałem w bibliotece i teraz, jeśli wpadnę na którąś bibliotekarkę, ta zaraz się ze mną wita i pyta o rodzinę, a ja nie wiem, z kim rozmawiam.

Gdy idę, ludzie mówią mi „cześć”, a to też katastrofa. Specjalnie kroczę dumnie, uśmiecham się półgębkiem do każdego, udając luzaka. Najwidoczniej jednak kogoś pominąłem, bo słyszę:

– Co za kutas.

Szkoła średnia to bardzo kapryśny ląd – tego się nauczyłem na samym początku. W jednej chwili jesteś lubiany, w następnej stajesz się wyrzutkiem społecznym. Zapytajcie Luke’a Revisa, jego historia powinna służyć wszystkim ku przestrodze. Luke był królem naszego rocznika w pierwszej, a potem ktoś się dowiedział, że jego ojciec siedzi w więzieniu. Teraz Luke też siedzi, i raczej nie chcecie wiedzieć za co.

W tej chwili na korytarzu aż się roi od jego potencjalnych następców. Ktoś ciska jakimś kolesiem o szafki. Inny właśnie się potknął o czyjąś podstawioną nogę, wpada na kogoś, ten go popycha, więc chłopak leci dalej, odbija się jak ludzka piłka. Jedna dziewczyna daje swojej koleżance taką zjebkę, że tamta odwraca się zapłakana. Jeszcze inna chodzi po szkole z wielką szkarłatną literą „A” zwisającą z pleców. Wszyscy się śmieją pod nosem, tylko Hester Prynne[4] nie ma pojęcia o kawale. Na każdą jedną

roześmianą osobę na korytarzu przypada pięć przestraszonych albo nieszczęśliwych.

Próbuję wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby wszyscy znali prawdę – mogliby podejść, ukraść mi komórkę albo samochód, a potem wrócić i udawać, że pomagają w poszukiwaniach. Jeden chłopak mógłby podszyć się pod drugiego albo dziewczyna pod dziewczynę i byłoby to doprawdy cholernie śmieszne. Dla wszystkich oprócz mnie.

Miałbym ochotę iść nieprzerwanie aż do drzwi, a potem uciec stąd raz na zawsze.

– Zaczekaj, Mass – słyszę, więc przyspieszam. – Mass!

Ja pierniczę. Odwal się ode mnie, kimkolwiek jesteś.

– Mass! Mass! Stój, ty debilu!

Facet podbiega do mnie, jest mniej więcej mojego wzrostu, raczej przysadzisty. Ma brązowe włosy i nijaką koszulkę. Zerkam na jego plecak, książkę, którą trzyma w ręku, buty – cokolwiek, co dałoby mi jakąkolwiek wskazówkę co do jego tożsamości. W tym czasie on do mnie gada.

– Słuch sobie powinieneś zbadać – mówi.

– Sorry. Umówiłem się z Caroline – odpowiadam. Jeśli ją zna, powinien przyjąć wyjaśnienie.

– Cholera. – Czyli ją zna. Jeśli chodzi o Caroline Lushamp, większość ludzi dzieli się na dwa obozy: tych, którzy ją uwielbiają, oraz tych, którzy się jej boją. – Nic dziwnego, że jesteś myślami gdzie indziej. – Mówi to w taki sposób, że od razu przypisuję go do obozu przerażonych. – Ale uznałem, że będziesz chciał mi to powiedzieć osobiście.

To kolejny koszmar – podają za mało szczegółów, żebym mógł kontynuować.

– Że co będę chciał powiedzieć? – pytam.

– Żartujesz czy co? – Zatrzymuje się na środku korytarza, jego policzki oblewają się rumieńcem. – To moja dziewczyna. Masz szczęście, że cię nie sprąłem!

Czyli najprawdopodobniej to Reed Young, ale oczywiście istnieje cień szansy, że to jednak ktoś inny. Postanawiam nie wchodzić w detale, a jednocześnie być bardzo konkretny.

– Masz rację z tym szczęściem. Nie myśl, że tego nie doceniam. Jestem twoim dłużnikiem.

– Fakt. Jesteś.

Słyszę zbliżające się głosy, głośne, grzmiące, coś jak tłum rebeliantów plądrujący biedną wieś. Ludzie się rozstępują, a wtedy widzę dwóch gości rozmiarów boiska do piłki nożnej.

– Jak tam, Mass? – pytają. – Podobno świetnie się bawiłeś na imprezie – dodają i wybuchają histerycznym śmiechem.

Chociaż ich nie poznaję, wiem, że to zapewne moi kumple. Jeden z nich uderza ramieniem jakiegoś przemykającego ukradkiem biedaka, a potem mówi mu, żeby lepiej uważał, jak chodzi.

– Trochę szacunku, facet – zwracam się do boiska do piłki nożnej. A potem kiwam głową Reedowi. – Dobry z ciebie kumpel – mówię mu, co nie do końca jest prawdą, ale z drugiej strony od pierwszej klasy gramy w jednej drużynie w kosza.

– Dalej mam ochotę skopać ci tyłek, więc lepiej, żeby to się już nie powtórzyło.

– Nigdy.

Mój rozmówca zerka w stronę biblioteki. Przy szafkach znajdujących się naprzeciwko wejścia stoi dziewczyna i rozmawia przez telefon.

– Powodzenia, Mass – mówi, a jego ciałem wstrząsa dreszcz. – Nie chciałbym być teraz w twojej skórze – dodaje i czmycha w przeciwnym kierunku z moimi monstrualnymi kumplami depczącymi mu po piętach.

Podchodzę do dziewczyny, widzę jasne oczy na tle ciemnej karnacji i pieprzyk, który maluje sobie przy prawej brwi, chociaż wszyscy wiedzą, że nie jest prawdziwy.

Uciekaj, póki możesz.

Dziewczyna podnosi wzrok.

– Naprawdę? – prychna. Tak, to Caroline. Nie czeka na odpowiedź, odwraca się na pięcie i rusza do biblioteki. Widzę siedzące za biurkiem bibliotekarki, które tylko czekają, aż wejde, żeby zrobić ze mnie kretyna.

Chwytam ją za rękę i okręcam. Chociaż wcale tego nie chcę, przyciągam ją do siebie i całuję zapamiętale.

– To właśnie powinienem był zrobić w sobotę – mówię, gdy wypuszczam ją z objęć. – To właśnie powinienem był robić przez całe lato.

Piętą achillesową Caroline są komedie romantyczne i romanse z wampirami w roli głównej. Chciałaby żyć w świecie, w którym seksowny facet łapie dziewczynę i całuje ją gorąco, ponieważ jest tak ogarnięty miłością i pożądaniem, że nie potrafi się opanować. Więc dotykam jej twarzy, odsuwam włosy za ucho, uważając, by nie popsuć jej fryzury, bo to tylko pogorszy sytuację. Nie wiedzieć czemu kontakt wzrokowy jest dla mnie z zasady trudny, wobec czego skupiam się na jej ustach.

– Jesteś piękna – rzucam półgłosem.

Ostrożnie, facet. Naprawdę tego chcesz? Już przez to przechodziłeś. Jesteś pewien, że interesuje cię powtórka?

A jednak jakaś część mnie jej potrzebuje. Nie cierpię tego.

Wyczuwam, że mięknie. Na tyle, na ile znam Caroline, to najlepszy prezent, jaki mógłbym jej podarować – możliwość wybaczenia komuś. Nie uśmiecha się – ostatnio rzadko to robi – ale jej wzrok wędruje ku posadzce i koncentruje się na jakimś niewidocznym punkcie. Kąciki jej ust opadają. Zastanawia się.

– Jesteś straszny, Jack – mówi w końcu. – Nie wiem nawet, dlaczego z tobą rozmawiam. – W wolnym tłumaczeniu znaczy to: „Ja też cię kocham”.

– A co z Zachem?

– Zerwałam z nim dwa tygodnie temu.

I tak właśnie znów jesteśmy razem.

Chwyta mnie za rękę, idziemy szkolnym korytarzem, a moje serce bije ciut szybciej i ogarnia mnie poczucie, że teraz jestem bezpieczny. Nie zdając sobie z tego sprawy, Caroline będzie moim przewodnikiem. Powie mi, kto jest kim. Jesteśmy Caroline i Jackiem, Jackiem i Caroline. Dopóki z nią jestem, nic mi nie grozi, nic mi nie grozi, nic mi nie grozi.

4 Nawiązanie do bohaterki *Szkarłatnej litery* N. Hawthorne’a. Kobieta zdradziła męża i musiała nosić znak hańby, szkarłatną literę „A”.



Pan Dominguez twierdzi, że gdyby nie prowadził kursu prawa jazdy, z pewnością zajmowałby się przejmowaniem samochodów. Ale nie od ludzi, których nie stać na zapłacenie rat, nie – on zabierałby auta złym kierowcom i jak Robin Hood dawałby je sierotom albo dobrym kierowcom, których nie stać na własne cztery kółka. Ciężko powiedzieć, czy mówi poważnie, ponieważ to człowiek całkowicie pozbawiony poczucia humoru i wiecznie wściekły.

A przy tym to najseksowniejszy facet na świecie.

– W wielu szkołach zrezygnowano z kursu na prawo jazdy. Wysyłają uczniów gdzieś na zajęcia... – To „gdzieś” w jego ustach brzmi jak jakieś straszne i mroczne miejsce. – My was uczymy, ponieważ nam zależy.

A potem pokazuje nam film, na którym dochodzi do karambolu i samochody osobowe zostają wepchnięte pod ciężarówki. Na początku taki jeden chłopak, Travis Kearns, wybucha śmiechem, ale potem wydusza tylko „o cholera” i więcej już nic nie mówi. Dziesięć minut później nawet Bailey Bishop się nie uśmiecha, a Monique Benton musi wyjść do toalety, żeby wymiotować.

Kiedy wychodzi, pan Dominguez pyta:

– Ktoś jeszcze? – Zupełnie jakby Monique wyszła z klasy na znak protestu, a nie wypadła, trzymając się za żołądek. – Statystycznie rzecz biorąc, zginiecie w wypadku samochodowym przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. Jestem tu po to, żeby temu zapobiec.

Czuję mrowienie na skórze. Mam wrażenie, że jesteśmy przygotowywani do bitwy, coś jakby Haymitch przygotowywał Katniss.

– Ojej – mówi Bailey z drugiego końca klasy, co w jej wykonaniu jest równoważne z „ja pierdołę!”. Wszyscy zzielenieli na twarzy – oprócz mnie.

To dlatego, że w takich chwilach jak ta, kiedy ludzka głowa kula się po autostradzie, ja dobrze wiem, jaką rolę chciałabym grać w tej klasie i w całej szkole. Nie zamierzam zaliczać się do statystyk, od początku mojego życia walczę ze statystyką. Nie będę jednym z tych kierowców, których zmiażdży tir. Chcę być dziewczyną, która może wszystko. Która zdaje test i zostaje przyjęta do drużyny Damsels.

Unoszę rękę. Pan Dominguez kiwa głową w moją stronę, a wtedy ciarki przechodzą mi po plecach.

- Kiedy zaczniemy jeździć? – pytam.
- Kiedy będziecie gotowi.

OSIEM RZECZY, KTÓRYCH NAJBARDZIEJ NIENAWIDZĘ W NOWOTWORACH

Jack Masselin

1. Są dziedziczne i występują rodzinnie, co oznacza, że nawet osoba w moim wieku czuje się jak tarcza na strzelnicy.

2. Są dziedziczone w mojej rodzinie.

3. Uderzają jak meteoryt, kompletnie z zaskoczenia.

4. Chemioterapia.

5. Są cholernie poważną sprawą. (Innymi słowy, nie wolno za żadne skarby śmiać się z nich ani nawet uśmiechać, żeby rozluźnić atmosferę).

6. Trzeba negocjować z Bogiem albo próbować Go przekupić – nawet jeśli nie jest się pewnym Jego istnienia.

7. Kiedy chodzisz do drugiej klasy liceum i twój tata zostaje zdiagnozowany tydzień po tym, jak odkryłeś, że zdradza mamę.

8. Widok płaczącej mamy.



W drodze na czwartą lekcję wpadam do gabinetu Heather Alpern. Je kawałki jabłka, jedną długą nogę założyła na drugą, smukłe ręce trzyma na poręczach fotela. Zanim została trenerką Damsels, należała do zespołu New York City Rockettes. Jest tak śliczna, że nie jestem w stanie na nią patrzeć. Wbijam wzrok w ścianę i mówię:

– Czy mogę prosić formularz zgłoszeniowy do Damsels?

Czekam, aż mi powie, że mają ograniczenia wagowe i że znacznie je przekraczam. Czekam, aż odrzuci do tyłu tę swoją piękną główkę, po czym wybuchnie histerycznym śmiechem i pokaże mi drzwi. W końcu Damsels to nie byle co. Występują nie tylko na meczach futbolu i koszykówki, ale także na wszystkich ważnych wydarzeniach w naszym mieście – otwarciach, paradach, poświęceniach, koncertach.

Ale nie, Heather Alpern zaczyna grzebać w szufladzie i wyciąga formularz.

– Teoretycznie rzecz biorąc, sezon rozpoczęliśmy latem. Jeśli nikt nie odejdzie, następny nabór odbędzie się dopiero w styczniu.

– A jeśli ktoś odejdzie? – pytam własne stopy.

– Wtedy zorganizujemy casting. Damy ogłoszenia, rozmieścimy ulotki – wyjaśnia, podając mi dokument. – Możesz wypełnić i przynieść formularz, a ja go przechowam. Tylko nie zapomnij o zgodzie rodziców. – A potem uśmiecha się tym swoim cudownym, zachęcającym uśmiechem, zupełnie jak Maria z *Dźwięków muzyki*, a ja wyfruwam z jej gabinetu niczym wypełniony helem balon.

Podskakuję i odbijam się od korytarza jak balonik, czuję się tak, jakbym niosła w sobie największą tajemnicę tego świata. Może tego o mnie nie wiecie, ale uwielbiam tańczyć.

Przyglądam się twarzom wszystkich mijanych osób, zastanawiając się, jakie sekrety kryją, kiedy ktoś nagle na mnie wpada. To kwadratogłowy chłopak o wielkiej, rumianej twarzy.

– Hej – mówi.

– Hej – odpowiadam.

– Czy to prawda, że grube dziewczyny lepiej robią loda?

– Nie wiem. Nigdy żadna gruba dziewczyna nie robiła mi loda.

Ludzie mijają nas z każdej strony, niektórzy, słysząc to, wybuchają śmiechem. Jego wzrok lodowacieje i nagle pojawia się ta nienawiść ze strony zupełnie obcego człowieka,

który przecież nawet cię nie zna, ale któremu wydaje się, że cię zna albo nienawidzi tego, jak wyglądasz.

– Jesteś obrzydliwa.

– Jeśli to stanowi dla ciebie jakiegokolwiek pocieszenie, ty też jesteś obrzydliwy.

Mamrocze coś pod nosem, coś, co przypomina „tłustą dziwkę”. Nieważne, że jestem dziewicą. Gdybym przespała się z każdym chłopakiem, który w ciągu ostatnich kilku lat tak mnie nazwał, miałabym za sobą jakieś tysiąc stosunków.

– Zostaw ją, Sterling – słyszę.

To dziewczyna o długich włosach i nogach do samego nieba. Bailey Bishop. Jeśli w czymkolwiek przypomina dawną Bailey, na pewno jest życzliwa, popularna, kochająca Jezusa. Jest urocza, wszyscy ją uwielbiają. Wchodzi do pomieszczenia, oczekując, że każdy ją polubi – i rzeczywiście ludzie ją lubią, bo co można zrobić innego, kiedy ktoś jest taki miły?

– Cześć, Libby. Nie wiem, czy mnie pamiętasz... – Nie wsuwa mi ręki pod ramię, ale jej głos ma taki sam zaśpiew jak kiedyś, każde zdanie kończy się wysoką, radosną nutą. Niemal tak, jakby śpiewała.

– Cześć, Bailey. Oczywiście, że cię pamiętam.

– Tak się cieszę, że wróciłaś – mówi i wtedy zarzuca mi ręce na szyję, a kilka jej włosów przypadkiem dostaje mi się do ust. Ich smak przypomina skrzyżowanie brzoskwini i gumy balonowej. Jest dokładnie taki, jak można się było spodziewać.

Odsuwamy się od siebie, Bailey stoi roześmiana, ma szeroko otwarte oczy, wesołe dołeczki w policzkach, wszystko w niej jest takie jasne i radosne. Jeszcze pięć lat temu była moją przyjaciółką, nie wydumaną, wymyśloną, ale najprawdziwszą z prawdziwych. Pięć lat to szmat czasu. Wtedy mało co nas łączyło, nie mam pojęcia, czy teraz będziemy miały ze sobą cokolwiek wspólnego. Bądź miła, mówię sobie. To może być twoja jedyna szansa na przyjaźń.

– Chciałabym, żebyś poznała Jayvee – informuje mnie Bailey, gdy zauważa przechodzącą obok dziewczynę. – Jayvee, to Libby.

– Jak tam? – pyta Jayvee. Ciemne włosy ma obcięte na pazia, nosi koszulkę z napisem: „Mój prawdziwy chłopak to postać fikcyjna”.

Bailey promienieje jak latarnia morska w ciemności.

– Jayvee przeprowadziła się tu dwa lata temu z Filipin.

Czekam, aż powie jej, że to mój pierwszy rok w szkole po tym, jak przez długi czas byłam zamknięta w czterech ścianach, ale ona mówi tylko:

– Libby też jest nowa.



Na czwartej lekcji mamy rozszerzoną chemię z Monicą Chapman. Nauczycielką przedmiotów ścisłych. Żoną. Kobieta, która spała z moim ojcem. Z zasady jest mi łatwiej rozpoznać nauczycieli, a to z trzech powodów: jest ich mniej niż nas; nawet ci młodszy ubierają się starzej niż my; mamy prawo gapić się na nich codziennie (co daje mi więcej znaków szczególnych).

Nie żeby to w jakikolwiek sposób pomagało mi rozpoznać Chapman. Nigdy wcześniej nie miałem z nią lekcji; gdy ją widzę, rzuca mi się w oczy przede wszystkim jej młodość oraz zwyczajność. Można by pomyśleć, że jeśli twój ojciec zdecyduje się zdradzić swoją matkę, wybierze kobietę tak niesamowitą, że nawet osoba niezdolna do zapamiętywania twarzy natychmiast ją rozpozna.

Jednak nie ma w niej nic, co by ją wyróżniało z tłumu, a to oznacza, że może w tej chwili znajdować się wszędzie.

Wybieram ławkę z tyłu, pod oknem, zaraz ktoś się do mnie dosiada i na mnie spogląda. Istnieje takie spojrzenie, którym ludzie cię obdarzają, jeśli cię znają i oczekują, że ty też ich znasz. To właśnie to spojrzenie.

– Hej – mówi.

– Hej.

W którymś momencie grupka dziewczyn się rozprasza, jedna z nich podchodzi do tablicy. Rozgląda się, przedstawia, zauważa mnie, zamiera na sekundę, a potem sobie przypomina, że powinna się uśmiechnąć.

Kiedy wszyscy zajmują miejsca, Monica Chapman zaczyna wykład na temat różnych dziedzin chemii, a ja jestem w stanie myśleć tylko o jednej dziedzinie, o której nie wspomniała – tej odpowiedzialnej za romans z moim ojcem.

Jak odkryłem ich romans? Dusty się do tego przyczynił. To on zauważył wiadomość na komórce taty. Telefon leżał sobie w miejscu, w którym każdy mógł go zobaczyć, tata wyszedł akurat z pokoju, a Dusty szukał czegoś do swojej kolekcji – wiecznie coś zbiera, zupełnie jak ja – a później powiedział:

– Myślałem, że mama ma na imię Sarah.

– Bo ma.

– To kim jest Monica?

Ten cholerny dupek nawet nie zmienił jej imienia w komórce. Monica, jak w morde

strzelił. A co gorsza, to nie był jego normalny telefon, tylko jakiś inny, który najwidoczniej kupił, żeby z nią rozmawiać. Trochę więcej trudu kosztowało mnie odkrycie, co to za Monica, ale wierzcie mi, to ona.

Gdy zaczyna mówić o chemii fizycznej, podnoszę rękę.

– Jakies pytanie, Jack?

Ależ oczywiście. Tylko czy uda mi się cokolwiek z siebie wydusić, kiedy mam wrażenie, że klatka piersiowa utknęła mi w gardle?

– Chciałem powiedzieć, co wiem na temat chemii fizycznej.

Siedzący obok mnie chłopak – chyba to Damario Raines – potakuje, a kilka dziewczyn odwraca głowy, żeby się przekonać, co mam do powiedzenia. Są identyczne. Ciekawe, czy chcą wyglądać tak samo i czy zdają sobie z tego sprawę. Oczekują, że powiem coś błyskotliwego, widzę to po ich twarzach. Zresztą, nikt przecież nie wie, co się wydarzyło między Chapman a moim ojcem, nawet Marcus nie jest tego świadomy. Wolałbym, żeby tak już zostało.

– Proszę, Jack. – Jej głos brzmi całkowicie normalnie, rześko i świeżo, z akcentem z Michigan albo Wisconsin.

– Chemia fizyczna to dziedzina fizyki zajmująca się układami chemicznymi, w tym kinetyką reakcji, chemią powierzchni, mechaniką kwantową, termodynamiką oraz elektrochemią.

Uśmiecham się promiennie, mój uśmiech może konkurować z lampami na suficie i słońcem świecącym za oknem. Oślepię ją tym moim oszałamiającym uśmiechem i już nigdy nie zobaczy mojego ojca. Dziewczyna siedząca dwie ławki dalej śmieje się do mnie, zakrywając usta dłonią, pozostali wydają się zdezorientowani i nieco rozczerowani. Chyba Damario rzuca „o ja” do ławki, co oznacza, że bardzo go zawiodłem.

– Ta ostatnia, elektrochemia, to moja ulubiona. Nic nie może się równać z dobrą reakcją chemiczną, prawda? – mówię i mrugam jednym okiem do nauczycielki, która przez następne dwadzieścia sekund nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

Kiedy znów odzyskuje mowę, rozdaje nam kartkówkę, żeby „ocenić nasze umiejętności”. Przypuszczam jednak, że tak naprawdę chce mi namieszać w głowie, ponieważ szybko je sprawdza i mówi:

– Jack Masselin, rozdaj je, proszę.

Zaczyna się.

Wstaję, podchodzę do jej biurka i biorę sprawdziany. A potem stoję na środku przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Ludzie z klasy patrzą na mnie, a ja patrzę na nich. Cztery osoby rozpoznaję na bank. Jestem pewien, że trzech nie znam i nawet nie powinienem ich znać (choć nie jest to stuprocentowa pewność). Osiem należy do szarej strefy, zwanej też strefą zagrożenia.

Mogę ruszyć pomiędzy ławkami, próbując dopasować nazwiska znanych mi osób do twarzy. Wyobrażam sobie reakcje, jakie mnie czekają, kiedy stanie się jasne, że kompletnie nie wiem, kto jest kim. Kutas. Debil.

Mogę też zrobić to, co właśnie robię: podnieść stos kartek i zapytać:

– Jesteście zainteresowani tym, co dostaliście?

W końcu to była niezapowiedziana kartkówka, nikt z nas się do niej nie

przygotowywał. Przeglądam kartki, widzę że większość ocen to C, D, C-. Jak mogłem się spodziewać, nikt nie wyraża zainteresowania.

– A kto chciałby wykorzystać tę okazję, by obiecać pani Chapman, że następnym razem pójdzie nam lepiej? – pytam. Las rąk w górze. Rąk, które są przymocowane do korpusów, które są przymocowane do szyi, a te z kolei do twarzy – morza nierozpoznawalnych, obcych twarzy. Mam wrażenie, że codziennie uczestniczę w balu kostiumowym, na którym jestem jedyną osobą bez kostiumu, ale i tak wszyscy oczekują, że ich rozpoznam.

– Jeśli jesteście zainteresowani, kładę je na stoliku – mówię. Rzucam kartki na wolną ławkę i wracam na swoje miejsce.

* * *

Kiedy dzwoni dzwonek, Monica Chapman mówi:

– Jack, chciałabym zamienić z tobą dwa słowa.

Wychodzę z klasy, jakbym jej nie słyszał, i idę prosto do sekretariatu. Mówię, że chciałbym się przenieść na zajęcia z rozszerzonej chemii prowadzone przez pana Vernona, chociaż wiem, że ma chyba ze sto lat i jest głuchy na jedno ucho.

– Nie jestem pewna, czy możemy dokonać zamiany, trzeba by było zmienić ci plan... – zaczyna sekretarka i przez chwilę czuję pokusę, by powiedzieć: „Dobra, nieważne. Zostaję”. Wierzcie mi, z chęcią dręczyłbym Monicę Chapman przez cały semestr. Myślę jednak o tacie, o tym, jak stracił włosy, jaki wychudzony był po chemii, jak krucho wyglądał – jakby w każdej chwili mógł się rozsypać w proch. Owszem, gdzieś w głębi duszy nadal go nienawidzę, może już zawsze będę nienawidził, ale w końcu to mój ojciec, nie chcę, żeby moja nienawiść urosła jeszcze bardziej. Poza tym naprawdę lubię chemię, dlaczego więc miałbym psuć sobie radość z lekcji?

Opieram się o blat i obdarzam sekretarkę uśmiechem, który mówi: jest przeznaczony dla ciebie i tylko dla ciebie.

– Przepraszam, jeśli to kłopot, nie zamierzałem sprawiać trudności, ale jeśli to w czymś pomoże, mogę obiecać, że pani Chapman bez problemu wyrazi zgodę na przeniesienie.



Postanawiam zrezygnować z obiadu. Potem mamy wuef, podejrzewam, że nie istnieje ani jedna gruba dziewczyna na świecie, bez względu na pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa, która nie bałaby się tych zajęć.

Generalnie rzecz biorąc, dzisiejszy dzień z pewnością mógł potoczyć się znacznie gorzej. Nikt nie wyrzucił mnie z boiska. Jak dotąd śmiano się ze mnie i kpiono jakieś cztery, może pięć razy. Z dwieście osób się na mnie gapiło, ale mnóstwo ludzi nie zwróciło na mnie uwagi, a niektórzy traktowali mnie jak wszystkich innych. Nawiązałam jedną, a może nawet dwie dobrze rokujące znajomości. Ani razu nie miałam ataku paniki.

Najtrudniejsze jednak jest dla mnie to, czego wcale się nie spodziewałam – patrzeć na ludzi, których znałam wcześniej, z którymi dorastałam, ze świadomością, że podczas gdy ja tkwiłam w czterech ścianach, oni chodzili do szkoły, mieli przyjaciół, żyli pełnią życia. Mam poczucie, że tylko ja stałam w miejscu.

Dlatego nie mam ochoty na jedzenie. Siadam na parkingu pod stołówką i czytam moją ulubioną książkę: *Zawsze mieszkaliśmy w zamku* Shirley Jackson. Główną bohaterką jest Mary Katherine Blackwood. Większość jej krewnych umarła, Mary mieszka tylko z siostrą, w odosobnieniu, zamknięta w domu, nie przez wagę i rozmiar ciała, ale na skutek strasznego czynu, który kiedyś popełniła. Mieszkańcy miasteczka opowiadają o niej legendy, boją się jej, niekiedy zakradają się do posiadłości, by na nią choćby zerknąć. Jestem pewna, że rozumiem Mary Katherine bardziej niż ktokolwiek inny.

Czytam przez chwilę, ale potem zamykam oczy i odchylam głowę do tyłu. Dzień jest ciepły, słoneczny i chociaż już od dłuższego czasu nie tkwię zamknięta w czterech ścianach, chyba nigdy nie będę miała dosyć słońca.

* * *

Wuef jest gorszy, niż to sobie wyobrażałam.



– Czytałem o takiej zabawie – mówi nie kto inny jak Seth Powell. A może widział ją w Internecie, sam nie pamięta. – Nazywa się „rodeo na tłuszczochach”.

Wybuchają śmiechem, śmieje się tak mocno, że prawie spada z ławki.

– Trzeba podejść do grubej laski i rzucić się na nią tak, jak gdybyś chciał ujeżdżać byka... – Seth pochyla się do przodu, zakrywa twarz i kopie w siedzenia, jakby to miało mu pomóc złapać oddech. Kiedy w końcu unosi głowę, ma zmrużone, załzawione oczy. – Musisz się mocno chwycić, naprawdę ścisnąć ją jak cytrynę... – Znow się zwija ze śmiechu i kołysze, przypomina to chorobę sierocą. Spoglądam na Kama, Kam patrzy na mnie, obaj myślimy: „Co za durny sukinsyn”.

Seth się podnosi, cały się trzęsie ze śmiechu.

– Ten, kto... (trudno zrozumieć, co mówi)... wytrzyma najdłużej... (ledwo oddycha, tak się śmieje)... wygrywa...

– Co wygrywa? – pytam.

– Zabawę.

– Okej, ale co wygrywa?

– No mówię, całą zabawę.

– Pytam, czy jest jakaś nagroda.

– Co masz na myśli?

Jeśli chcecie poznać moje zdanie, Seth jest głupi jak but. Wzdycham, jakbym niósł na barkach ciężar całego świata, jakbym był cholernym Atlasem.

– Kiedy idziesz na jarmark albo do wesołego miasteczka i jest strzelnica, jak wygrasz, dostajesz wielką pluszową pandę czy coś takiego.

– No, jak miałem osiem lat. – Seth przewraca oczami w stronę Kama.

Przeczesuję palcami fryzurę afro, przez co staje się jeszcze większa i gorsza, a potem odzywam się bardzo powoli, jak mój tata, kiedy rozmawia z obcokrajowcami:

– Czyli w wieku ośmiu lat poszedłeś na strzelnicę i gdy wygrałeś, otrzymałeś nagrodę.

Kam upija łyk z piersiówki, którą zawsze przy sobie nosi, ale nigdy nikogo nie częstuje.

– Akurat on coś wygrał! – prychnął.

Seth patrzy na mnie, ale wyciąga rękę i uderza Kama w bok głowy. Muszę

przyznać, że potrafi celować.

– O co ci konkretnie chodzi? – pyta, marszcząc brwi.

– Co dostanie osoba, która wygra rodeo?

– Wygra. – Seth rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „A czego jeszcze byś chciał?”.

– Słyszałeś o „rodeo na tłusciochach”? – pytam Kama.

Mój kumpel wstaje, pije kolejny łyk i już myślę, że mnie poczęstuje, ale zakręca piersiówkę i chowa ją do kieszeni.

– Teraz już tak – odpowiada.

Nagle zeskakuje na ziemię i biegnie w stronę dziewczyny, która wygląda, jak gdyby miała pod koszulką wielką oponę. Nie poznaję jej, ale to nic nie znaczy, w końcu nikogo nie poznaję. Gdyby nie ta opona, mogłaby nawet być moją własną matką.

Seth rzuca się w oczy wcale nie dlatego, że jest jedynym czarnoskórym uczniem naszej szkoły z irokezem na głowie. Rozpoznaję go głównie po idiotycznym śmiechu. Ponieważ jest kretynem, wiecznie się śmieje, a ja od razu wiem, że to on. Kama wyróżniają prawie białe włosy, przez co wygląda jak albinos. To jedyna osoba z takim kolorem włosów, jaką znam.

Nie mam pojęcia, kim jest dziewczyna z oponą, ale przyglądam się tej scenie, pewien, że Kam nic nie robi. Że on tylko udaje, nabiera nas.

A jednak sekundę później owija się wokół tej laski jak celofan i najpierw sędzę, że może dziewczyna nawet się ucieszyła, w końcu to Dave Kaminski, ale im dłużej on ją trzyma, tym bardziej ona się wkurza i w końcu wygląda tak, jakby za moment miała zacząć wrzeszczeć albo płakać, albo i jedno, i drugie.

Wstaję. Chcę mu powiedzieć, żeby przestał. Seth wbija wzrok w Dave'a i dziewczynę, najpierw szczęka mu opada, potem Seth zaczyna walić się w kolano.

– O ja pierniczę! – mówi. – O ja pierniczę.

Wybuch śmiechem i mamrocze coś, co brzmi jak „ona na pewno tego chce”. A ja przez cały czas myślę tylko jedno: „Powiedz coś, kretynie. Powiedz coś”.

Ale milczę. Zanim dziewczyna zdąży wybuchnąć, Kam ją puszcza i obiega boisko w zwycięskiej rundzie honorowej.

– Piętnaście sekund – mamrocze Seth. – To, kurwa, rekord świata.



Libby Strout jest gruba.

Po lekcjach zamykam się w ubikacji, czarny marker skrzypi na wstrętnej ścianie. Na podłodze leży nieotwarty tampon, w umywalce dostrzegam puste opakowanie po błyszczyku do ust, chociaż kosz na śmieci stoi dosłownie obok. Na jednej z kabin widnieje napis „Nieczynna”, ponieważ ktoś upuścił (wepchnął) do kibelka podręcznik do matematyki. W powietrzu unosi się między innymi woń odświeżacza i papierosów. Ci, którzy uważają, że dziewczyny to tylko piękne zapachy, powinni odwiedzić ubikację na trzecim piętrze w szkole MVB w Amos w stanie Indiana.

Ktoś wali do drzwi.

Wyciągam rękę i piszę wielkimi i grubymi literami, żeby wszyscy mogli je zobaczyć:

Libby Strout jest gruba. Gruba i brzydka. Nikt się z nią nie prześpi. Nikt jej nigdy nie pokocha.

Mój wzrok pada na lustro, na moje odbicie. Twarz mam koloru buraczków, które mama nazywała „sympatycznymi warzywami”, chociaż nie było w nich nic sympatycznego. Mama już taka była – sprawiała, że wszystko wydawało się lepsze niż w rzeczywistości.

Libby Strout jest tak gruba, że trzeba było zburzyć jej dom, żeby ją wyciągnąć.

Te wszystkie uwagi to słowo w słowo to, co – jak podsłuchałam – Caroline Lushamp i Kendra Wu mówiły o mnie na wuefie, podczas gdy inne dziewczyny stały wokół nich i słuchały uważnie. Oraz się śmiały. Dodaję jeszcze dwie linijki, najgorsze rzeczy, jakie przychodzą mi do głowy, żebym nie musiała słuchać tego z czyichś ust. Piszę to, żeby oni nie musieli. W ten sposób nie będzie już nic, co mogą o mnie powiedzieć, czego ja sama o sobie nie powiedziałam.

Libby Strout jest najgrubszą nastolatką w Ameryce.

Libby Strout to kłamczucha.

Robię krok do tyłu, żeby się przyjrzeć swojemu dziełu.

To najprawdziwsze słowa z prawdziwych i jest dobrze, dopóki ich wszystkich nie czytam. Na ich widok czuję się jednak tak, jakby ktoś inny był ich autorem, i aż mi zapiera dech. Posunęłaś się za daleko, Libby, myślę.

Owszem, jestem gruba.

Owszem, musieli zburzyć kawałek domu, żeby mnie wydostać.

Być może rzeczywiście nikt mnie nie pokocha i nikt nie będzie chciał mnie dotknąć, nawet w ciemnym pomieszczeniu, nawet po tym, jak apokalipsa zmiecie z powierzchni ziemi wszystkie ładne dziewczyny. Może kiedyś będę chudsza niż teraz i znajdę chłopaka, który się mną zainteresuje, ale nadal pozostanę kłamczuchą. Już zawsze nią będę.

Ponieważ mniej więcej za trzy minuty otworzę drzwi, wyjdę stąd i powiem sobie, że przecież czego się spodziewałam, wiedziałam, że tak będzie, że nigdy nie będzie inaczej. I że to nie ma znaczenia, szkoła średnia się nie liczy, nic się nie liczy oprócz tego, co w środku. Co znajduje się pod tym wszystkim. O czym lubią ci mówić. Zresztą, i tak już dawno temu przestałam czuć cokolwiek.

To też kłamstwo.

* * *

Sześćdziesiąt sekund później. Wychodzę z łazienki i wpadam na dziewczynę prawie tak samo dużą jak ja. Ryczy jak opętana, przychodzi mi do głowy, że powinnam zejść jej z drogi.

– Co ty tam robiłaś? – mówi. – Zamknęłaś się? – W zasadzie to nie mówi, ale wykrzykuje.

– Widocznie drzwi się zacięły. Wszystko dobrze? – odzywam się półgłosem, łagodnie, z nadzieją, że to ją uspokoi.

Płacze i czka, dopiero po chwili mi odpowiada, tym razem nieco ciszej:

– Sukinkoty.

Nie muszę pytać, o co chodzi, raczej o kogo. Patrząc na jej rozmiary, wiem już, co się stało.

– Kto? – pytam, chociaż i tak prawie nikogo tu nie znam.

– Dave Kaminski i jego cholerni kumple. – Wymija mnie, podchodzi do umywalki, pochyla się, żeby umyć twarz, przez co moczy sobie włosy skręcone w czarne spirale. Ma na sobie koszulkę z nadrukiem Nirvany i naszyjnik z jadalnych cukierków. Podaję jej ręcznik.

– Dzięki. – Osusza sobie twarz. – Dave Kaminski mnie złapał i nie chciał puścić, chociaż mu kazałam.

Ten sam Dave Kaminski, który kiedyś był chuderlawym dwunastolatkiem o białych włosach i raz wykradł ojcu butelkę johnniego walkera i przyniósł do szkoły?

– Gdzie oni są?

– Na trybunach. – Jeszcze czka, ale już nie tak mocno. Spogląda na ścianę i zaczyna czytać.

– Co to, do...

– Wiem, wiem. Popatrz na to pozytywnie. Przynajmniej to nie twoje nazwisko znajduje się na tej ścianie.



Kam nadal robi rundy wokół bieżni, kiedy te dwie dziewczyny wychodzą ze szkoły. Jedna trzyma się nieco z tyłu, za to druga maszeruje prosto przez boisko. Zerka w naszą stronę, napotykam jej wzrok na ułamek sekundy, ale zaraz rusza na Kama.

Początkowo jej nie widzi, co graniczy z cudem, bo dziewczyna jest ogromna. Potem jednak ją zauważa, bo przyspiesza ze śmiechem. Seth siada wyprostowany jak struna, niczym pies obserwujący wiewiórkę.

– Co do diabła... – mruczy pod nosem.

Gdy dziewczyny się do niego zbliżają, Kam wystrzeliwuje jak z procy, a ta laska biegnie za nim. Podrywam się na równe nogi, kurczę, to najlepsza rzecz, jaką widziałem w życiu. Ona normalnie frunie.

Seth zaczyna klaskać, totalny głupek.

– Cholera! – woła do Kama i aż się zanosi od śmiechu. Kopie i tupie w krzesła. Natomiast ja kibicuję dziewczynie.

– Szybciej! – krzyczę – do niej, chociaż nikt o tym nie wie. – Szybciej! Szybciej!

W końcu Kam przeskakuje przez płot i ucieka ulicą. Ta dziewczyna jak jakaś cholerna gazela pokonuje ogrodzenie i już prawie go łapie, ale przeszkadza jej przejeżdżająca ulicą ciężarówka. Dziewczyna staje na chodniku, patrzy w ślad za Kamem, a potem odchodzi powoli w stronę szkoły. Przemaszerowuje przez boisko i znów na mnie zerka. Nie odwraca jednak głowy, śledzi mnie tylko wzrokiem, widzę, że jest maksymalnie wkurzona.

SZEŚĆ LAT WCZEŚNIEJ



10 LAT

Wychodzę na boisko.

– Hej, patrzcie. Idzie Flabby Stout – mówi Moses Hunt. – Co słyhać, sflaczała Flabby?

– Sam jesteś sflaczała – odpowiadam, chociaż nie jest. Ale ja też nie.

Zerka z ukosa na otaczających go chłopaków, którzy spijają każde słowo z jego ust i napawają się każdym jego gestem, nawet jeśli wydaje pierdzące odgłosy pachą albo powtarza przekleństwa, których nauczyli go bracia. Jego wzrok prześlizguje się z powrotem na mnie i Moses już ma coś powiedzieć, a ja wiem, że cokolwiek to będzie, nie chcę tego słyszeć. Nikt nie mówi nic miłego, jeśli jego gęba wygląda, jakby właśnie połknął całą cytrynę, łącznie ze skórką i nasionami.

Otwiera te cytryniaste usta i mówi:

– Nikt cię nigdy nie pokocha, bo jesteś taka gruba.

Wpatruję się w moje nogi i brzuch. Wyciągam ręce. To nowość, że jestem gruba. Pызata – może. Nieco pulchna. Ale przecież zawsze taka byłam. Przyglądam się uważnie Mosesowi, jego kolegom i dziewczynkom na huśtawkach. Moim zdaniem wcale nie jestem jakoś specjalnie grubsza niż oni.

– Nie sądzę, żebym była gruba.

– W takim razie jesteś nie tylko gruba, ale i głupia. – Chłopcy zwijają się ze śmiechu. Twarz Mosesa kurczy się jak zwinięta w pięść dłoń. Otwiera usta tak szeroko, że zmieściłyby wszystkie gołębice z Amos.

– *Go home, Flabby Stout. The sun can't shine when you come out...* – Moses zaczyna śpiewać na melodię kołysanki. – *You're so big you block the moon. Go home, Flabby, go to your room...*[5]

Myślę sobie: „To ty jesteś głupi”. Wymijam go, żeby iść do huśtawek, gdzie znajduje się Bailey Bishop i sto innych dziewczynek. Moses zagradza mi drogę:

– *Go home, Flabby Stout...*

Przesuwam się w drugą stronę, a on znów blokuje mi przejście, więc kieruję się ku drabinkom, gdzie mogę sobie spokojnie posiedzieć.

– Nie mogę ci na to pozwolić – mówi Moses. – Mogłabyś zarwać.

– Nie zarwę. Już wcześniej tam siedziałam.

– Możesz zarwać. Od twojego tłuszczu już pewnie pękły fundamenty. Jak

usiądziesz drugi raz, wszystko się zawali. Może nawet cały plac zabaw. Pewnie pęka pod tobą, tam gdzie stoisz. Na pewno twoja mama umarła, bo na niej usiadłaś.

Chłopcy śmieją się do upadłego, jeden nawet kula się po ziemi ze śmiechu.

Nie dorównuję Mosesowi wzrostem, ale i tak patrzę prosto w te jego ciemne, bezduszne oczy. Po raz pierwszy w życiu wiem, jak to jest, kiedy ktoś cię nienawidzi. Widzę tę nienawiść aż buchającą z jego wzroku.

Resztę przerwy spędzam, stojąc pod murem placu zabaw, i zastanawiam się, co takiego zrobiłam Mosesowi Huntowi, że mnie tak nienawidzi. Uświadamiam sobie, że cokolwiek to jest, nie ma od tego odwrotu. Żołądek mi mówi, że bez względu na to, co bym zrobiła, jak bardzo bym schudła, jaka miła byłabym wobec niego, on już zawsze będzie mnie nienawidził. To poczucie pewnego zwrotu. Dojścia do zakrętu, zerknięcia na to, co się czai za rogiem, i przekonania się, że to ciemna i pusta ulica albo miejsce, w którym aż się roi od dzikich psów. Jednak nie ma odwrotu, istnieje tylko droga przed siebie, prosto w paszczę lwa.

Słyszę wrzask. To moja przyjaciółka Bailey Bishop zeskakuje z huśtawki. Porusza się, przebiera nogami, jej włosy unoszą się na powietrzu, złociste jak wschód słońca.

Macham do niej, ale mnie nie widzi. Nie zauważyła, że mnie nie ma? Znów macham, ale jest zbyt zajęta tym pędem. Myślę sobie: „Na miejscu Bailey Bishop też bym biegła. Bailey ma nogi długie do nieba. Na miejscu Bailey Bishop nawet bym się nie oglądała na kogoś takiego jak ja. Biegłabym przed siebie, biegłabym i biegła”.

5 Dośł. „Idź do domu, sflaczały grubasie. Słońce nie może świecić, kiedy wychodzisz na dwór. Jesteś tak wielka, że zasłaniasz księżyc. Wracaj, grubasie, do domu, do swojego pokoju”.

TERAZ



Ta dziewczyna nazywa się Iris Engelbrecht. W ciągu ostatnich pięciu minut dowiedziałam się o niej następujących rzeczy: jest ciężka od urodzenia, co zawdzięcza niedoczynności tarczycy oraz zespołowi Cushinga. Jej rodzice się rozwiedli, ma dwie starsze siostry i wszyscy w jej rodzinie cierpią na nadwagę.

– Musisz powiedzieć dyrektorowi.

Iris kręci głową.

– Nie.

Wróciłyśmy do szkoły, idziemy korytarzem, tylko my dwie.

Próbuję pokierować nas w stronę gabinetu dyrekcji, ale Iris się opiera.

– Pójdę z tobą.

– Nie chcę pogarszać sytuacji.

– Wiesz, co ją pogarsza? To, że Dave Kaminski uważa, że może ci coś takiego zrobić.

– Nie jestem taka jak ty. – Ma na myśli, że nie jest taka odważna.

– W takim razie ja pójdę za ciebie – odpowiadam i odchodzę.

– Proszę cię, nie. – Iris mnie dogania. – To znaczy, dziękuję, że za nim pobiegłaś, ale chciałabym jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, a to niemożliwe, jeśli o tym komuś powiem. Sprawa zostanie rozdmuchana, będę musiała cały czas się nią zajmować, a nie chcę tego. To pierwszy dzień szkoły. – Słyszę to, czego nie mówi: „Nie chcę, żeby ta sprawa wisiała nade mną przez cały rok szkolny, nawet jeśli mam absolutne prawo, żeby się z nim rozprawić”.

* * *

Z moją psychoterapeutką, Rachel Mendes, spotykam się w parku. Przez dwa z ostatnich trzech lat widywałam się z nią codziennie. Jeszcze kiedy leżałam w szpitalu, Rachel była pierwszą osobą, nie licząc taty, która rozmawiała ze mną tak, jakbym była zupełnie normalną dziewczyną. Później przerodziła się w moją nauczycielkę i opiekunkę, zostawała ze mną w domu, kiedy tata szedł do pracy. Teraz jest moją najlepszą przyjaciółką i spotykamy się raz w tygodniu.

– Co się stało? – pyta.

– Chłopacy. Idioci. Ludzie.

Kiedyś w centrum parku mieściło się zoo, ale zostało zamknięte w 1986 roku, po tym, jak niedźwiedź próbował odgryźć rękę jakiemuś facetowi. Została szeroka kamienna ława, która wcześniej mieściła się na wybiegu misia. Siadamy na niej, patrzymy na pole golfowe, a we mnie tak bardzo wszystko buzuje, że chyba zaraz eksploduje mi głowa.

– Ten chłopak zrobił coś okrutnego, a osoba, której to zrobił, nie chce tego zgłosić.

– Tej osobie coś zagraża?

– Nie. Chłopak zapewne uważał, że to zupełnie nieszkodliwe zachowanie, a jednak nie powinien był tego robić i nie powinno mu się upiec.

– Nie możemy walczyć za innych, nawet jeśli bardzo byśmy chcieli.

Ale możemy gonić sukinsynów, którzy ich terroryzują. Myślę o tym, jakie życie było proste, kiedy nie wychodziłam z domu. Moje dni były takie przewidywalne i powtarzalne: czytanie, czytanie, czytanie oraz szpiegowanie przez okno mieszkających po sąsiedzku chłopaków.

– Jak twoje lęki?

– Jestem wściekła, ale oddycham.

– A jedzenie?

– Nie zjadałam dzisiaj stresu, ale dzień się jeszcze nie skończył.

I mam przed sobą cały rok szkolny. Chociaż przez ostatnie trzy lata bez problemu odżywiam się zdrowo i nudnie, Rachel oraz lekarze obawiają się, że wpadnę w spiralę niekontrolowanego zaspokajania apetytu, ponieważ tylu rzeczy muszę sobie odmawiać. Nie rozumieją kompletnie, że nie chodzi o jedzenie. Jedzenie nigdy nie było głównym powodem. A przynajmniej nie bezpośrednio.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to... Ty wiesz, jak daleko zaszłam, ja wiem, jak daleko zaszłam, ale wszyscy inni widzą tylko moją tuszę i to, jaka byłam wiele lat temu, a nie to, jaka jestem teraz.

– Pokażesz im. Komu jak komu, tobie na pewno się to uda.

Nagle czuję, że dłużej nie wysiedzę na tej ławce. Czasami tak się dzieje – po tych długich miesiącach bezruchu muszę walczyć z pragnieniem, by się poruszać.

– Zakręcimy się – mówię.

To właśnie uwielbiam w Rachel. Po prostu wstaje i zaczyna się kręcić, nie zadaje żadnych pytań, nie przejmuje się tym, co inni sobie pomyślą.

* * *

Boże Narodzenie. Mam cztery lata. Babcia daje mnie i mamie olbrzymie świąteczne spódnice – jedna jest zielona, druga czerwona – które przypominają odwrócone parasole. Są brzydkie, ale fantastycznie się kręcą, więc nosimy je aż do Nowego Roku, cały czas kręcąc się i wirując. Nawet kiedy już dawno wyrosłam z mojej spódniczki, i tak kręciłyśmy się w urodziny, na Dzień Matki, zawsze, kiedy warto było coś uczcić.

* * *

Kręcimy się teraz z Rachel tak długo, aż mamy zawroty głowy. Opadamy na ławkę. Ukradkiem sprawdzam puls, wiem, że zadyszka może być pozytywna, ale i negatywna.

Czekam, aż puls się uspokoi, aż będę pewna, że nic mi nie grozi, i wtedy mówię:

– Wiesz może, co się stało z niedźwiedziem? Tym, co tu był?

Nie dziwię mu się, że chciał odgryźć komuś rękę. Ten facet wsadził ją do jego klatki, a klatka była jedyną rzeczą, jaką miał ten miś.

– W gazetach pisali, że został wysłany do Cincinnati na tresurę.

– Jak sądzisz, co tak naprawdę z nim zrobili?

– Myślę, że go zastrzelili.



Ze ściany wpatruje się we mnie mój pra-pra-coś tam-dziadek umieszczony w olbrzymiej ramie. Ma surowe, nieco dzikie spojrzenie. Według legend był niemal świętym człowiekiem zajmującym się rzeźbieniem zabawek z drewna. Gdyby wierzyć rodzinnym opowieściom, to był bezinteresowny Święty Mikołaj z Indiany. Jednak na zdjęciu wygląda jak przerażający gnojek.

Wbija we mnie ten swój szalony wzrok, gdy zostawiam wiadomość Kamowi:

– Siedzę w starym dobrym Masselin's Toys i życzę ci udanego powrotu do domu. Daj mi znać, jeśli potrzebujesz pieniędzy na powrotny bilet lotniczy.

Rozłączam się i mówię do mojego pra-pra-coś tam-dziadka:

– Nie oceniaj człowieka, dopóki nie przejdiesz paru kilometrów w jego butach.

Jestem w sklepie, odpowiadam na mejle, sprawdzam zamówienia, płacę rachunki – zajmuję się tym, co mógłbym robić nawet we śnie. Masselin's Toys to nasz rodzinny biznes już od pięciu pokoleń. Przetrwał wielki kryzys, zamieszki na tle rasowym, wybuch w centrum w 1968 roku i recesję, i zapewne będzie istniał jeszcze długo po śmierci mojego ojca i mojej, a nawet przeżyje kolejną epokę lodowcową, kiedy na świecie zostaną już tylko karaluchy. Od samego początku wszyscy oczekują, że pałeczkę po tacie przejmie obowiązkowy, rzetelny Marcus, ponieważ nie wiedzieć czemu po Jacku wszyscy spodziewają się Wielkich Rzeczy. Ale ja wiem coś, czego oni nie wiedzą. Któregoś dnia będę mieszkał w tym mieście, prowadził ten sklep, ożenię się, urodzą mi się dzieci, zacznę mówić głośno do cudzoziemców i zdradzać żonę. Bo co jeszcze potrafię?

* * *

Dzwoni moja komórka, ale zanim zdążam odebrać, do sklepu wchodzi mężczyzna (ciemne włosy, ciemne brwi, jasna karnacja, koszulka firmowa Masselin's).

Tata odchrząkuje. Chemioterapia uszkodziła mu słuch i zostawiła po sobie ciągłą chrypkę.

– Dlaczego rzuciłeś chemię rozszerzoną?

Skąd to wie, do cholery? Przecież minęły zaledwie dwie godziny.

– Nie rzuciłem.

Powiem wam, skąd wie. Zapewne Monica Chapman szepnęła mu na uszko, kiedy robili to w jego samochodzie.

I zanim zdołam się powstrzymać, w głowie kotłują mi się obrazy nagich części ludzkiego ciała, niektóre należące do mojego ojca.

Tata bierze krzesło i siada, a ja odwracam wzrok, bo nie jestem w stanie pozbyć się tej wizji.

– Słyszałem co innego. – Kiedy pieprzyłem się z Monicą Chapman w laboratorium chemicznym. Kiedy grzmociłem ją pod twoją szkolną szafką, na stole w stołówce, na biurku każdego nauczyciela, który cię uczy.

– Po prostu zmieniłem klasę – odpowiadam, być może odrobinę za głośno.

– A co było nie tak z poprzednią?

Żartuje, prawda? Musi żartować, nie ma mowy, żeby zadawał mi te pytania na poważnie.

Dłużej nie mogę tego unikać. Spoglądam mu prosto w oczy – przez co czuję się jeszcze bardziej zakłopotany niż na początku rozmowy – i mówię:

– Powiedzmy, że mam problem z nauczycielką.

Tata sztywnieje, wie już, że ja wiem, i robi się cholernie niezręcznie. Nagle wszystkie mejle i zamówienia przestają cokolwiek znaczyć. Chcę tylko wyjść stąd, bo po co Monica Chapman miałaby mu mówić cokolwiek na mój temat, gdyby rzeczywiście z nim nie sypiała?

* * *

W kuchni siedzi chudy dzieciak o wielkich uszach i pije mleko ze szklanki do whisky. Chociaż to dziecko, sposób, w jaki siedzi, przypomina mi starego człowieka, który widział już lepsze czasy i lepsze dni. Na stole leży jego torebka.

Wyjmuję szklankę, nalewam sobie soku i pytam:

– Czy to miejsce jest wolne?

Stopą wysuwa dla mnie krzesło, więc siadam, wyciągam w jego stronę szklankę, trącemy się szkłem i w milczeniu pijemy. Słyszę tykanie zegara stojącego w przedpokoju. Oprócz nas nikogo jeszcze nie ma w domu.

W końcu Dusty przerywa ciszę:

– Dlaczego ludzie są tacy wstrętni?

Początkowo sędzę, że wie o mojej rozmowie z tatą albo nawet o mnie, o tym, kim jestem w szkole, ale potem mój wzrok pada na torebkę i widzę jedno z najgorszych możliwych słów wypisane z boku czarnym markerem oraz przecięty pasek.

Patrzę na mojego braciszka.

– Ludzie są wstrętni z wielu powodów. Niekiedy po prostu mają wstrętny charakter. Czasami ktoś inny był wobec nich wstrętny i chociaż nie zdają sobie z tego sprawy, przenoszą to swoje wstrętne wychowanie na resztę świata i innych traktują w taki sam sposób. Niektórzy są wstrętni ze strachu. Jeszcze inni wolą zachować się wstrętnie wobec innych, zanim inni zachowają się wstrętnie wobec nich. To takie bycie wstrętnym w obronie własnej. – Na ten temat mam akurat sporo do powiedzenia. – Kto cię wstrętnie potraktował?

Dusty unosi rękę i kręci głową, co oznacza, że nie zamierza rozmawiać o szczegółach.

– Dlaczego ludzie mieliby być wstrętni ze strachu?

– Ponieważ niektórzy nie są zadowoleni z tego, kim są, a tu nagle pojawia się ktoś, kto doskonale wie, kim jest, i wydaje się bardzo odważny. – Spoglądam na jego torebkę.

– To działa onieśmielająco i chociaż wcale tak nie powinno być, te dzieciaki mogą stać się jeszcze bardziej niezadowolone z samych siebie.

– Nawet jeżeli ten ktoś wcale nie chce, żeby ci inni czuli się niezadowoleni? Tylko zwyczajnie jest sobą?

– Właśnie tak.

– Bez sensu.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Po prostu nie bądź wstrętny.

– Niczego nie mogę obiecać, ale możesz być pewny, że dla ciebie nigdy nie będę wstrętny, braciszku.

Pijemy jak dwaj dobrzy kumple.

– Wiesz, pewnie mógłbym naprawić ci tę torebkę – mówię po chwili. – Albo nawet zrobić ci nową. Niezniszczalną.

Dusty wzrusza ramionami.

– Bez niej będzie mi lepiej.

Mówi to w taki sposób, że mam ochotę kupić mu każdą cholerną torebkę na świecie i nawet zacząć nosić własną w geście solidarności.

– To może zbuduję dla ciebie coś innego? Coś, co zawsze chciałeś? Spełnię każde życzenie.

– Robota Lego.

– Takiego, który będzie odrabiał za ciebie lekcje?

Kręci głową.

– Nie, z lekcjami dam sobie radę.

Opieram się wygodniej o krzesło i rozcieram szczękę, jakbym był głęboko zamyślony.

– W takim razie takiego, który wykona za ciebie twoje obowiązki.

– Uhm.

– To może drona?

– Chciałbym takiego robota, który byłby moim przyjacielem.

To jak cios prosto w splot słoneczny. Łzy mi podchodzą do oczu, ale tylko pocieram szczękę i dopijam sok.

– Mówisz – masz.



Po obiedzie siadam z tatą na sofie i pokazuję mu najnowsze wideo Damsels. Zostało nagrane dwa tygodnie temu na festiwalu w Indianapolis. Błyszczące cekiny, blask reflektorów na stadionie, wiwatujący tłum. I te wszystkie kolory. Co za życie. Chyba nikt inny na świecie nie podziwia tego tak jak ja.

– Jesteś tego pewna? – pyta tata.

– Nie. Ale i tak zamierzam ubiegać się o miejsce. Tato, nie możesz chronić mnie przed wszystkim. Jeśli upadnę na twarz, to upadnę, ale przynajmniej próbowałam.

Wręczam mu formularz, zaczyna go przeglądać, po czym bierze długopis z ławy i się podpisuje.

– Wiesz, Libby? Puszczanie cię z powrotem w świat jest trudniejsze, niż sądziłem.



Siedzę w piwnicy przypominającej zwariowany warsztat Świętego Mikołaja. Jest tu pełno samochodzików i śmieciarek, pluszaków, krótkofalówek i mnóstwa rzeczy firmy Fisher Price. Porzucone zabawki, ale nie tylko – części samochodowe i motocyklowe, elementy kosiarek i urządzeń domowych. Wszystko, z czego da się coś skonstruować. Niektóre projekty dokończyłem, większość jest rozbebeszona, z wywleczonymi wnętrznościami. To właśnie tutaj rozbieram różne sprzęty na części i składam je na nowo, w zaskakujący sposób. To samo chciałbym zrobić z samym sobą.

Dzwoni telefon, to Kam.

– Chłopie, dobiegłem na drugi koniec stanu!

Śmieję się, udając, że jestem męski i odważny.

– Czyżby ta dziewczyna cię wystraszyła?

– Przymknij się. Była cholernie szybka.

– Wszystko dobrze? Chcesz o tym porozmawiać? – Stosuję ton, którego używa jego mama, gdy przemawia do jego młodszej siostry, wiecznie płaczącej i trzaskającej drzwiami.

– To jest to, facet. Złoty puchar.

– Że co?

– Ona. Ona będzie nagrodą. A przynajmniej celem. Kto się na niej utrzyma, wygrywa.

– Co wygrywa? – pytam, chociaż już wiem, co odpowie.

– „Rodeo na tłusciochach”. – Czuję, że ściany warsztatu zaczynają na mnie napierać. – Mass?

– Nie podoba mi się ta zabawa.

– Co to znaczy, że ci się nie podoba?

Nie chcę prowadzić tej rozmowy, ponieważ nie jestem zadowolony z kierunku, w jakim zmierza.

– Wydaje się prostacka. Kurde, facet, przecież to Seth ją wymyślił. – Kiedy człowiek się waha, zawsze może rzucić Seta na pożarcie.

– To nie on ją wymyślił, on tylko o niej opowiedział. Zupełnie inna para kaloszy. Zresztą to cholernie śmieszne. Co w ciebie wstąpiło? Przecież ona mało mnie nie zajechała.

– Seth jest debilem.

Znów rzucam Seta na pożarcie, jednocześnie usilnie myślę, jak to zastopować, zanim upokorzą wszystkie dziewczyny z nadwagą w naszej szkole. Te laski na to nie zasługują. Dziewczyna, która przeskoczyła tamto ogrodzenie niczym gazela i goniła Kama po ulicy, na to nie zasługuje.

– Ona na to nie zasługuje.

– Popierdoliło cię czy co? Zachowujesz się, jakbyś chciał ją zaprosić na bal. Mam zamawiać limuzynę?

– Chciałem tylko zauważyć, że chyba można lepiej wykorzystać ten rok. Widziałeś laski z pierwszej klasy? – Nawiązanie do dziewczyn zawsze się sprawdza.

– Od kiedy jesteś taką miękką cipą?

Milknę. Serce mi wali jak perkusja. Powiedz coś, idioto.

– I tak to zrobimy, Mass. Z tobą czy bez ciebie.

– Okej – mówię w końcu. – Rób, co chcesz.

– Bardzo ci dziękuję. Najważniejsze, że mam twoją akceptację.

– Kutas.

– Palant.

Czułe słówka, jakimi się obdarzamy. To, co nas łączy, wydaje się solidniejsze, trwalsze, za to cały świat trzęsie się w posadach, jakby stał na cienkich palikach wysoko nad ziemią.

CO MÓGŁBYM STRACIĆ, GDYBYM KAZAŁ SIĘ ODPIEPRZYĆ MOIM ZNAJOMYM

Jack Masselin

1. Kam i Seth. Co prawda nie są to najlepsi kumple na świecie, ale to jedyne osoby, które rozpoznaję w miarę regularnie. Być może dlatego, że znam ich dłużej niż kogokolwiek innego, a może dlatego, że łatwo ich wyłowić w tłumie. Tak czy inaczej, wyróżniają się – pewnie z tego powodu zacząłem się z nimi kumplować. Wyobraźcie sobie przeprowadzkę do miasta, w którym zna się tylko dwie osoby i już zawsze będzie się znało tylko dwie, bez względu na to, ilu ludzi się pozna.

2. Świat, który skrupulatnie sobie zbudowałem w murach Martin Van Buren High School. Nie jestem tym, kim jestem, ponieważ wkurzam ludzi. I chociaż może nie zawsze będę tym samym Jackiem Masselinem, ten chłopak jest mi potrzebny. Bez niego jestem popieprzonym nastolatkiem z popieprzoną rodziną i wątpliwą przyszłością. Jedno jest pewne, jeśli chodzi o szkołę średnią: wystarczy dać ludziom pretekst, a rzucą cię na pożarcie wilkom. (Luke'u Revis, do ciebie mówię).

Czyli tak, koniecznie.

3. Ja. Wolałbym nie ryzykować utraty siebie.



Leżę na łóżku – ale nie tym samym, na którym wcześniej spędzałam dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie mogąc wyjść z domu. To kupiliśmy później, gdy już trochę schudłam. Zakładam słuchawki i znajduję piosenkę *All Right Now*. Znam ją z sezonu pierwszego, odcinka szóstego *Nie z tego świata*. Pojawia się na końcu, kiedy Dean mówi Samowi, że żałuje, iż nie miał normalnego życia.

Odkąd pamiętam, chciałam dla siebie normalnego życia. Właśnie takie życie próbowałam sobie stworzyć w głowie, nie wychodząc z łóżka. Kiedy Dean z naprzeciwną uczył się jeździć na deskorolce, ja uczyłam się razem z nim. Ścigaliśmy się przez długie godziny. Kiedy Dean i Sam grali w ogrodzie w koszykówkę, ja grałam z nimi, a kiedy zbudowali przed domem armatę na ziemniaki, pomogłam im ją pomalować i strzelałam kartoflami przez dach. Całą trójką przesiadywaliśmy w ich domku na drzewie, a kiedy starsi bracia Castiela zostawiali go samego, zabierałam go na lody i opowiadałam mu bajki. Potem wracałam do domu, jadłam obiad z mamą i tatą, ponieważ wszystko to działo się w mojej wyobraźni, a więc mogłam zapragnąć sobie, czego tylko chciałam. Mogłam też być, kimkolwiek chciałam – nawet zupełnie normalną, szczupłą dziewczyną.

Podkręcam głośność na tyle mocno, że czuję, jakby muzyka dochodziła ze mnie, płynęła w moich żyłach razem z krwią. Dzisiaj byłam taka wściekła, ale nie przypominam sobie, żebym czuła lęk. Nie dostałam palpacji serca, nie oblał mnie nerwowy pot. Nie miałam wrażenia, że cały świat wiruje, a moją głowę ściska wielka obręcz. Płuca pracowały mi normalnie i całkowicie z własnej woli.

Obok mnie leży formularz zgłoszeniowy do Damsels. W rubryce „Jakie posiadasz zalety lub cechy, których nie znajdziemy wśród innych kandydatek?” napisałam: „Jestem duża, zwracam na siebie uwagę i tańczę jak wiatr”. W całym formularzu nie ma pytania o wagę.

Patrzę na George’a, który właśnie walczy z narzutą i myślę sobie: „Tak. Dobrze. To ja. Nic nie będzie takie jak kiedyś, ale powoli się do tego przyzwyczajam. Może w końcu i ja zacznę żyć normalnie”.



Długo siedzę przy komputerze, próbuję wykombinować, co by napisać. Jestem w stanie coś tam stworzyć, gdy piszę wypracowanie, ale kiepski ze mnie pisarz. Nigdy nie stanowiło to problemu – aż do teraz.

Już tłumaczę, o co chodzi. Mimo wielu wad i niedociągnięć moi rodzice to dobrzy ludzie. Mama bardziej niż tata. Wpili mnie i moim braciom, jak być dobrymi ludźmi i chociaż nie zawsze tak się zachowujemy, mamy to we krwi. A przynajmniej na tyle, że nie chcę, żeby jakaś Bogu ducha winna dziewczyna została upokorzona przez moich debilnych kumpli.

Co będzie, jeśli zrobią coś gorszego niż to rodeo? Na przykład zechcą ją pocałować?

Albo pomacać jej piersi?

W myślach analizuję każdy możliwy scenariusz, wszystkie kończą się niestety rozpaczliwym płaczem tej laski.

Kładę głowę na biurku, sam mam ochotę się rozplakać.

W końcu stwierdzam: "Pieprzyć to!".

Unoszę głowę i zaczynam pisać:

Nie jestem beznadziejnym człowiekiem, jednak za chwilę zrobię coś beznadziejnego. Zdaję sobie sprawę, że znienawidzisz mnie za to – Ty oraz inni ludzie – ale i tak to zrobię, żeby ochronić Ciebie oraz siebie.

NASTĘPNEGO DNIA



Iris Engelbrecht postanawia dołączyć do mnie w stołówce. Nie wiedzieć czemu – może chodzi o nasze łączne rozmiary – idzie pięć kroków za mną.

– Nadal tam jesteś, Iris? – pytam.

– Tak.

To jedno słowo w jej ustach brzmi jak rozpacz i klęska. Iris jest Kłapouchym naszej szkoły. A do tego często mówi o wadze. Nie jestem zainteresowana stanowiskiem Oficjalnej Rzeczniczki Grubych Dziewczyn, a najwyraźniej ona przypisała mi taką rolę – a także rolę Zajebistej, Pewnej Siebie Grubaski. To sto razy gorsze niż funkcja Bezczelnej Grubaski oraz Najlepszej Przyjaciółki-Grubaski. To rola, która wiąże się z wielkimi oczekiwaniami, a ostatnie, na co mam ochotę, to pomaganie komuś w przeżyciu szkoły średniej.

Zmierzam do stolika pod oknem, przy którym Bailey Bishop siedzi z Jayvee De Castro. Nagle jednak zauważam Dave’a Kaminskiego, jego białą głowę przykrytą czarną czapką. Iris ciągnie mnie za rękaw.

– Chcę stąd wyjść.

Odwracam się i ruszam w przeciwnym kierunku, a biedna Iris leci za mną. Wpadam prosto na kumpla Dave’a Kaminskiego, jednego z tych gości, którzy siedzieli z nim na trybunach. Jest wysoki, szczupły, ma złotobrazową skórę i ciemnobrazowe włosy, które wystrzeliwują we wszystkie strony, jak promienie słońca.

– Sorry – mówi chłopak, zanim zdążam zejść mu z drogi. W jego oczach dostrzegam coś poważnego, jakiś niepokój, jakby stracił najlepszego przyjaciela.

– Nie, to ja przepraszam – odpowiadam i schodzę na lewo, żeby go obejść. Ale wtedy on rusza w tę samą stronę. Robię krok w prawo, on też. Uświadamiam sobie, jak idiotycznie musi to wyglądać, ale w tej samej chwili słyszę gdzieś za plecami głos Dave’a Kaminskiego, który krzyczy:

– JA PIERDZIEŁĘ, ZACZEŁO SIĘ!

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że chłopak za chwilę zemdleje.

– Przepraszam – odzywa się znowu, po czym rzuca się na mnie i trzyma się tak mocno, jakby jego życie od tego zależało.

Zaskoczył mnie tak bardzo, że nawet nie jestem w stanie się ruszyć. Wracam myślami do czasów, kiedy miałam dziewięć lat i wyjechaliśmy na rodzinne wakacje wraz

z rodzicami, kuzynostwem i ciotkami. To było na plaży w Karolinie Północnej. Panował upał, wszyscy pływaliliśmy. Włożyłam ulubiony strój kąpielowy w różowo-żółtą kratkę i brodziłam na płytkach, kiedy nagle do nogi przyczepiła mi się meduza. Mały potwór, który nie chciał puścić, rodzice musieli mnie wynieść z wody i odczepić go siłą, a ja już myślałam, że to koniec i że umrę.

Teraz inny potwór trzyma mnie równie mocno. Początkowo tylko stoję nieruchomo, zupełnie jakby świat zamarł, a ja razem z nim. Wszystko po prostu

Z

W

A

L

N

I

A

I się zatrzymuje.

Zamiera.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję panikę. Coś ściska mnie w piersi, mój oddech jest zbyt szybki, dłonie mi wilgotnieją, szyja oblewa się gorącem.

Nagle wracam do rzeczywistości – może pomagają mi w tym krzyki, oklaski i buczenie? Czy to raczej muczenie? Nieważne, w każdym razie wracam do stołówki i tego chłopaka, który przylega do mnie jak sweter.

– Nie. – Rozpoznaję własny głos, jednak brzmi tak, jakby dochodził z oddali, jak gdybym znalazła się po drugiej stronie szkoły.

Teraz rozumiem, że to jakaś okropna gra. „Przytul się do grubaski” albo „Przyklej się do grubej dziewczyny”. To jeszcze gorsze niż wyrzucenie z placu zabaw, ogarnia mnie taka wściekłość, że aż się cała trzęsę. Czuję, jak podwyższa się temperatura mojego ciała, on zapewne też to zauważa, w końcu jest do mnie przyczepiony, jakby był moją ręką albo nogą.

Myślę sobie: „Nie po to schudłam sto trzydzieści siedem kilo i zrezygnowałam z jedzenia pizzy oraz ciasteczek Oreo, żeby taki dupek poniżał mnie teraz w stołówce”.

– NIIIIIIIIII! – Mój okrzyk brzmi jak ryk lwa.

Jak na tak chudego gościa jest naprawdę silny, muszę więc zebrać w sobie całą energię, żeby go oderwać jak plaster od rany.

A potem walę go w pysk.



Leżę na podłodze w stołówce, a ta dziewczyna stoi nade mną. Chyba mi coś przestawiła w szczęce, rozmasowuję sobie twarz, by się upewnić, czy nadal wszystko jest na miejscu, a kiedy zabieram rękę, widzę krew na palcach.

– Jasna cholera! – gulgoczę. Chryste, chyba rozwaliła mi krtań. – Dlaczego mnie uderzyłaś?

– DLACZEGO SIĘ NA MNIE RZUCIŁEŚ?

Mój wzrok wędruje ku jej plecakowi i wystającemu z kieszeni listowi, który udało mi się ukradkiem włożyć. Chciałbym powiedzieć: „Zrozumiesz to później”, ale nie mogę, bo ocieram właśnie krew z ust.

Nie potrafię nikogo rozpoznać, ale wiem, że wszystkie twarze w stołówce są zwrócone w naszą stronę, wszystkie pary oczu się na nas gapią, wszystkie usta są rozdziawione. Dziewczyna nadal nade mną góruje.

– Wstaję – odzywam się z podłogi. – Ostrzegam, na wypadek gdybyś chciała mnie znowu uderzyć.

Czyjaś ręka się do mnie zbliża, widzę przymocowanego do niej wysokiego, białego chłopaka z debilną czarną czapką na głowie. Nienawidzę czapek, ponieważ czasami jedynym znakiem szczególnym danej osoby są jej włosy – czapka je maskuje, a więc maskuje także tę osobę. Nie jestem pewien, czy powinienem chwytać rękę, ale ponieważ nikt inny nie oferuje pomocy, pozwalam się pociągnąć do góry. Chwilę później ten gnojek wybucha śmiechem.

– Jesteś kretynem – mówi do niego dziewczyna.

Chłopak unosi rękę, jakby wyciągnęła pistolet.

– Ej, to nie ja cię złapałem.

– Może i nie, ale jestem pewna, że miałeś z tym coś wspólnego – odpowiada ona, co sugeruje, że chłopak to może być Dave Kaminski.

Pojawia się inna dziewczyna, ciemna, zła, z pieprzykiem nad okiem. Staje przed laską, na którą się rzuciłem.

– UDERZYŁAŚ GO? TY GŁUPIA KROWO! PRZECIEŻ NIC CI NIE ZROBIŁ!

– Tylko Caroline Lushamp może mieć taki głośny i wysoki głos.

– Zasłużyłem na to. Nie powinienem był tak jej chwytać – odpowiadam. Hm, nagle staję w obronie mojej napastniczki.

– Ona ci to zrobiła? – pyta chłopak o szpiczastej brodzie i kudłatych włosach. Szukam na jego twarzy jakichś charakterystycznych cech, ale wszyscy nagle czegoś ode mnie chcą. To koszmar, bo nie wiem, z kim mam do czynienia. Ludzie ciągną mnie za ręce, chcą wiedzieć, co się stało, czy wszystko w porządku, mówią mi, że będzie dobrze i że nie mam się martwić. Chciałbym, żeby dali mi spokój, żeby sobie poszli, bo powinienem ich znać, ale nie znam. Równie dobrze mógłbym mieć amnezję. Przerazają mnie, zastanawiam się, czy nie kazać im się ode mnie odpieprzyć. To ona zasługuje na zainteresowanie, a nie ja. To moja wina, a nie jej.

– Jax, co się stało, do jasnej cholery? – Chłopak ze szpiczastą brodą musi być moim bratem Marcusem, ponieważ tylko Marcus mówił na mnie „Jax”, kiedy byliśmy młodszy.

Chociaż nie mam pewności. Nawet niemowlęta rozpoznają twarze. Psy. Nawet Carl Jumers, który w dalszym ciągu – ile lat minęło od czasu, gdy skończyliśmy podstawówkę? – liczy na palcach, a ostatnio zjadł kocie gówno, bo ktoś go podpuścił.

Zjawia się facet z ochrony, przepycha się przez tłum. Jest też nauczyciel (siwe włosy, broda), który próbuje zapanować nad ludźmi. Oznajmia, że nie ma tu nic do oglądania, i każe wszystkim zająć się swoimi sprawami. Wtedy pospiesznym krokiem nadchodzi jakaś dziewczyna.

– Jack Masselin? Co się stało?

Przygląda się badawczo mojej twarzy, w tym momencie nie jestem już pewien, skąd krwawię. Czy ja ją znam? Nic w niej nie wygląda znajomo, a wtedy ktoś mówi:

– To jego wina, pani profesor. On ją chwycił, powiedzcie pani Chapman.

Spoglądam jej prosto w oczy, jakbym chciał powiedzieć: „No dawaj, kobieto! Pokaż mi, co masz w sobie. Pokaż mi, dlaczego jesteś taka wyjątkowa”. Bo musi być w niej coś niesamowitego, no nie? W przeciwnym razie dlaczego tata wybrałby ją zamiast swojej rodziny i ryzykowałby, że wszystko utraci?

Ale jedyną osobą, która wyróżnia się z tego bełkoczącego, chaotycznego tłumu, nie jest ani mój brat, ani kobieta niszcząca małżeństwo moich rodziców. To dziewczyna, której nawet nie znam, największa ze wszystkich.



Nasza dyrektorka, pani Wasserman, to chuda kobieta, przypominająca skaczącą fasolkę. Według wiszącej za biurkiem tabliczki piastuje swoje stanowisko od dwudziestu pięciu lat. Siadam naprzeciwko, obok tego chłopaka i kobiety, która zapewne jest jego matką.

– Twój tata powinien tu być lada chwila – mówi dyrektorka.

Nagle chce mi się wymiotować, bo cofam się w czasie do najgorszego momentu w życiu. Chodziłam wtedy do piątej klasy, kiedy w samym środku szkolnego apelu dyrektorka wywołała mnie przy wszystkich i wyprowadziła z auli. Zabrała mnie do swojego gabinetu, w którym czekał już na mnie tata wraz ze szkolną psycholog. Na rogu biurka stało wielkie pudełko chusteczek higienicznych i na nim się właśnie skupiałam. To było ogromne opakowanie, jakby ktoś je stworzył specjalnie na taką okazję.

– Mama jest w szpitalu, musimy do niej jechać.

– Co to znaczy?

Musiał mi to powtórzyć trzykrotnie, żebym w końcu zrozumiała, a i tak uznałam to za okropny żart, jakby ktoś uknuł spisek, bo chciał mi splatać wyjątkowo okrutnego figla.

– Libbs?

Podnoszę głowę, mój tata wchodzi do gabinetu.

– Wszystko dobrze?

– Nic mi nie jest.

Ktoś przynosi dla niego krzesło, a potem dyrektorka opowiada wszystkim, co się wydarzyło w stołówce.

Nieznajoma patrzy na swojego syna, jakby to było dziecko Rosemary.

– Mam nadzieję, że istnieje jakieś sensowne wytłumaczenie tego, co zrobiłeś.

Mój tata stwierdza:

– Chciałbym usłyszeć wytłumaczenie, które pozwoli mi zrozumieć to, co się stało.

Dyrektorka mówi głośno, przekrzykując ich oboje:

– Chciałabym posłuchać Jacka i Libby.

Wszyscy na nas spoglądają.

– Chwycił mnie.

– Jak cię chwycił?

– Rzucił się na mnie i przytrzymał się tak, jakbym była kołem ratunkowym, a on

ostatnim pasażerem schodzącym z pokładu Titanica.

Ten chłopak, Jack, odchrząkuje głośno.

– To nie do końca tak – mówi.

– Nie? – pytam, unosząc brwi.

On jednak na mnie nie patrzy. Jest zbyt skoncentrowany próbą uwiedzenia pani Wasserman. Pochyla się do przodu na swoim krześle i mówi powoli, przeciągając samogłoski, jakby knuł wraz z nią jakiś spisek.

– To była głupota. Czysta głupota. Ja tylko... – Spogląda na swoją mamę. – Ostatnie dwa lata nie były łatwe – wyjaśnia i przenosi wzrok na dyrektorkę. Patrzy na nią intensywnie, jak gdyby chciał ją zahipnotyzować. – Nie mówię, że to wytłumaczenie mojego postępowania, ale chyba nie potrafię się w żaden sposób usprawiedliwić...

To zaklinacz węży, na szczęście dla mnie pani Wasserman nie jest kretynką. Przerzywa mu w połowie zdania i zwraca się do mnie:

– Chciałabym się dowiedzieć, co było przyczyną tego ciosu.

– Uderzyłaś go? – pyta mój tata. W odpowiedzi Jack pokazuje na swoją twarz.

– Złapał mnie – mówię.

– Technicznie rzecz biorąc, przytuliłem ją.

– To nie było tulenie, tylko łapanie.

– Dlaczego ją złapałeś, Jack? – pyta dyrektorka.

– Ponieważ byłem idiotą. Nie miałem nic złego na myśli, nie próbowałem jej przestraszyć ani się nad nią znęcać. Przykro mi, ale nie jestem w stanie podać lepszego wytłumaczenia.

Jego wzrok mówi: „Wybaczysz mi. Zapomnisz o wszystkim, co się wydarzyło. Będziesz mnie uwielbiać jak wszyscy inni”.

– Czułaś się zagrożona, Libby?

– Nie czułam się dobrze, jeśli o to pani pyta.

– Ale czy czułaś się niebezpiecznie pod względem seksualnym?

O Jezu.

– Nie. Czułam tylko poniżenie.

A teraz jeszcze większe, dziękuję bardzo.

– Nie tolerujemy w naszej szkole żadnych napaści na tle seksualnym.

Mama Jacka pochyla się do przodu.

– Pani dyrektor, jestem prawnikiem i tak samo jak pani... albo nawet bardziej... przejmuję się tym, co się dzisiaj wydarzyło, ale dopóki...

Pani Wasserman przerywa jej, powtarzając:

– Chciałabym posłuchać Jacka i Libby.

Czuję, jak życie uchodzi z siedzącego obok mnie chłopaka. Zerkam na niego, wygląda jak pusta skorupa, jakby ktoś wyssał z niego całą krew. Wiem, że cokolwiek debilnego nim kierowało, gdy mnie łapał, na pewno nie chciał, żeby to się tak skończyło.

– To nie była napaść na tle seksualnym. W ogóle nie miałam takiego odczucia i nie czułam zagrożenia.

– Ale go uderzyłaś.

– Nie z tego powodu.

– A z jakiego?

– Ponieważ chwycił mnie w absolutnie asekualny, ale i tak niezwykle denerwujący i upokarzający sposób.

Dyrektorka splata dłonie na biurku. Wbija w nas wzrok, jakby chciała, żebyśmy zmienili się w kamień.

– Bójki na terenie szkoły to poważna sprawa. A także wandalizm.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co ma na myśli. Podnosi ksero zdjęcia, nawet nie muszę patrzeć, wiem, co się na nim znajduje.

– Wiesz coś na ten temat? – pyta Jacka.

Chłopak przysuwa się i patrzy na zdjęcie, a potem cofa się i kręci głową.

– Nie, proszę pani.

– Chciałbym to zobaczyć – mówi mój tata.

Gdy bierze kartkę, dyrektorka mówi:

– Obawiam się, że ktoś oszpecił ściany w jednej ze szkolnych łazienek, zostawiając na nich napisy uwłaczające pana córce. Zapewniam pana, że się tym zajmiemy. Nie tolerujemy tego typu zachowania. – To powiedziawszy, spogląda znów na Jacka. Jego mama też na niego patrzy. I mój tata – a twarz tężeje mu tak bardzo, że chyba za chwilę rozpadnie się na kawałki.

Chciałabym stać się niewidzialna. Zamykam oczy, jakby to miało mi w czymś pomóc. Gdy otwieram je ponownie, nadal siedzę na tym samym krześle, a wszyscy się na mnie gapią.

– Słucham? – pytam.

Tata macha kartką.

– Wiesz, kto to zrobił?

Mam ochotę powiedzieć: „Nie. Skądże”.

– Libbs?

Mam wybór: mogę skłamać, zaprzeczyć. Albo oskarżyć o to Jacka. Lub powiedzieć prawdę.

– Tak.

– „Tak”, w sensie wiesz, kto to zrobił?

– Uhm.

Wszyscy patrzą wyczekująco.

– To ja.

Upływa dłuższa chwila, zanim to do nich dociera.

Chłopak gwizdże.

– Jack – strofuje go mama.

– Przepraszam. No ale... – I znów gwizdże.

Dyrektorce rzędzie mina, wyobrażam sobie, jak dzisiaj wieczorem usiądzie z mężem i powie mu, że dzisiejsze dzieciaki są zupełnie inne, że łamiemy jej serce i dobrze, że wkrótce odchodzi na emeryturę, bo nie wie, czy byłaby w stanie dłużej to ciągnąć.

– Dlaczego, Libby? – pyta mój tata.

Może to przez sposób, w jaki powiedział „Libby” zamiast „Libbs”, w każdym razie

mam wrażenie, że zaraz się rozplaczę.

– Ponieważ i tak ktoś by to napisał.

Nagle czuję się naga, równie dobrze można by mnie położyć na stole do sekcji zwłok i ukazać światu moje wnętrze. Nie ma mowy, żeby udało mi się wyjaśnić komukolwiek, nie licząc taty, jak ważne jest przygotowanie, znajdowanie się zawsze krok przed wszystkimi i wszystkim.

– Lepiej być myśliwym niż ofiarą polowania, nawet jeśli polujesz na samego siebie. Patrzą Jackowi w oczy.

– Coś w tym stylu.

– A potem ja się zjawiłem i tylko potwierdziłem twoją teorię.

Utrzymuję spojrzenie jeszcze przez kilka sekund, a potem oboje odwracamy wzrok. Siedzimy w piątce, w gabinecie panuje kosmicznie niezręczne milczenie, które w końcu przerywa dyrektorka, mówiąc:

– Istnieje kilka możliwych kar, które mogłabym wyznaczyć. Zawieszenie w prawach ucznia. Wyrzucenie ze szkoły. W niektórych sytuacjach szkoły w Rushville i New Castle wzywały policję, żeby dokonała aresztowań.

– Można też uznać, że wystarczającą karą dla mnie będzie to, że cała szkoła widziała, jak dziewczyna spuściła mi łomot.

– Możemy cię także oskarżyć o znęcanie się nad innymi – stwierdza pani Wasserman, na co pani prawniczka, matka Jacka, prawie spada z krzesła.

– Zanim zaczniemy mówić o oskarżeniach...

– A ciebie, Libby, o przemoc – przerywa jej dyrektorka.

– To była samoobrona! – Mój głos jest zbyt głośny i wysoki. – Znaczą, kiedy go uderzyłam.

Chociaż to, co w łazience, też można zaliczyć do samoobrony.

Dyrektorka wskazuje głową Jacka.

– Puścił cię, zanim go uderzyłaś?

– Niezupełnie, musiałam go oderwać od siebie.

Kobieta kręci głową i wzdycha głęboko.

– Nie podejmę decyzji w tej chwili. Muszę porozmawiać ze świadkami, spojrzeć na wasze karty zachowania, rozważyć różne opcje. Chcę jednak podkreślić, że w naszej szkole nie tolerujemy przemocy, znęcania się nad innymi oraz zachowań, które choćby śladowo wskazują na molestowanie seksualne – mówi, patrząc przez zmrużone oczy najpierw na Jacka, a potem na mnie. – I nie jestem zwolenniczką wandalizmu.



Mamy zaczekać pod gabinetem dyrektorki. Gdy wychodzimy, do środka wchodzi strażnik, brodaty nauczyciel oraz dwoje uczniów. Cholera wie, kto to, może nawet mój brat? Siadamy z Libby na ławce. Obserwuję drzwi prowadzące go głównego holu i myślę tylko o jednym: „Boże, nie pozwól, żeby Monica Chapman weszła tutaj teraz, gdy jest tu mama”.

Libby obrzuca mnie spojrzeniem.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Mam ochotę powiedzieć: „Przeczytaj list”, ale w tym momencie list wydaje mi się szalenie idiotycznym pomysłem.

– Ty nigdy nie zrobiłaś czegoś głupiego albo podłego bez większego namysłu? Czegoś, czego od razu żałowałaś? – Nie odpowiada, więc mówię dalej: – Czasami ludzie są wredni z natury. Czasami zachowują się wrednie, bo się boją. Niekiedy są wredni, żeby uprzedzić innych i ich wredne reakcje. To taka wredota w samoobronie.

Ponieważ mam popieprzony umysł. Ponieważ sam jestem popieprzony.

– Dlaczego akurat ja? Czy nie powinnam o to pytać?

– Nie powinnaś. – Nie ma mowy, żebym wymówił w jej obecności słowa „rodeo na tłuszczochach”.

Przewraca oczami i patrzy gdzie indziej.

– Myślisz, że nas zawieszają? Albo wywalą? – rzuca w drugą część korytarza.

– Nie. To nie moje pierwsze... – Już prawie mówię „rodeo”, na szczęście gryzę się w język. – Będzie dobrze – mówię, chociaż nie jestem tego wcale pewien.

Jej wzrok znów napotyka mój, uśmiecham się do niej, chociaż nienawidzę samego siebie. Wargi zaczynają mi krwawić.

– Boli? – pyta ona.

– Tak.

– To dobrze.

* * *

Jakąś godzinę później otwierają się drzwi do gabinetu dyrektorki i pani Wasserman (krótkie siwe włosy, okulary) woła nas do środka. O parapet opiera się dwóch facetów – jeden z nich to olbrzym, drugi jest chudy i wąły. Tata Libby mierzy mnie ostrym

wzrokiem. To barczysty mężczyzna, przypomina Charlesa Bronsona, czuję potrzebę powiedzenia:

– Przepraszam pana.

Zajmujemy z Libby te same krzesła co poprzednio. Napotykam spojrzenie mamy, która kręci głową (mama nosi dwie fryzury na zmianę, dzisiaj ma włosy zaczesane do góry). Może nie rozpoznałem twarzy, ale wiem, kiedy ktoś jest rozczarowany albo wściekły. Albo jedno i drugie – jak moja mama. Przypominam sobie te wszystkie momenty, kiedy kazała mi trzymać się z dala od kłopotów, argumentowała, że ludzie będą dla mnie gorsi ze względu na to, jak wyglądam. Wiem, że ją zawiodłem. Wiem też, co jeszcze powie: że zawiodłem samego siebie.

Siwowłosa kobieta opiera łokcie na biurku i pochyla się do przodu.

– Nie zawieszę was w prawach ucznia ani nie wyrzucę ze szkoły. Nie tym razem. Zamiast tego oboje wykonacie wspólnie prace społeczne, tyle że będą to prace społeczne w obrębie naszej szkoły. Waszym zadaniem będzie pomalowanie trybun i szatni. Pan Sweeney tego dopilnuje.

Olbrzym kiwa głową.

– Poza tym w ciągu najbliższych tygodni codziennie po lekcjach będziecie mieli spotkanie ze szkolnym psychologiem. Kółko konwersacyjne to jest technika coraz częściej stosowana w szkołach, wierzę, że i u nas się sprawdzi. Ważne, abyście wyciągali wnioski z własnych i cudzych doświadczeń. Pan Levine – chudy facet kiwa do nas ręką – specjalizuje się w kluczowych problemach współczesnych nastolatków, takich jak znęcanie się nad innymi, uprzedzenia oraz napastowanie seksualne.

Odchrząkuję, nadal boli mnie gardło.

– To chyba niesprawiedliwe karać ją za to, że ją sprowokowałem. Może ja odbędę karę za nas oboje.

– Nie do wiary! – mówi Libby.

– Co?

– Nie można być jednocześnie czarnym charakterem i bohaterem.

– Dziękuję, Jack, ale Libby także złamała szkolne zasady – odzywa się dyrektorka.

* * *

Gdy wychodzimy, próbuję ponownie przeprosić, ale ojciec kładzie rękę na ramieniu Libby i odprowadza ją w przeciwną stronę.

– Porozmawiamy w domu, Jacku Henry – mówi moja mama na parkingu. Użyła moich obu imion, nie robiła tego od lat. Chwilę później odjeżdża bez słowa.

Idę prosto do sklepu, mam nadzieję, że uda mi się ominąć i uniknąć wszystkich – a konkretnie mojego ojca. Ledwo siadam za biurkiem w kantorku, kiedy wchodzi.

– Słyszałem, co się dzisiaj wydarzyło. Co ty sobie, do diabła, myślałeś?

Odpowiadam, że nie wiem, że to miał być kawał, ale przerodził się w idiotyczny pomysł, że żałuję tego, co zrobiłem, i jeszcze inne rzeczy, które sobie układałem w głowie przez ostatnie godziny.

– Zawiodłeś mnie i mamę.

Nie musi mi tego mówić. Mam ochotę powiedzieć: „Ty mnie też”. Ale mówię co

innego:

– Przepraszam.

Gdy zostaje wreszcie sam, włączam telefon. Bombardują mnie nagrane wiadomości i esemesy. Caroline, Seth. Bailey Bishop, Kam i około stu innych osób – wszyscy doskonale wiedzą, co się stało.

Bailey Bishop płacze, ponieważ nie może uwierzyć, że mogłem tak skrzywdzić drugiego człowieka. Caroline nawija głównie o siebie, a mój brat chce wiedzieć, czy ze mną wszystko w porządku i co powiedziała dyrektorka.

Kam mówi:

– Brawo, księżniczko, wygrałeś. Wybierz knajpę, zabierzemy twój żenujący tyłek na zwycięski obiad. Ale wiesz co? Bądź tak dobry i zanim to nastąpi, nie dawaj się już skopać żadnej lasce.

Po czym następuje pełna minuta rehotu.



Gra radio, ale cicho, a mój tata gada i gada. Kiedy porusza znów temat uczenia w domu, mówię:

– Nie musisz się o mnie martwić. Potrafię o siebie zadbać.

– Naprawdę go uderzyłaś?

– Prosto w pysk.

Wybucha śmiechem.

– Ty się śmiejesz?

– Chyba tak.

– Nie powinieneś. Powinieneś mi wytłumaczyć, że przemoc nigdy niczego nie rozwiązuje, i zabrać mi telefon czy coś w tym rodzaju.

– Nigdy już nikogo nie bij. A jeśli ma ci to pomóc, oddaj mi komórkę – rzuca i dalej się śmieje.

Teraz i mnie to rozśmiesza. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję się normalnie. My czujemy się normalnie. Zaczynam sądzić, że może to, co się dzisiaj wydarzyło, wcale nie było takie straszne. Może całe to upokorzenie oraz czekające mnie godziny prac społecznych i terapii były tego warte.

– Nie pozwól, żeby ten chłopak zniszczył wszystko, nad czym tak ciężko pracowałaś – mówi tata, gdy podjeżdżamy pod dom.

– Nie pozwolę – odpowiadam. – Jutro rano idę do szkoły. – Patrzę w dół, na buty i na to, co na nich wypisałam. „Trudno przecież przestać żyć”.



Dusty jest w swoim pokoju, gra na konsoli. Ma na głowie słuchawki, słyszę muzykę – to Jackson 5, a ich słucha tylko wtedy, kiedy czuje się naprawdę podle.

Macham do niego ręką, w końcu podnosi wzrok.

– Co? – pyta bezgłośnie.

Naśladuję gest zdjęcia słuchawek, przesadnie, wyszukanie, z nadzieją, że to go rozbawi. On jednak mnie ignoruje.

Zaczynam tańczyć, Dusty nie potrafi się oprzeć tańcom. Leci *Rockin' Robin*, daję z siebie wszystko. Idę na całość. Kiwam się i wyginam, jakbym brał udział w teledysku. Jestem Michaeliem Jacksonem w kwiecie wieku.

– Jestem gościem – mówię głośno, tak żeby mnie usłyszał. Potrząsam swoją lwią grzywą, aż się napusza.

– Nie jesteś gościem – odpowiada mój brat zbyt głośno, jak to zwykle bywa, kiedy człowiek ma na głowie słuchawki i słucha Jackson 5 na cały regulator.

– Jestem gościem. – Wykonuję kroki taneczne, których mnie nauczył. Celowo popełniam błędy, bo wiem, że nie będzie mógł się powstrzymać. Każe mi się produkować przez kolejne trzydzieści sekund, po czym wstaje, zdejmując słuchawki i pokazuje mi właściwe ruchy. Kończymy piosenkę, tańcząc synchronicznie, i jest naprawdę bosko. Kiedy jednak utwór się kończy, Dusty opada na łóżko i rzuca mi spojrzenie mówiące, że możemy się bratać wyłącznie podczas tańca, w żadnych innych okolicznościach.

Dla podkreślenia swojego stanowiska mówi:

– Nie jesteś gościem.

– Pewnie nie.

Siadam obok niego, obaj wpatrujemy się w podłogę.

– To dlaczego? Dlaczego zrobiłeś taką wredną rzecz?

Myślę o wszystkich powodach, które wcześniej wymieniłem. Ludzie są wstrętni z wielu powodów. Niekiedy po prostu mają wstrętny charakter. Czasami ktoś inny był wobec nich wstrętny. Niektórzy są wstrętni ze strachu. Jeszcze inni wolą zachować się wstrętnie wobec innych, zanim inni zachowają się wstrętnie wobec nich. Czasem ktoś nie jest zadowolony z tego, kim jest, a tu nagle pojawia się dzieciak, który doskonale wie, kim jest. Wtedy ten ktoś czuje się jeszcze gorzej.

– Może chodziło o wszystkie powody naraz. Ale mówiłem szczerze, nigdy nie będę

wstrętny dla ciebie.

A potem mój brat patrzy na mnie i równie dobrze mógłby uderzyć mnie w rozciętą wargę, bo mówi:

– Musisz to naprawić.

– Wiem.



Kiedy tata przychodzi do kuchni, właśnie jem na stojąco, a to coś, czego w naszym domu już się nie praktykuje, tak samo jak jedzenia przed telewizorem czy szybkiego pochłaniania posiłków. Mamy też zasadę, że kończymy jeść, kiedy czujemy się najedzeni w sześćdziesięciu procentach.

Na widok taty odstawiam talerz. Nie wiem, skąd pochodzi mój ból – z serca czy z żołądka – ale jedzenie do niego nie sięga.

Gdy odeszła moja mama, też stałam się taka pusta. Jakby wszystko ze mnie uleciało. Trzymałam ją za rękę, dopóki nie przyszli babcia, tata i cała reszta rodziny. Wszyscy kochani, cudowni, załamani, ale nikt taki jak mama. Nawet zebrani razem nie sięgali jej do pięt.

Wzrok taty wędruje ku mojemu talerzowi, ale nie słyszę żadnego komentarza.

– Przyszła do ciebie Bailey Bishop.

* * *

Bailey stoi na środku mojego pokoju, odwraca głowę, a wtedy jej włosy łapią światło, zupełnie jakby chciały przechwycić je całe i zachować dla siebie.

– Sporo czasu minęło – mówi i pochyla się nad George'em, żeby podrapać go pod brodą. Co dziwne, on jej na to pozwala. Zdrajca, myślę. – Wtedy go nie miałaś?

Dostałam go, kiedy miałam osiem lat.

Wybrałyśmy go razem z mamą – czy raczej on wybrał nas. Brałyśmy akurat udział w akcji schroniska, kiedy George wyswobodził się z klatki i wlaźł mamie do torebki.

– Miał umrzeć cztery lata temu, ale jeszcze nie jest gotowy.

Bailey była u mnie ostatnio, gdy miałyśmy dziesięć lat. Zaprosiłam ją, Monique Benton i Jesselle Villegas na nocleg. Siedziałyśmy przez całą noc i gadałyśmy o chłopcach oraz zdradzałyśmy swoje najgłębsze sekrety. Bailey przyznała się, że kiedy jej młodszy brat się urodził, próbowała go wydać obcym ludziom. Ja wyznałam, że czasami podglądałam chłopaków, którzy mieszkają naprzeciwko. To było wcześniej, zanim Dean, Sam i Castiel zostali moimi jedynymi przyjaciółmi.

Bailey się prostuje, koncentruje całą swoją Baileyowatość na mnie i mówi:

– Tak mi przykro, że nigdy cię nie odwiedziłam. Powinnam była do ciebie wpaść. Kiedy tu leżałaś. Znaczy, nie tu, w poprzednim domu.

To mnie kompletnie zbija z tropu, stoję nieruchomo jak kołek. Jakim cudem ona jest taka miła i jeszcze ma takie cudowne włosy?

– W porządku – wyduszam w końcu. – Nie byliśmy przyjaciółkami ani nic w tym rodzaju.

– Ale byliśmy koleżankami. Powinnam była przyjść.

Czy wypadałoby, żebym ją przytuliła? Powiedziała, że nic nie szkodzi? Czy może, że powinna była mnie odwiedzić dawno temu, kiedy tkwiłam uwięziona w domu – kiedy tata zabrał mnie ze szkoły?

– Muszę ci coś wyznać, to będzie okropne, ale nie chcę, żebyś się dowiedziała tego w szkole. – Bailey wygląda nagle tak, jakby miała się rozplakać. Od razu myślę, że chce mi powiedzieć, że umiera, a może to ja umieram.

Opowiada mi o grze. O tym, że byłam główną nagrodą w czymś, co się nazywało „rodeo na tłusciochach”, i że w mediach społecznościowych rozniosło się to jak wirus. Wszyscy zostali zainfekowani, a dwa tysiące uczniów z mojej szkoły oraz wielu obcych zastanawia się (wyobrażacie to sobie?), czy opowiedzieć się za Jackiem, czy za mną.

Ktoś zamieścił moje zdjęcie zrobione zaraz po tym, jak zostałam zaatakowana. Stoję w stołówce, wyglądam jak wściekła osa, mam zaciśnięte pięści, a Jack Masselin leży mi u stóp. Nie widać jego twarzy, za to moją – owszem (niebezpiecznie czerwona, lekko spocona). Podpis: „Lepiej nie zadzierać z Szaloną Lbs”. Oczywiście użyto „Lbs”, co jest skrótem od funta. Pod spodem znajduje się siedemdziesiąt sześć komentarzy, z czego zaledwie kilka pozytywnych. Oraz: „Jest ładna jak na grubaskę”. A także: „Na jej widok mam ochotę przestać jeść już na zawsze”. I jeszcze po prostu: „SCHUDNIJ, TŁUSTA DZIWKO”.

Właśnie dlatego nie ma mnie na portalach społecznościowych. Tyle podłych i wściekłych komentarzy oraz znęcania się nad innymi pod płaszczykiem: „Wyrażam tylko własną opinię, do czego daje mi prawo konstytucja naszego kraju. Jak ci się nie podoba, nie czytaj”. Bla, bla, bla.

Odczuwam nieprzemienne pragnienie, by wyrzucić swój telefon i komórkę Bailey, a potem wyjść na ulicę i zabierać telefony wszystkim przechodniom.

– Może nie powinnam była ci tego mówić – odzywa się Bailey. Gryzie paznokcie i mruży oczy, w których zbierają się łzy.

– Cieszę się, że to zrobiłaś. – Oczywiście nie jestem szczęśliwa, ale i tak prędzej czy później bym się o tym dowiedziała, najlepszym rozwiązaniem jest usłyszeć to z ust najszlachetniejszej osoby na całym świecie.

Wyłączam komórkę, a potem komputer, żebym nie mogła już nic więcej zobaczyć na swój temat.

– Mam serdecznie dosyć czytania o sobie – mówię do Bailey, a ona kiwa głową w ten swój ochoczy sposób. Zaczynam chodzić po pokoju, co oznacza, że zaraz zacznę gadać. Dużo. – Przede wszystkim z tych wpisów nie wynika nic nowego ponad to, że mam nadwagę. Ludzie kochani, my to wiemy. Zajmijcie się czymś innym.

Bailey potakuje jak oszalała.

– My to wiemy.

– A to „ładna jak na grubaskę”? Co to niby oznacza? Dlaczego nie mogę być po

prostu ładna, koniec, kropka? Czy ja bym powiedziała: „O, Bailey Bishop. Jest ładna jak na taką chudą laskę”? Jesteś Bailey. I jesteś ładna.

– Dziękuję. Ty też. – W przeciwieństwie do Caroline i Kendry ona mówi to szczerze.

– „Gruba dziewczyna równa się dziwka” to kolejne gówno – dorzucam. Bailey się krzywi, więc się poprawiam: – Przepraszam, chciałam powiedzieć „dziadostwo”. Co to ma być? Dlaczego jestem z automatu dziwką? Czy to jest w ogóle logiczne?

– Nie jest.

– Gdyby każdy, kto ma coś do powiedzenia na mój temat, zaczął, nie wiem, zajmować się filantropią, pracą nad swoim charakterem albo duszą, świat byłby o wiele lepszym miejscem.

– O wiele.

Gadam tak i gadam, z Bailey w roli mojej cheerleaderki, dopóki się nie wypalę. Wtedy opadam na łóżko.

– Dlaczego ludzi tak bardzo interesuje to, jaka jestem duża?

Bailey nie odpowiada, tylko chwyta mnie za rękę i tak trzyma. Nie odpowiada, ponieważ nie istnieje żadna odpowiedź. Żadna oprócz jednej: tylko naprawdę mali ludzie – maluczcy wewnątrz – nie tolerują dużych.



Nigdy wcześniej nie konstruowałem robota, ale jestem zdeterminowany. Obejrzałem kilka filmików na YouTube, zjrzałem do paru książek. Uznałem, że kiedy skończę, to będzie najlepszy robot Lego na całym cholernym świecie.

Na ósme urodziny zażyczyłem sobie młotka, śrubokrętów i kombinerek. W wieku dziewięciu lat dostałem pierwszą lutownicę. Nikt nie wie, skąd się we mnie wzięło to zamiłowanie do konstruowania. W sumie mój tata ma smykałkę do takich rzeczy, więc może odziedziczyłem to po nim. Wiem jedynie, że od małego moją największą pasją jest tworzenie czegoś z niczego – to dla mnie to samo, czym dla innych jest joga albo morfina. To dlatego w ogrodzie mamy piec do pizzy i miotacz pilek, w garażu katapultę, a na dachu stację pogodową. Gdy zabieram się do pracy, od razu widzę efekt końcowy, zanim jeszcze nabierze on kształtu – i po prostu powoli do niego zmierzam. To zupełnie przeciwieństwo mojego życia.

Jednak w tej chwili widzę tylko elementy, co dokładnie przypomina moje życie. Tutaj czerwone, tam niebieskie, białe, żółte, zielone i czarne. W pewnym momencie kładę się na nich, na zimnej betonowej posadzce. Jest niewygodnie jak cholera, ale tłumaczę sobie: „Nie zasłużyłeś na wygodę, debilu”.

Zastanawiam się, co teraz robi Libby Strout. Mam nadzieję, że nie rozmyśla o mnie ani o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Mam nadzieję, że udało jej się zająć myśli czymś innym. Czymkolwiek innym.

Słyszę kroki na schodach prowadzących do piwnicy i pojawia się kobieta: najpierw nogi, potem cała reszta. Zakładam, że to mama, bo jaka inna kobieta mogłaby chodzić po naszym domu, o ile tata nie przyprowadził tu Moniki Chapman? Szukam cech szczególnych. To mama w rozpuszczonych włosach. Ma szerokie usta. Jest czarnoskóra. Próbuję rozpracować jej twarz, ale nawet wtedy, gdy już zlokalizuję wystarczająco dużo elementów, by powiedzieć sobie: okej, to ona, i tak nie doznaję olśnienia. Nagle czuję się stary i tak bardzo zmęczony. Wykańcza mnie ciągle szukanie osób, które kocham.

– Nie muszę chyba mówić, jak bardzo jestem tobą rozczarowana? I jaka jestem wściekła?

– Nie musisz – odpowiadam, podnosząc wzrok znad podłogi.

– Miejmy nadzieję, że nie wniosą oskarżenia. Może nie postrzegasz siebie jako osoby czarnoskórej, może uważasz, że ludzie też cię tak nie widzą, ale prawda jest taka,

że społeczeństwo podchodzi mniej tolerancyjnie do kolorowych. Nie chciałabym, żeby to, co zrobiłeś, prześladowało cię do końca życia.

Milkniemy oboje, rozmyślam o mojej smutnej przyszłości bez perspektyw.

– Co robisz? – pyta mama.

– Miałem zamiar zbudować robota Lego, ale teraz myślę tylko o tym, jakim jestem idiotą.

– To już coś na początek. Jak naprawisz tę sytuację?

– Chyba nie można jej już naprawić. Mogę jedynie spróbować złagodzić ją po fakcie.

– Chcesz ze mną o czymś porozmawiać? Chciałbyś mi coś powiedzieć?

– Nie dzisiaj. – Może nawet nigdy.

W tej samej chwili rozdzwania się leżąca obok mnie komórka.

– Odbierz. Powiesz mi jutro.

Być może.

– I tak cię kocham – dodaje mama.

– Ja też i tak cię kocham – odpowiadam.



Bailey wychodzi dopiero przed dziewiątą. Nadal cała kipię, więc postanawiam chwilę potaćzyć, a potem siadam do lekcji. Wyrzucam zawartość plecaka na łóżko, porządkuję kartki, zeszyty, długopisy, papierki po gumach do żucia i wszystko, co się znalazło w środku, w tym także książkę *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*, którą wszędzie ze sobą noszę.

W tym całym bałaganie zauważam białą kopertę.

Co to takiego?

Rozdzieram papier i zaczynam czytać.

Nie jestem beznadziejnym człowiekiem, jednak za chwilę zrobię coś beznadziejnego...

Początkowo odnoszę wrażenie, że on to zmyślił. A potem czytam ponownie. I jeszcze raz.

Wiecie, jak łatwo jest mi uwierzyć, że w każdej sytuacji chodzi o mnie – zwłaszcza jeśli coś się sypie? Dlaczego ja? Dlaczego mam takiego pecha? Dlaczego świat jest taki podły? Dlaczego wszyscy mnie nienawidzą? Moja mama mówiła czasami, że we wszystkim chodzi o innych ludzi, a my tylko przypadkiem wchodzimy im w drogę. Że ci inni ludzie muszą przeżyć nauczkę, wynieść coś ze swojego doświadczenia, dobrego czy też złego, a my gramy jedynie poboczną rolę, jesteśmy aktorami drugoplanowymi w ich scenie.

Może – malutkie, pełne nadziei „może” – cały ten koszmar w rzeczywistości dotyczył bardziej Jacka Masselina niż mnie. Może to wszystko się wydarzyło, żeby pokazać mu, jak należy traktować drugiego człowieka.

Siadam i zaczynam nad tym rozmyślać. Tak właśnie robiła mama – przyglądała się sytuacji pod każdym kątem. Wierzyła, że nic w życiu nie jest czarno-białe: ani ludzie, ani okoliczności.

Dziesięć minut później czytam wszystko na temat prozopagnozji, co mi wpadnie w ręce. Tym samym trafiam na artystę o nazwisku Chuck Close, neurologa i autora książek Olivera Sacksa oraz Brada Pitta. Internet mówi, że żaden z nich nie rozpoznaje twarzy. Kurczę, ale Brad Pitt?

Co by było, gdyby cały świat nie rozpoznawał twarzy?

Gdybyśmy wszyscy cierpieli na prozopagnozę, byłaby wreszcie nadzieja dla urodziwych ludzi. Nikt by już nie mówił: „Jesteś zbyt ładna na grubaskę” albo „Jak na tłuściocha ona jest całkiem ładna”. Wygląd przestałby mieć znaczenie. Czy ktokolwiek by się jeszcze przejmował tym, czy jesteś chuda i koścista, czy może masz nadwagę? Jesteś za wysoka albo za niska? Może tak. A może nie. W każdym razie byłby to krok we właściwym kierunku.

Na obozie odchudzającym mieliśmy spróbować poczuć się jak inni, jak to powiedział Atticus do Smyka: „Nigdy naprawdę nie zrozumie się człowieka, dopóki nie spojrzy się na sprawy z jego punktu widzenia [...] dopóki nie wejdzie się w jego skórę, nie pochodzi się w jego skórze po świecie”. Zresztą skóra to coś fascynującego, to, jak się rozciąga i kurczy. Kiedyś ważyłam dwa razy tyle, ile obecnie, moja skóra pasowała na mnie wtedy, pasuje i teraz. Dziwne, prawda?

Próbuję wejść w skórę Jacka Masselina, wyobrazić sobie, co on widzi, gdy na mnie patrzy. Czy odróżniam się w jakiś sposób od innych? Czy raczej wtapiam się w tłum? A potem wyobrażam sobie, że to ja nie rozpoznaję twarzy. Jak wtedy wyglądałby świat?

Otwieram nowy dokument i piszę:

Drogi Jacku,

Dziękuję za to, że wyjaśniłeś mi, dlaczego jesteś dupkiem. Nie uważam, żeby prozopagnoza dawała Ci prawo do takiej wredoty, ale cieszę się, że nie jesteś zepsuty do szpiku kości. Może jeszcze jest dla Ciebie jakaś nadzieja.

Libby

PS Mam kilka pytań.



Po drugiej stronie telefonu Kam mówi:

– Szkoda, że tego nie widziałeś. Ta jej mina, kiedy się na nią rzuciłeś, a potem trzymałeś i nie chciałeś puścić!

Śmieję się w zduszony sposób, jakby ktoś właśnie ścisnął mi krtań.

– Pewnie wyglądała na zdziwioną.

– Była tak samo zdziwiona jak ta laseczka w *Psychozie*, kiedy Norman Bates wchodzi jej pod prysznic. Co powiedziała Wasserman?

– Była zajebiście uszczęśliwiona. Prace społeczne i terapia. Przez kilka tygodni.

– O kurde.

– Wiem.

– Ale było warto.

– I kto to mówi? Facet, którego to nie dotyczy.

Kam wybucha śmiechem.

– Ale poczekaj – odzywa się po chwili. – To jeszcze nie koniec.

Super.

– Pamiętasz tę laskę, którą parę lat temu wyciągali z domu i musieli zburzyć ścianę?

– No i?

– To ona.

– Kto?

– Libby Strout. Ta od rodeo.

Czuję się, jakbym dostał po raz drugi fangę w nos.

– Jesteś pewien? – Staram się nadać mojemu głosowi znudzone brzmienie, ale w rzeczywistości mnie to obchodzi. Cholernie mnie to obchodzi i mam wrażenie, że zaraz się zrzygam na to całe lego.

– O tak, jestem pewien. – Znowu się śmieje.

Ja też wydaję z siebie ten zduszony śmiech suchotnika, tyle że teraz brzmi jeszcze gorzej.

– Matko, ale charczysz – mówi Kam.

– Chyba obita mi krtań.

– To co, pamiętasz ją?

– Tak.

* * *

Cała okolica już śpi. Wychodzę przez okno na drzewo, które jest moją drabiną na dach. Skradam się pomału, a kiedy docieram na samą górę, podchodzę do krawędzi. Moja stacja pogodowa jest przymocowana obok komina, przekrzywiona, zniszczona. Gdy miałem sześć lat, spadłem z dachu i rozłupałem sobie czaszkę. Moje palce automatycznie wędrują do blizny.

Przesuwam po niej opuszkami i patrzę na drugą stronę ulicy. Gdy robię to wystarczająco długo, zaczynam widzieć wielką dziurę w miejscu, w którym wcześniej była frontowa ściana jej domu.

TRZY LATA WCZEŚNIEJ



14 LAT

Śni mi się, że płonie cała nasza ulica, po czym budzi mnie dźwięk syren. Leżę nieruchomo i nasłuchuję, a one są coraz bliżej naszego domu. Czarną jak smoła ciemność rozświetla nagle mrugająca czerwień, a syreny zamierają. Zrywam się z łóżka i zanim zdążam się zastanowić, co się dzieje, zgarniam różne rzeczy z półek.

Wypadam na korytarz, gdzie co prawda nie widzę taty, ale za to słyszę jego głos dobiegający z tonącej w mroku sypialni:

– To nie u nas. Wracaj do łóżka.

Jednak sen jest tak realistyczny, że nadal tkwię w nim jedną nogą. Idę przed siebie. Na zewnątrz. Powietrze jest chłodne, ale pachnie czysto. Żadnego ognia czy dymu. Nadal trzymam w ręku to, co zabrałem – zegarek dziadka, aparat ortodontyczny, stos kart z graczami w baseball, ładowarkę do telefonu (ale bez telefonu). Oczywiście nie wziąłem kurtki.

To ten dom naprzeciwko. Przed wejściem stoją wozy strażackie, karetka oraz dwa radiowozy. Przypuszczam, że przyjechali po dealerów narkotyków, może rozpracowali laboratorium metamfetaminy albo nawet jakiegoś terrorystę. Byłoby bosko, gdyby okazało się, że po drugiej stronie ulicy zamieszkał terrorysta, ponieważ nasze miasto, Amos w Indianie, to cholernie nudne miejsce.

– Czyj to dom? – Mama staje za mną.

– Stromów? Steinów? – To tata.

– Stroutów? – odpowiada Marcus, który ma dwanaście lat, prawie trzynaście, i wszystko wie.

– Stroutowie wyprowadzili się kilka lat temu – odpowiadam, zanim Marcus cokolwiek doda. Od tamtego czasu dom stoi pusty. Nigdy nie widać, żeby ktokolwiek z niego wychodził albo wchodził do środka.

– Nieprawda. – Mój drugi brat, siedmioletni Dusty, skacze na jednej nodze. – W zeszłym tygodniu poszliśmy tam z Tams i zajrzeliśmy w okno.

– Dusty. – Mama kręci głową.

– No co? Chcieliśmy zobaczyć grubą dziewczynę.

– Nie mówi się „grubą”. To niegrzeczne.

– Nasza nauczycielka uważa, że „gruby” to taki sam przymiotnik jak „piękny” czy „przystojny”. To przez ludzi staje się niegrzecznym słowem, bo ludzie mówią: „Słuchaj,

grubasie” albo „Popatrzcie na tę grubą dupę”.

Mama patrzy na tatę tak, jakby chciała powiedzieć: „To twoja wina”.

– Dustin – strofuje mojego brata. Mimo ostrzegawczego tonu z trudem powstrzymuje śmiech.

– Pani Buckley? – pytam.

Dusty patrzy na mnie, nadal stojąc na jednej nodze. Kiwa głową. Więc i ja kiwam.

– To by się zgadzało. – Pani Buckley to bardzo duża kobieta.

– Jack – wzdycha mama. Mama wiecznie wzdycha. – Wracamy. Do środka. Zimno. Jutro szkoła. – Jeśli jej nie powstrzymamy, wymieni tysiąc sto powodów, dla których musimy natychmiast wejść do domu.

W tej samej chwili na sygnale podjeżdża kolejny wóz strażacki, a za nim biała ciężarówka z dźwigiem.

Dźwigiem!

Przyglądamy się w milczeniu, jak strażacy, policjanci oraz robotnicy, którzy nagle są dosłownie wszędzie, rozstawiają olbrzymie reflektory. Drzwi do tego domu otwierają się i zamykają, ludzie kręcą się jak mrówki, łążą po ogrodzie, znikają w środku budynku, odgradzają ulicę. Teraz świecą się już światła we wszystkich okolicznych domach, na każdym trawniku stoją gapie. My znajdujemy się dokładnie naprzeciwko, mamy miejsca w pierwszym rzędzie.

Podchodzi do nas jakiś facet, ręce trzyma w kieszeniach, zerka przez ramię na całe to zamieszanie po drugiej stronie ulicy.

– Uwierzysz w to? – zwraca się do mnie, wskazując głową na dom.

– Nie bardzo – odpowiadam.

– Myślałem, że tam już nikt nie mieszka – odzywa się mój tata. Ten facet staje obok niego, obaj przyglądają się scenie. Zachowują się swobodnie, myślę, że mój tata musi go znać, a potem mama zwraca się do tego człowieka per „Greg” i pyta o jego córkę Jocelyn z Notre Dame, a wtedy już wiem, że to nasz sąsiad, pan Wallin.

Stoję pośród wozów strażackich, dźwigów, reflektorów i rozmyślam o moim mózgu, o tym, że jest tak dziwacznie odmienny od mózgów Marcusa i Dusty’ego oraz wszystkich znanych mi osób. Jest tak nienaturalnie, dziwnie inny, że przez ostatni rok o nim pisałem, nie tyle historię mojego życia, ile coś w rodzaju kroniki pod tytułem *To ja i moje myśli*. Chciałbym zrozumieć, jak to działa. Inne mózgi są proste, nieskomplikowane, jest w nich miejsce na pana Wallina i jego córkę Jocelyn, natomiast mój jest chyba stworzony do większych rzeczy. Baseballa. Fizyki. Inżynierii aeronautycznej. Może prezydentury. To dlatego w zasadzie nie oglądam telewizji i filmów. Tłumaczę sobie, że mój umysł jest zbyt zajęty myśleniem o ważnych sprawach, by mógł nadążyć za pojawiającymi się na ekranie bohaterami.

Przyglądam się, jak podjeżdża wóz transmisyjny z Indianapolis i znów myślę: „To terroryści. No bo sami powiedzcie, co to innego może być?”.



13 LAT

To uczucie braku powietrza.

Tak musi czuć się człowiek, który się dusi.

Mój świat się przechylił, rozświetlił i rozbujał, może właśnie unoszę się w przestrzeni kosmicznej. Próbuję poruszyć głową. Rękami. Nogami. Nie mogę.

Kiedy byłam mała, mama czytała mi opowieść o dziewczynce, która mieszkała w ogrodzie i nie wolno jej było wyjść poza jego granice. Znała tylko ogród, to był jej cały świat.

Ta dziewczynka przychodzi mi teraz na myśl, gdy próbuję oddychać. Widzę twarz taty, ale wygląda, jakby dzieliły nas lata świetlne, jakbym ja okrążała Księżyc, a on tkwił na Ziemi. Próbuję sobie przypomnieć tytuł tamtej książeczki.

Muszę go sobie przypomnieć. To właśnie się dzieje, kiedy człowiek umiera. Zaczyna znikać, jeśli się na niego nie patrzy. Nie od razu, po kawałku.

Myśl.

Jej ojciec był Włochem.

Rappaccini.

Córka Rappacciniego.

Czy ona miała jakieś imię?

Próbuję unieść głowę, żebym mogła zapytać o to tatę, ale on mówi z dołu:

– Nie ruszaj się, Libby. Zaraz nadejdzie pomoc.

Nie Libby, myślę. *Córka Rappacciniego.* Jestem w ogrodzie, świat się zatrzymał, moje serce się zatrzymało, jestem zupełnie sama.

A potem słyszę coś, co sprowadza mnie z powrotem na tę planetę, do tego miasta, dzielnicy, ulicy, tych czterech ścian. To dźwięk niszczonego ogrodu, dźwięk walącego się świata. Mojego świata.



14 LAT

Pięć godzin później młoty i pilarki niszczą górną połowę domu. Robotnicy wzniesli rusztowanie oraz długi, szeroki pomost prowadzący do okna na piętrze. Umieścili podpory, żeby dach się nie zawalił, a kiedy wszędzie słońce, rozwinięty czarny brezent i owinięty nim dom – zapewne dla zachowania prywatności.

Nie ulega wątpliwości, że coś trzeba wydstać z tego domu i cokolwiek to jest, jest duże.

Siadam na dachu i dzięki temu widzę to, co znajduje się za brezentem. To olbrzymie nosze – bo w sumie nie wiem, jak mógłbym to nazwać – wyładowywane z ciężarówki na pomost. Robotnicy latają w tę i w tę, umieszczają nosze na właściwym miejscu. A potem podjeżdża dźwig i wbija się pazurami w czeluść domu.

Drzewo prowadzące od okna mojego pokoju zaczyna się chwiać i chwilę później moim oczom ukazuje się głowa. Chudy dzieciak wdrapuje się na dach i siada obok mnie.

– Przesuń się – mówi.

Robię mu miejsce i tak razem siedzimy. Patrzymy, jak pazury wyłaniają się z czeluści, a pomiędzy nimi znajduje się para rąk i para nóg.

– Ona nie żyje? – szepcze Dusty.

– Nie wiem.

Ręce zaczynają machać, nogi kopać. To zupełnie jak scena, w której King Kong trzyma w garści Ann Darrow.

– Żyje – odpowiadam.

Dźwig obraca się, dopóki nie znajdzie się poza zasięgiem pomostu i rusztowania, po czym opuszcza się w stronę noszy delikatnie, jakby manewrował cieniutkimi patyczkami, uwalnia ręce i nogi. Wtedy dopiero zauważam, że należą do dziewczyny.

Największej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widziałem.

– A nie mówiłem? – odzywa się Dusty.



13 LAT

Niebo jest jasne, oślepiające. Mam wrażenie, że nigdy wcześniej go nie widziałam, jest tak cudne, a ja żyję! Gdybym teraz umarła, przynajmniej zrobiłabym to ze świadomością, że udało mi się zobaczyć takie niebo – błękitne, jaskrawe, nowe.

Nadal czuję ucisk w sercu, ale częściowo zmałał, ponieważ jest tu tylu miłych ludzi, a ja nie umarłam i nie umrę tu, w tym domu. Co nie znaczy, że nie umrę w ogrodzie, ale tu przynajmniej jest świeże powietrze, mogę oddychać, patrzeć na niebo, drzewa, ptaki. Widzę puszystą chmurę i coś czuję, może to zapach kwiatów. Mam ochotę zawołać: „Dean, Sam, Cas! Spójrzcie tylko! Jestem na dworze, tak jak wy!”. A potem uświadamiam sobie, że to moi jedyni przyjaciele, chociaż wcale nie zdają sobie z tego sprawy. I wtedy, mój Boże, wybucham płaczem. Widocznie mdleję, ponieważ kiedy znów dochodzę do siebie, trzęsie mną na wszystkie strony. Znajduję się z tyłu ciężarówki, nie wiozą mnie nawet karetką jak normalnego człowieka. Zamiast niebieskiego nieba widzę obskurny metal i czuję upokorzenie. Ile potrzeba było osób, żeby mnie wydostać?

Próbuję zapytać o to tatę, który siedzi oparty plecami o grzechoczący metal. Głowa mu lata na wszystkie strony, ale ma zamknięte powieki, a ja nagle sobie uświadamiam, że nie jestem w stanie nic powiedzieć. Co będzie, jeśli nigdy już nic nie powiem?

Tata otwiera oczy, widzi, że na niego patrzę, i się uśmiecha. Za późno. Na mojej klatce piersiowej zaciska się coraz mocniej obręcz, nie chcę tu być, w tej ciężarówce. Chcę być w domu, w moim pokoju, w moim łóżku. A nie tu, w tym świecie.

Chciałabym powiedzieć: „Proszę, zabierz mnie do domu, jeśli cokolwiek jeszcze z niego zostało”, ale wtedy coś mnie ogarnia, to takie ciepłe, spokojne uczucie. Tak, to mama. Oddycham wolniej, staram się zatrzymać chwilę, zatrzymać mamę. Żyj, żyj, żyj... Myślę tak usilnie, jak to możliwe, zanim czerń nie spowije wszystkich moich myśli. Zanim odpłynę w niebyt, przypominam sobie.

Córka Rappacciniego.

Beatrice.

Miała na imię Beatrice.



14 LAT

Kiedy wracam ze szkoły, przed domem naprzeciwko stoi zaparkowany samochód, ale strażnik drzemie za kierownicą. Rozglądam się, czy nikt nie patrzy, i wchodzę do środka.

Została tylko połowa salonu, wielka sofa zapadła się w środku i wygląda jak hamak. Na podłodze leży zdjęcie w ramce, przedstawia mężczyznę, kobietę oraz małą dziewczynkę. Dziewczynka jest nieostra, ale widać, że się śmieje. To normalnie wyglądające dziecko, o zwyczajnej sylwetce.

Kuchnia jest typowa. W zasadzie pozostała nietknięta, wszystko przykrywa jedynie cienka warstwa kurzu. Od razu podchodzę do lodówki, chcę się przekonać, co jest w środku. Spodziewam się uczyty godnej Henryka VIII, jednak znajduję zupełnie przeciętne produkty – jajka, mleko, wędlinę, ser, napoje dietetyczne, sok. Na drzwiach wisi magnes z napisem „Witajcie w Ohio”.

Zwiedzam cały dom. Jest mniejszy niż nasz, bez trudu znajduję jej pokój. Chociaż brakuje części ściany, nie wchodzę do środka. Czuję, że to byłby brak poszanowania jej własności. Staję w drzwiach. Ściany – to, co z nich zostało – mają lawendowy kolor. Na każdej stoją regały, sięgają od podłogi do sufitu. Książek jest tak dużo, że aż się z nich wysypują, można odnieść wrażenie, że za chwilę przejmą cały pokój, a może nawet cały dom.

Głównym elementem wyposażenia jest łóżko. Ogromne, zapewne wykonane na zamówienie, wypełnia większość przestrzeni. Stoi na metalowym – stalowym? – podeście, a obok dostrzegam parę kapci. Robią na mnie wrażenie. Wydają się takie delikatne, jakby ich właścicielka była w wieku Dusty’ego. Pościel ma wzór stokrotek, jest rozrzucona po całym pokoju, jak gdyby przeszło tu tornado. Jedna z poduszek leży na podłodze. Obok łóżka widzę stos książek, dopiero po chwili zauważam, że to jedna i ta sama powieść: *Zawsze mieszkaliśmy w zamku Shirley Jackson*, tyle że okładki są różne. Dochodzę do wniosku, że musi ją naprawdę uwielbiać.

Wychodząc, staram się niczego nie dotykać, z wyjątkiem jednego egzemplarza tej książki oraz magnesu z Ohio – zabieram obie rzeczy ze sobą. Nie mam pojęcia dlaczego. Może przez to czuję większą bliskość z dziewczyną, która tu mieszka. Strażnik nadal śpi, więc stukam w szybę, żeby go obudzić. Kiedy opuszcza szybę, mówię mu:

– Niech pan nie traci czujności. Podejrzewam, że wszystko, czego ci ludzie się

dorobili, znajduje się w tym domu, a tyle przeszli, że szkoda, by szabrownicy im to rozdrapali. – Oczywiście książka i magnes się nie liczą.

* * *

Pukam do pokoju Marcusa i od razu wchodzę. Ściany ma oblepione plakatami – to głównie podobizny graczy w koszykówkę. Na drzwiach do szafy wisi obręcz. Na podłodze, przed kompem, siedzi smukły, rozczochrany chłopak. Gra w jakąś grę – strzelankę, w której trzeba wszystkich wybić w pień.

Robię to, co zwykle – szukam oznak świadczących o tym, że to mój brat: szpiczastego podbródka, burzy włosów na głowie, oswiałej miny. Szukam fragmentów, które poskładam w całość, bo tylko wtedy będę wiedział, że on to on.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Co? – mruczy, nie odwracając wzroku od ekranu.

– Jak udaje ci się zapamiętywać ludzi? Po czym ich odróżniasz?

– Co?

– Weźmy na przykład Zezowatą.

– Ma na imię Patrice.

– Nieważne. Może być Patrice. Jak ją znajdujesz w tłumie?

– To moja dziewczyna.

– Wiem, że to twoja dziewczyna.

– Wiesz, co by mi zrobiła, gdybym nie znalazł jej w tłumie?

– No dobrze, ale co ci mówi, że to ona?

Marcus pauzuje grę i wpatruje się we mnie przez dobrą minutę.

– Po prostu na nią patrzę. I wiem. A tobie co się stało? Oszalałeś?

Mój wzrok wędruje za jego plecy, do ściany pełnej koszykarzy. Chciałbym zapytać, czy poznaje ich wszystkich bez numerów na koszulkach. Ale kiedy znów na niego spoglądam, on nadal się we mnie wpatruje, tyle że rysy jego twarzy są teraz dla mnie zupełnie obce, nowe.

– Nieważne – odpowiadam. – Tak tylko się z tobą drocę.

* * *

Wracam do mojego pokoju i wygrzebuje stary zeszyt, który ukryłem w szufladzie. Zaczynam go przeglądać. To tutaj opracowuję projekty tego, co chcę zbudować – rysuję, tworzę plany. Ale pomiędzy kolejnymi szkicami, pomysłami, listami potrzebnych materiałów znajdują się też takie teksty:

Byliśmy całą rodziną w Clara's Pizza. Zgubiłem się, wracając z toalety. Nie mogłem ich znaleźć. Dopiero tata musiał mi pomachać.

Byłem tak wykończony po sobotnim meczu (wygraliśmy pięć kolejnych rund i cały mecz), że nawet nie poznałem Damario Rainesa, kiedy podszedł, żeby mi pogratulować.

Co parę stron kolejny wpis. Samo w sobie nic druzgoczącego, nic przerażającego, dopóki nie zaczną się łączyć ich w całość. Teraz, kiedy je czytam, ogarnia mnie coś, co

mogę przyrównać do koca, ale nie ciepłego, przytulnego – raczej szorstkiego, nieprzyjemnego pledu, zarzucanego na głowę porwanej osobie, zanim się ją wrzuci do bagażnika samochodu.

Coś jest ze mną nie tak.

Mam wrażenie, że ze wszystkich osób na świecie ta dziewczyna by mnie zrozumiała. Przez resztę nocy siedzę i rozmyślam. Mam nadzieję, że jej się uda. I chociaż wiadomości nie podają jej danych, a ja znam tylko jej nazwisko, piszę list, by jej to powiedzieć. Wsuwam go w jej ulubioną książkę i szukam w Internecie adresu szpitala w naszym mieście.



13 LAT

Doktor Weiss jest wysoki i chudy, i pewnie nie byłby w stanie przytyć, nawet gdyby próbował. Martwi się, że próbuję się zabić.

– Gdybym chciała popełnić samobójstwo, istnieje wiele znacznie prostszych i szybszych sposobów – mówię mu.

Stoi przy moim łóżku, ręce skrzyżował na piersi. Ciężko odczytać cokolwiek z jego twarzy, bo potrafi jednocześnie się krzywić i uśmiechać.

– Twój tata powiedział, że od sześciu miesięcy nie wychodzisz z domu – odpowiada.

– To zależy, jak liczyć. Od pięciu miesięcy i dwudziestu czterech dni jestem za duża, żeby zmieścić się w drzwi. Ale ostatni raz w szkole byłam dwa lata temu.

– Mamy dwie ważne rzeczy, które musimy zrozumieć: dlaczego przeżyłaś ten atak paniki i dlaczego tak przybrałaś na wadze. To nasze cele. Proces, który zajmie sporo czasu, ale w końcu przywrócimy cię do zdrowia.

Zerkam na tatę, który siedzi w fotelu. On tak samo jak ja doskonale wie, na czym polegają te wszystkie „dlaczego”. Chodzi o to, że mój świat stanął na głowie, kiedy miałam dziesięć lat. Pojawiło się nękanie przez innych oraz strach. Potworny strach przed wszystkim, ale głównie przed śmiercią. Nagłą i niespodziewaną. A także lęk przed życiem. Olbrzymia pustka w moim sercu. Dotykanie twarzy i skóry, by kompletnie niczego nie poczuć. To DLATEGO przestałam wychodzić z domu. To DLATEGO zaczęłam jeść. Tyle że to nie oznacza wcale, iż chcę umrzeć.

* * *

W dniu poprzedzającym moje wyjście ze szpitala pielęgniarka przynosi mi paczkę bez adresu zwrotnego. Większość ludzi przysyła mi listy, ciekawość to jedyny powód, dla którego ją otwieram. Oraz fakt, że nie ma przy mnie taty i nie może mi jej zabrać, zanim to zrobię.

Wewnątrz znajduje się napisana odręcznie notatka, bez podpisu, oraz egzemplarz mojej ulubionej książki. A właściwie to mój własny egzemplarz mojej ulubionej książki – z moimi inicjałami i podkreślonymi cytatami.

Pomyślałem sobie, że może chciałabyś ją mieć ze sobą. W przeciwieństwie do innych listów ten jest miły. Chcę, żebyś wiedziała, że Ci kibicuję. Po raz pierwszy od

bardzo dawna dotykam mojej skóry i wreszcie coś czuję.

Gdy zjawia się Rachel Mendes – moja terapeutka i nauczycielka – odkładam książkę i mówię jej to, co od początku chciałam powiedzieć, tylko nikt mnie nie słuchał. W mojej nowej komórce, mojej pierwszej komórce, którą tata mi kupił, żebym mogła się z nim kontaktować, znajduję jeden z artykułów na mój temat.

Powiększam zdjęcie zrobione w dniu, w którym zostałam uwolniona z mojego domu.

– Ta dziewczyna – mówię do Rachel. – Ja tak nie wyglądam. Ja taka nie jestem. – Mam przeczucie, że Rachel zrozumie to, ponieważ przez całą szkołę średnią udawała, że jest heteroseksualna, chociaż już w gimnazjum wiedziała, że jest lesbijką. – To nie jestem ja.

Rachel się rozpromienia.

– Świetnie – mówi. – To poszukajmy tej właściwej osoby.

TERAZ



Przed pierwszą lekcją otwieram moją szafkę, a wtedy coś z niej wylatuje i ląduje na moim bucie. To kartka papieru złożona na trzy części. Przez chwilę wpatruję się w nią bez ruchu; z doświadczenia wiem, że złożona na trzy części kartka to rzadko cokolwiek dobrego.

Ostatecznie ją podnoszę i rozwijam w szafce, tak by nikt nie widział.

Najgrubsza nastolatka w Ameryce uwolniona z własnego domu

To artykuł z Internetu, a na zamazanym zdjęciu widać, jak ratownicy wiozą mnie do samochodu. Po drugiej stronie kartki znajduje się zdjęcie mojej ogromnej twarzy – zostało zrobione wczoraj w stołówce. Obok ktoś napisał: Gratulacje! Zostałaś wybrana na najgrubszą uczennicę szkoły MVB!

Zamykam drzwiczki i opieram się czołem o metal, ponieważ głowa robi mi się gorąca, zaczyna mi się w niej kręcić. Czasami to się zaczyna w ten sposób. Czy ona tak właśnie się czuła w dniu, kiedy trafiła do szpitala? Czy tak to się dla niej zaczęło?

Metalowa szafka chłodzi mnie tylko przez chwilę, potem rozgrzewa się bardziej niż moja skóra, aż się obawiam, że się poparzę. Skupiam się na tym, by podnieść głowę, podnoszę ją powoli, prostuję szyję. Korytarz się przechyla. Otwieram szafkę, koncentruję się na haczyku na kurtkę, podręcznikach, moim małym kawałku świata. Oddycham.

* * *

Na pierwszej lekcji Mick z Kopenhagi coś do mnie mówi, ale jestem zbyt zajęta, żeby go słuchać, ponieważ piszę list rezygnacyjny ze szkoły.

Szanowna Pani Dyrektor,

Bardzo dziękuję za umożliwienie mi edukacji w Państwa placówce. Niestety nie będę mogła kontynuować nauki w szkole średniej MVB, ponieważ jest opanowana przez kretynów.

Wykreślam to i piszę:

ze względu na nieszczęsną epidemię kretynizmu.

Nieszczęsną epidemię kretynów?

Pytam Micka z Kopenhagi:

– Jak myślisz, co brzmi lepiej: „nieszczęsna epidemia kretynizmu” czy „nieszczęsna epidemia kretynów?”. A może zabrzmiałoby mocniej, jeśli napiszę, że dane miejsce „jest opanowane przez kretynów”?

Mick wybucha śmiechem, a w kącikach jego oczu pojawiają się kreski przypominające promienie słońca.

– Libby Strout, jesteś niesamowita. Cholernie na mnie działasz.

Chociaż na kogoś.



To jeden z najgorszych dni w moim życiu.

- Uważasz, że fajnie jest napastować kobiety?
- Myślisz, że znęcanie się nad innymi jest takie zabawne?
- Zaburzenia odżywiania to poważna sprawa, idioto!

Miałbym ochotę odpowiedzieć im wszystkim: „Zrobiłem to tylko po to, żeby was wkurwić”.

Dowiaduję się także, że:

- To było prześmieszne. Odważny z ciebie facet.
- Dobrze, gościu. Jesteś zajebisty.

Oraz:

– Ładna buźka, Mass. Jak ma na imię ten chłopak, który ci to zrobił? Och, moment, to była DZIEWCZYNA.

– Hej, Masselin, nie wkurz tylko [tu należy wstawić imię jakiegokolwiek drobniutkiej dziewczyny z pierwszej klasy], bo skopie ci tyłek!

Jedyna dobra wiadomość jest taka, że nie wiem, kto to do mnie krzyczy.

Pomiędzy pierwszą a drugą lekcją Caroline Lushamp chwytą mnie za rękę, gdy tylko ktoś obrzuca mnie inwektywami, i mówi:

- Nie zwracaj na nich uwagi.

Nagle wróciła cudowna Caroline sprzed lat, skupiam się na tym dotyku.



W ciągu dnia w mojej szafce pojawiają się kolejne artykuły wydrukowane z sieci. Wmawiam sobie, że powinnam znajdować pozytywne strony tej sytuacji: moi rówieśnicy chociaż raz wykorzystali Internet do czegoś innego niż Facebook i pornografia. Ale ta myśl stanowi kiepskie pocieszenie. Do czwartej godziny lekcyjnej jest już jasne, że cała szkoła – w tym także woźni – zna mnie jako „dziewczynę, którą trzeba było dźwigiem wyciągać z domu”. Jestem licealną wersją „Tyfusowej Mary”[6]. Na każdych zajęciach siedzę sama, jakby moja tusza była zaraźliwa.

Wieki temu, kiedy otrzymywałam listy pełne nienawiści, tata rozmawiał z prawniczką, która kazała mu wszystko zatrzymywać – na wypadek gdyby stało się coś strasznego, na przykład gdyby ktoś mnie zamordował. Wtedy tata miałby dowody na piśmie.

Dziennikarz: Czujesz niepokój? Obawiasz się o swoje niebezpieczeństwo?

Ja: Cieszę się, że pan o to zapytał. Może powinnam się zacząć bać, ale uważam, że ludzie, którzy piszą takie listy, zasługują raczej na litość niż na strach. Z doświadczenia wiem, że to najwięksi tchórze kryją się za złośliwościami i groźbami.

Wpycham artykuły do plecaka. Nie sądzę, żeby ktokolwiek w naszej szkole chciał mnie zabić, ale lepiej być przygotowanym.

* * *

Wracam do stołówki, chociaż to ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałabym się znaleźć. Wchodzę, a wtedy odwraca się sześćset głów naraz. Sześćset ust zaczyna plotkować. Sześćset par oczu śledzi każdy mój krok. Mam wrażenie, że mój oddech ucieka ode mnie jak szczur z tonącego statku, jakby chciał powiedzieć: „To pa, pa! Radź sobie sama!”. Idę bez niego, stawiam krok, potem drugi, trzeci. Liczę je tak, jak mnie nauczyły moje tenisówki oraz terapeuci.

Do okrągłego stolika pod oknem prowadzi trzydzieści siedem kroków. Siedzą tam Iris, Bailey oraz Jayvee De Castro. Chwytam się oparcia krzesła – wydaje się takie solidne, kojące, że z trudem się od niego odrywam. Ostatecznie jednak siadam i mówię:

– No cóż, było uroczo.

Wtedy odzywa się Bailey, bardzo cicho, ponieważ – nie ma co ukrywać – wszyscy próbują podsłuchiwać:

– Znam Jacka Masselina od dwunastego roku życia i nie wierzę, że byłby zdolny do czegoś takiego. Okej, może nie jest wzorowym uczniem i zdarzyło się, że razem z Dave'em Kaminskim porwali chłopaka z pierwszej klasy i zamknęli go na dachu obok łazienki chłopaków na drugim piętrze...

– Walta Caseya. – Jayvee kręci głową, a jej obcięte na pazia włosy przecinają ze świstem powietrze. – Biedny Walt.

Iris zamiera.

– A co jest nie tak z Waltem?

– On jest... nie bardzo. – Jayvee krzywi się, patrząc na siedzącego samotnie po drugiej stronie stołówki chłopaka, który – jak zakładałam – jest właśnie biednym Waltem Caseyem. Jakby dla potwierdzenia opinii Jayvee na swój temat chłopak zaczyna dłubać w nosie.

– Gdybyście mi powiedziały, co się stało, i kazały zgadywać, kto to zrobił, w życiu nie podejrzewałabym Jacka Masselina – ciągnie Bailey. – W życiu. Najpierw pomyślałabym o innych. Dave Kaminski. Seth Powell. Oczywiście także bracia Hunt, Reed Young, Shane Oguz, Sterling Emery... – I tak dalej, i tak dalej, wymienia wszystkich chłopaków, jakich zna.

– Jemu jest chyba bardzo przykro w związku z tym, co zrobił – mówię, a one wszystkie na mnie patrzą. – Nie myślał. Popęłnił głupstwo i ma wielkie wyrzuty sumienia.

– Czy ty go bronisz? – pyta Iris.

– Próbuję pochodzić w jego skórce.

– Atticus Finch – stwierdza Jayvee i podnosi rękę, żebyśmy mogły przybić piątkę.

– Gdyby mnie zrobił coś takiego, potraktowałabym go jak ninja.

Jayvee potraktowałaby jak ninja każdego, kto by ją wkurzył.

– A wy nigdy nie zrobiłyście niczego, czego potem żałowałyście? – pytam, patrząc Bailey prosto w oczy.

– Czy ubiegłoroczne zdjęcie szkolne się liczy? – pyta Jayvee.

Grzebię w jedzeniu – w drugim śniadaniu, które tata przygotował z taką pieczołowitością – po czym odsuwam je na bok. Nie mogę jeść, kiedy wszyscy się na mnie gapią.

– Słyszałyście o Terri Collins? Przeprowadza się do Minnesoty – mówi Iris.

Obcięte na pazia włosy Jayvee znów przecinają ze świstem powietrze.

– Biedna Terri.

– Ona jest w Damsels, prawda? – pytam.

Jayvee unosi palec.

– Była – mówi.

6 Amerykańska kucharka z przełomu XIX i XX wieku, która nieświadomie zarażała ludzi durem brzuszny.



W stołówce Kam, Seth oraz inni debile, których nazywam przyjaciółmi, nie potrafią rozmawiać o niczym innym, jak tylko o mnie. Ci, którzy nie mieli szczęścia widzieć mnie w akcji, otrzymują dokładny raport od Setha.

– O ja piernicze, Mass – mówi jeden z debili. Słyszę podziw w jego głosie, widzę go na jego twarzy.

Unoszę kącik ust, jakbym był zbyt dumny, żeby się w pełni uśmiechnąć, i unoszę rękę, jakbym chciał powiedzieć: „Wyluzuj, gościu, to mój chleb powszedni”.

– To dlatego ja jestem mną, a ty jesteś tobą. – Przybijam piątkę z Sethem i wracam do przyglądania się dużej dziewczynie pod oknem, która – jestem tego niemal pewien – musi być Libby Strout.

W którymś momencie wyczuwam na sobie spojrzenie Kama.

– Na co tak się gapisz?

– Na nic.

Spogląda w ślad za moim wzrokiem, milczy przez kilka sekund, a potem się do mnie odwraca:

– Wiesz co? Czasami nie potrafię cię rozgryźć. Czy jesteś takim samym idiotą jak my wszyscy? Czy jednak pod tą twoją wątlą piersią bije jakieś serce?

Uśmiecham się fałszywie.

– Nie sądzę, żebym mógł być takim idiotą jak wy wszyscy.

Dlatego właśnie lubię Kama – mimo wszystko. Nie jest głupi. Kiedyś, za jakieś piętnaście, dwadzieścia lat, być może wyrośnie na fajnego faceta. O pozostałych nie mogę tego powiedzieć.

Seth i inni gratulują mi tego, że jestem taki zajebiście śmieszny, a ja czuję się coraz mniejszy i mniejszy. Wtem nadchodzi jakaś dziewczyna, a za nią sznur koleżanek. Wszystkie wyglądają identycznie. Takie same włosy, taki sam błyszczący na ustach. Te same figury.

– Dlaczego nie wybierzesz kogoś, kto jest twojej postury, Jack? – odzywa się przywódczyni, po czym wylewa mi na głowę sok z butelki.

– Nie włosy! – krzyczy ktoś. – Tylko nie włosy!

Rozlega się śmiech.

Zrywam się na równe nogi, ociekając słodkim płynem. Ludzie biją brawo.

Dziewczyna odmaszerowuje.

– Jeśli będziesz wybierał tylko osoby twojej postury, zostaną ci jedynie pierwszoklasiści – mówi Kama, a potem wyjmując piersiówkę, odkręca ją i – po raz pierwszy w życiu – mnie częstuje.

– Mam nadzieję, że to sok pomarańczowy – odzywa się jakaś kobieta za moimi plecami.

Patrzę na Kama, a on mówi:

– Oczywiście, pani profesor Chapman. Witamina C nie tylko sprzyja prawidłowemu rozwojowi, ale także chroni nas przed szkorbutem.

Monica Chapman kręci głową na te słowa, a potem – przy wszystkich – odwraca się do mnie i stwierdza:

– Chciałam się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

Przygląda się moim mokrym ciuchom i kałuży diet snapple u moich stóp.

– Wszystko jest super, dziękuję.

– Wiem, że dzisiejszy dzień nie jest łatwy. – Muszę jej oddać, ściszyła głos, ale to tylko pogarsza sprawę. Jest tak, jakby ze mną spiskowała. Jakbyśmy mieli wspólny sekret. – Nic tak nie łączy ludzi jak osądzanie innych, ale nawet jeśli zrobiliśmy coś złego, to nam nie daje prawa do osądów...

Teraz mówi o sobie, nie o mnie. Czuję, że gumowa obręcz ściskająca moje zimne, martwe serce pęka na pół. Nie mówiąc ani słowa, odchodzę.



Uciekam na świeże powietrze i wypuszczam oddech, który wstrzymywałam przez ostatnią godzinę. Wróciłaś na miejsce zbrodni i przeżyłaś. Teraz, kiedy znów mogę oddychać, powietrze mnie zalewa, w głowie mi się kręci od nadmiaru tlenu w płucach i mózgu. Najważniejsze to utrzymać stałe ciśnienie i puls. To kwestia życia i śmierci. Tak. Życia i śmierci. Tak to właśnie może się zacząć – nagły wzrost ciśnienia tętniczego, zawroty głowy i do widzenia, Libby.

To może być genetyczne.

Wehikuł czasu, który mam w głowie, teleportuje mnie z powrotem do tamtego dnia. Stoję przy łóżku mamy i zastanawiam się, jak coś takiego – to, że leży tu nieprzytomna – mogło się w ogóle zdarzyć.

* * *

– Wygląda tak spokojnie – powiedział mój tata po drodze do szpitala. – Jakby spała.

Na OIOM-ie podłączyli mamę do tych wszystkich aparatów i urządzeń, które za nią oddychały. Nie wiedziałam, co mam robić, więc usiadłam obok, a potem chwyciłam ją za rękę. Była nieruchoma i ciepła, chociaż nie tak ciepła jak zwykle. Ścisnęłam jej palce, nie za mocno, żeby jej nie bolało. Głowę miała odchylną do tyłu, oczy otwarte, jakby właśnie się budziła. Nie wyglądała na spokojną. Sprawiała wrażenie pustej.

– Jestem tu – powiedziałam jej. – Proszę, nie odchodź. Zostań, błagam. Obudź się. Proszę cię, obudź się. Nie zostawiaj mnie. Proszę, proszę, proszę. Na pewno możesz wrócić. Zrób to, błagam. Nie odchodź, mamó. Nie zostawiaj mnie samej. – Bo jeśli odejdzie, już zawsze będę sama.

* * *

Niebo stanowi dzisiaj mieszankę bieli i błękitu, a chłodne powietrze na mojej gorącej, rozpalonej skórze jest jak pocałunek.

Wygrzebuję marker z plecaka i znajduję wolne miejsce na jednej z moich tenisówek. Piszę: „Trzymaj głowę wysoko, a pięści nisko” (Harper Lee, *Zabić drozda*). Tłumaczę swojemu umysłowi, że ma się skupić na tym, co dobre – że dzisiaj nikt nie próbował jeździć na mnie jak na byku, że mam trzy przyjaciółki oraz że Terri Collins wyprowadza się do Minnesoty. W zespole Damsels robi się wolne miejsce, choć nie

mogę się pozbyć wrażenia, że każdy do niego pasuje, tylko nie ja.

Myszę o Mary Katherine Blackwood z *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*. Lubiłam ją, odkąd pamiętam. Było mi jej żal, ponieważ jej dziwaczność i odmienność przypominały mi moje własne. Jest taka sama jak ja – tłumaczyłam sobie – nikt jej nie rozumie. Teraz jednak mam niepokojące wrażenie, że może się myliłam. Może lepiej, że została zamknięta przed całym światem. Może nie nadawała się do życia wśród innych. Może na zawsze powinna tkwić w tym domu.



W oceanie ludzi spostrzegam dużą dziewczynę, która zmierza w moim kierunku. To ona, Libby Strout. Grupka dziewczyn trąca się łokciami. Chociaż szepczą, słyszę, że mówią coś o „rodeo na tłuszczochach”. Gapię się na Libby, a mnie w tym momencie prawda uderza obuchem w twarz. To właśnie jej zrobiłem – przypiąłem jej do pleców olbrzymią czerwoną tarczę.

Patrzę na nią bez skrępowania, a wtedy ona zatrzymuje się przede mną i podaje mi kartkę.

– Proszę – mówi.

Dziewczyny chichoczą jak oszalałe, a ja już niemal słyszę, jak pracuje młyn produkujący plotki.



Po szkole schodzę do ponurej piwnicy, gdzie znajduje się dawne boisko do kosza – wykorzystywane wieki temu, zanim powstał kompleks sportowy za milion dolarów, mieszczący dziesięć tysięcy widzów. Jack Masselin siedzi na trybunach, nogi wyciągnął przed siebie, łokcie trzyma na oparciu krzesła. Rozmawia z Travisem Kearnssem, uśmiechniętym, długowłosym szatynem, który chodzi ze mną na kurs na prawo jazdy, oraz chłopakiem o gładko ogolonej głowie – to chyba Keshawn Price, szkolna gwiazda koszykówki. Spijają każde słowo z ust Jacka, a on podnosi głowę, zauważa mnie i dalej mówi.

A może mnie nie zauważa. Chociaż jestem tu największa.

Siadam z dala od nich, w pierwszym rzędzie. Ta sala pomieści może z sześćset osób, nie więcej, jest w niej coś smutnego, zaniedbanego – bo taka właśnie jest.

Z każdym wybuchem śmiechu dochodzącym z górnych rzędów czuję się coraz bardziej niewidzialna. Do sali wchodzi dwie osoby, których nie znam. Dziewczyna siada obok mnie, a chłopak wybiera wyższy rząd.

– Jestem Maddy – przedstawia się nieznajoma.

– Libby.

– Czy to kółko konwersacyjne? – pyta.

W tej samej chwili wchodzi pan Levine.

– Witajcie, witajcie. Dziękuję wszystkim za przybycie. – Zatrzymuje się przed trybunami, ręce opiera na biodrach. Ma pomarańczową muchę i pasujące kolorystycznie tenisówki; gdyby nie siwizna na skroniach, mógłby udawać jedno z nas. – Wyjaśnijmy coś sobie od razu. Nie będę wam mówił o tym, jak ważne są tolerancja, równość i uświadomienie sobie, że wszyscy razem w tym tkwimy, ponieważ nie sądzę, żebyście byli pozbawionymi moralności głupcami. Uważam was za inteligentne osoby, które zrobiły wielkie głupstwo. Kto zacznie?

Wszyscy siedzimy w ciszy. Nawet Jack Masselin milknie.

– To może powiecie nam, jak się tu znaleźliście? Ale prawdziwe przyczyny, a nie „pani dyrektor mi kazała”.

Czekam, aż ktoś się odezwie, a gdy wszyscy milczą, mówię:

– Jestem tu przez niego. – Pokazuję na Jacka.

Pan Levine kręci głową.

– Jesteś tutaj, ponieważ dokonałaś aktu wandalizmu na szkolnej własności oraz uderzyłaś Jacka.

– Jak miło – odzywa się jeden z chłopaków.

– Zamknij się – mówi mu Jack.

– Dzentelmeni – upomina pan Levine. – A wieście, że stosuję to określenie dość swobodnie. – Zwraca się do mnie: – Zawsze można w takiej sytuacji odejść.

– Pan by odszedł?

– To nie mnie złapał.

– No dobrze. – Biorę głęboki wdech. – A co powie pan na coś takiego: jestem tutaj, gdyż straciłam panowanie nad sobą. Ponieważ kiedy ktoś cię łapie ni z tego, ni z owego i nie chce puścić, człowiek wpada w panikę. Zwłaszcza kiedy wszyscy patrzą i nikt nawet nie drgnie, żeby ci pomóc. I wszyscy oprócz ciebie uważają, że to szalenie zabawne. Jestem tutaj, ponieważ nie wiedziałam, czy to się na tym skończy, czy on zrobi coś więcej.

Wszyscy gapią się na Jacka i na mnie. Pan Levine kiwa głową.

– Jack, możesz coś powiedzieć, jeśli chcesz.

– Nie chcę.

Tak właśnie. On nie chce. Siedzi rozwalony ze znudzoną miną, na głowie ma wielką eksplozję włosów, jest zbyt dumny, żeby wziąć udział w dyskusji.

– Skoro on nie ma nic do powiedzenia, to ja coś jeszcze dodam. – Co jak co, jestem świetna w terapiach. Mam za sobą lata doświadczenia, wiem, jak mówić o sobie, potrafię podawać wszystkie „dlaczego”. Nawet w sali pełnej obcych ludzi.

– Świetnie – odpowiada pan Levine. – Bardzo proszę.

– Po tym, jak trzeba było zburzyć ścianę w moim domu, żeby mnie wyciągnąć, przez pewien czas leżałam w szpitalu. Nawet kiedy byłam już na tyle silna, że mogłam wrócić do domu, lekarze postanowili mnie zatrzymać, mówiąc, że nie wyjdę, dopóki nie zrozumiem „dlaczego”. Dlaczego trafiłam do szpitala. Dlaczego tak przybrałam na wadze.

Pan Levine nie przerywa, widać, że słucha mnie naprawdę uważnie. Tak samo zresztą jak i pozostali, nawet Travis Kearns. Mówię dalej, ponieważ przechodziłam przez to co najmniej sto razy, na tyle często, że mam do tego ogromny dystans. To jak prawda, która żyje poza mną. Libby została uwolniona z domu. Libby uzyskała pomoc. Stan Libby się poprawił.

Po terapii i stracie mamy nauczyłam się jednego: najlepiej jest mówić to, co ci leży na sercu. Duszenie wszystkiego w sobie kończy się powrotem do łóżka i ciałem tak wielkim, że nie można nawet wstać ani się obrócić.

– Moje „dlaczego” dotyczyły wielu rzeczy. To było odziedziczenie masywnych ud po tacie oraz jego spowolnionego metabolizmu. Nękanie przez inne dzieci na placu zabaw. Śmierć mojej mamy, to, w jaki sposób umarła. Mój strach, poczucie osamotnienia i martwienie się, ciągle zamartwianie się. Smutek taty, jego uwielbienie jedzenia i gotowania, to, że chciałam, by tata poczuł się lepiej, i to, że ja sama chciałam poczuć się lepiej.

– Cholera, dziewczyno – słyszę z ust Keshawna.

– Dobra robota, Libby – mówi pan Levine.

Parę osób bije mi brawo.

Nie wiedzieć czemu to coś dla mnie znaczy – nie brawa, ale reakcja pana Levine’a. To, co o mnie myśli.

– Dość długo nie wychodziłam z domu, miałam więc mnóstwo czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć. I mnóstwo czasu na rozmyślania później.

Wszyscy spoglądamy na Jacka, ale on milczy.

Pan Levine odwraca się do mnie.

– To dlaczego go uderzyłaś?

Mam ochotę powiedzieć: „Proszę na niego popatrzeć. On nie miewa złych dni. Okej, cierpi na dziwne schorzenie, które nie pozwala mu rozpoznawać twarzy, ale nikt nigdy nie nazwał go grubym, brzydkim ani obrzydliwym. Nikt nie wysłał mu wiadomości pełnych hejtu, nie mówi mu, że dla dobra wszystkich powinien się zabić. Jego rodzice nie otrzymują nienawistnych listów ze względu na niego. No i ma rodziców, przypuszczam, że on nie wie, jak to jest stracić kogoś, kogo się kocha. Ludzie tacy jak my nie mogą go dotknąć, ponieważ jest za dobry – dla mnie, dla ciebie, dla innych, za dobry na karę. Nie wspominam już nawet o tym, że ma beznadziejnych kumpli”.

Mam ochotę zapytać: „Dlaczego miałam go nie uderzyć?”.

Ale tak naprawdę mam tylko jedną odpowiedź:

– Ponieważ się wkurzyłam.

Wiem, że jest niewystarczająca, widzę to po minie pana Levine’a. Znam takie miny, widziałam je u terapeutów, którzy mnie analizowali, którzy znali odpowiedź, zanim ja jej udzieliłam, ale za nic nie zamierzali jej zdradzić, albowiem chcieli, żebym sama do wszystkiego doszła.



Kiedy przychodzi kolej na mnie, mówię:

– Prawdziwy powód, dla którego się tu znalazłem, to fakt, że jestem największym dupkiem pod słońcem.

– A po ludzku, Jack? – prosi facet w muszce, zapewne pan Levine.

Pochylam się do przodu i wbijam wzrok w podłogę. Wygląda to tak, jakbym zastanawiał się nad właściwymi słowami, co jest prawdą. Ale robię to przede wszystkim dlatego, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Czasami mam po prostu ochotę zamknąć oczy i zapomnieć, że cokolwiek widzę. Czasami moja ślepotą dotycząca twarzy jest jak normalna ślepotą.

– Jakie jest twoje „dlaczego”? – pyta mnie pan Levine.

– Nie mam żadnego oprócz „o cholera, co ja sobie myślałem”. – Uśmiecham się, a potem kątem oka zauważam, że Libby na mnie patrzy. Przyglądam się jej, a ona przygląda się mnie. Przeczytała mój list, w każdej chwili mogłaby mnie zdradzić. Czekam, aż coś powie, a kiedy milczy, odchrząkuję. – Mogę tylko powiedzieć, że bardzo żałuję tego, co zrobiłem. – To pierwsze moje szczere słowa tego dnia.

* * *

Po wszystkim Libby podchodzi do mnie na parkingu. Jedną nogę mam już w land roverze, rozmawiam przez telefon.

– Kiedy to włożyłeś? – pyta.

– Co?

– List.

– Później do ciebie oddzwonię – rzucam do komórki i rozłączam się w chwili, w której Caroline pyta:

– Z kim rozmawiasz?

– Kiedy cię złapałem.

– Sądziłeś, że list wszystko cudownie naprostuje?

– A naprostował?

– Jak myślisz?

– Nie możesz mnie winić, że próbowałem.

Obdarzam ją uśmiechem, ale kręci głową i macha palcem.

– Nie rób tego – mówi.

– Okej. To przejdźmy do rzeczy. Mówiłaś, że masz pytania. Możesz pytać mnie o wszystko. – Telefon znów brzęczy mi w kieszeni.

– Od jak dawna wiesz o prozopagnozji?

– Odkryłem to mniej więcej w wieku czternastu lat. Ale nie tak z dnia na dzień, to był długi proces. Musiałem dodać do siebie wszystkie elementy, dlatego tyle to trwało.

– Czyli widzisz moją twarz, ale jej nie pamiętasz.

– Coś w tym rodzaju. To nie tak, że twarze są pustą plamą, widzę nosy, oczy, usta. Tylko nie jestem w stanie połączyć ich z konkretnymi osobami. Nie tak jak ty, kiedy twoja pamięć robi zdjęcie kogoś i przechowuje na następny raz. Ja mogę zrobić takie umyślowe zdjęcie, ale ono natychmiast ląduje w koszu. Ty potrzebujesz jednego, dwóch spotkań, by kogoś zapamiętać, ja potrzebuję stu. A czasami nigdy nie zapamiętam. To jak amnezja albo jak rozróżnianie ludzi po dłoniach.

Libby zerka na swoje ręce, a potem na moje.

– Czyli kiedy się odwrócisz, a potem z powrotem na mnie spojrzysz, nie będziesz pewien, kim jestem?

– Przyjmuję, że to ty. Intelktualnie. Ale w to nie wierzę. Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli. Muszę na okrągło przekonywać samego siebie: „To jest Libby”. Wiem, brzmi idiotycznie.

A najbardziej idiotyczne jest rozmawianie o tym z kimkolwiek.

– Czy to prawda, że ciężko ci przychodzi oglądanie telewizji i filmów, bo mylisz bohaterów?

– To tak jak w życiu, niektóre filmy i seriale są gorsze, inne lepsze. Łatwo jest oglądać kreskówki i filmy o potworach. Filmy kryminalne już nie bardzo. Ciągłe myślę: „Który z nich to ten zły?” albo: „A to kto, do cholery?”

Patrzę na nią i nagle czuję szalony przyływ adrenaliny. Czuję się tak, jakby przeprowadzała ze mną wywiad, ale nie mam nic przeciwko temu. Po raz pierwszy z kimś o tym rozmawiam, to daje poczucie wolności. No proszę, być może to osoba, która wreszcie mnie zrozumie.

– Jak to jest... no wiesz, mieć prozopagnozję?

– Tak samo jak mieć cyrk w mózgu, wiecznie skakać przez obręcz. Jak znaleźć się w zatłoczonym pokoju, w którym nie zna się nikogo, bez szansy poznania.

W jej oczach pojawia się jakiś ogień.

– To jak wracanie do szkoły po kilku latach i podejmowanie się próby rozszyfrowania, czy znasz tę osobę, czy znasz tamtą – mówi. – Wszyscy jednak wyglądają inaczej, a ludzie, których kiedyś znałeś, są... po prostu jakimiś ludźmi.

– Właśnie. Nie znasz ich historii ani żadnych detali, niczego, co sprawia, że są tym, kim są. A co gorsza, tylko ty się tak czujesz.

– A reszta chodzi do stołówki i na lekcje, myśląc: „Popatrz tylko na mnie, robię to od zawsze. Czas się dla mnie nie zatrzymał, wszystko jest super i wiem, kim jesteś”.

– Zgadza się.

Ma długie rzęsy i wielkie oczy w kolorze przezroczystego, jasnego brązu. Coś jak bursztyn albo whisky. Ledwo w niej widzę tamtą dziewczynę z dźwigu. Chociaż stojąca

przede mną Libby jest duża, w rzeczywistości to bardzo delikatna osoba.

– Myślałeś kiedyś o tym, że może to cała reszta postrzega świat odmiennie, a nie ty? – pyta. – Może to ty widzisz ludzi tak, jak powinno się na nich patrzeć?

– Widzę znaki szczególne, tak to nazywam. Każdy ma przynajmniej jeden taki znak, który się wyróżnia.

– Dlatego masz taką bujną szopę na głowie?

– Mam taką bujną szopę, ponieważ mam zajebiste włosy, skarbie.

Libby mruczy coś pod nosem, jakby mi nie dowierzała, a potem przechyla głowę i marszczy czoło.

– Wiesz co? Mam wrażenie, jakbym cię znała. Od kiedyś.

Puls mi przyspiesza. Wibruje tak samo jak telefon w kieszeni. Myślę sobie: „Nie znasz mnie, nie znasz mnie, nie znasz”. Jakbym mógł mieć kontrolę nad jej umysłem, bo cokolwiek się zdarzy, ona nie może się dowiedzieć, że byłem przy tym, gdy wydostawali ją z domu. Gdyby się dowiedziała, mogłaby pomyśleć, że z niej kpię, że to kiepski żart, że dlatego na nią wtedy skoczyłem – bo widziałem, jak burzyli jej dom, by ją z niego wydobyć.

– Chodziłeś do Westview Elementary? – pyta.

– Nie – mówię, a zanim zdołam cokolwiek dodać, mój telefon znów się rozdzwania.

– Chcesz odebrać? Ktoś bardzo chce z tobą rozmawiać.

– Może poczekać.

Nadal przygląda mi się badawczo, ale w końcu kręci głową, jakby chciała zresetować myśli.

– Ostatnio coraz częściej miewam wrażenie typu „ja już cię skądś znam”.

– To jesteś w doborowym towarzystwie. Albo beznadziejnym, zależy, jak na to patrzeć.

Uśmiecham się. Ona prawie też, ale się powstrzymuje.

– Przy prozopagnozji ciągle tracę ludzi, których kocham.

Libby milczy przez chwilę.

– Wiem, jak to jest – odpowiada. I odchodzi.

* * *

Jadę do domu, odbieram po drodze mojego braciszka i zabieramy się do myszkowania po garażu, żeby znaleźć materiały do wykonania robota. To tutaj trzymam wraki wszystkich rzeczy, które zbudowałem, a potem rozebrałem na części.

– I jak było w szkole, młody? – pytam.

– W porządku.

– Naprawdę w porządku czy w porządku na odczepnego?

– Coś pomiędzy.



Spotykam się z Rachel w parku. Siadamy na naszej ulubionej ławce.

– To dlaczego go uderzyłaś? – pyta Rachel.

Ponieważ jestem gotowa wieść normalne życie. Chciałabym iść do przodu, tak jak wszyscy, a nie musieć się martwić, że ktoś mnie złapie w stołówce, jakbym była jakąś wyjątkową jałówką na rodeo.

Tłumaczę sobie: „Rachel jest osobą, której możesz powiedzieć wszystko, ona zna cię lepiej niż ktokolwiek”.

Ale i tak mówię tylko jedno:

– Wkurzyłam się.

A potem przychodzą mi do głowy trzy kolejne pytania, które chciałabym zadać Jackowi.

* * *

Gdy wchodzimy do sali następnego dnia po południu, pan Levine ćwiczy wolne rzuty.

– Jesteście. Świetnie. Keshawn, Travis, Jack oraz Libby. Będziecie grać przeciwko Natashy, Andy’emu, Maddy i mnie.

– W co grać?

– W koszykówkę – wyjaśnia pan Levine i rzuca piłkę Keshawnowi, który łapie ją jedną ręką.

– A nie powinniśmy grać wszyscy razem przeciwko Keshawnowi? Tak będzie sprawiedliwiej.

– Cicho, Mass. Przygotuj się na porażkę.

Keshawn trafia do kosza spod drzwi, co nie jest żadnym zaskoczeniem. W czasie gdy Rip Van Libby spała, on trzy lata z rzędu zostawał mistrzem koszykówki.

– Tu nie chodzi o wygrywanie ani przegrywanie, to nie zawody. Chodzi o grę zespołową. – Wpatrujemy się w pana Levine’a, który podskakuje do przodu i do tyłu, jakby znalazł się na ringu boksinerskim. – Wszyscy tu obecni muszą się nauczyć, jak grać dobrze – a przynajmniej lepiej – z innymi.

* * *

Oczywiście to Keshawn łapie piłkę z rzutu sędziowskiego. Miotamy się po boisku – oprócz niego – i jesteśmy kiepscy, nawet ci z nas, którzy są wysportowani. To w sumie smutne i zawstydzające, bo jedyne, czego się uczymy, to jak się upokorzyć przed rówieśnikami.

Za każdym razem, kiedy Keshawn trafia do kosza, zachowuje się tak, jakby wygrał mistrzostwa kraju. Rzuca rozkazy drużynie, kozłuje za plecami i między nogami, wykonuje niesamowite skoki, miałabym wrażenie, że gramy przeciwko LeBronowi Jamesowi, gdyby James był niziutkim, niespełna dwumetrowym nastolatkiem. W którymś momencie pan Levine zabiera mu piłkę.

– To nie jest godzina Keshawna, ale praca zespołowa. Chodzi o to, że wszyscy jesteśmy równi, że pomagamy sobie wzajemnie. – To powiedziawszy, dokonuje idealnego wrzutu za trzy punkty. – Schodzisz z boiska.

– Co?

– Posiedzisz przez kilka minut na trybunach, korona ci z głowy nie spadnie.

– O ja. – Keshawn się ociąga, zachowuje się jak najpowolniejszy człowiek na świecie. Czekamy, aż zejdzie z boiska, w końcu, jakieś dwa lata później, siada z boku.

Natasha przewraca oczami i kręci głową.

– Jeśli poczujecie się lepiej, ja też zejdę – oznajmia pan Levine. – Będzie parzyście. Cokolwiek, byle przysłużyć się grupie, prawda, Keshawn?

Chłopak spogląda na nauczyciela, potem przenosi wzrok na Natashę, która unosi jedną brew.

– Oczywiście – odpowiada Keshawn.

Teraz gramy troje na troje. Prowadzimy do momentu, w którym Jack podaje piłkę Andy'emu, należącemu do drużyny przeciwnej. Andy rzuca i trafia, a Keshawn zrywa się z krzeselka.

– Co to, kurwa, ma być, Mass? – wykrzykuje.

– Słowa, słowa! – strofuje go pan Levine. Jack bąka coś o tym, że piłka wyslizgnęła mu się z rąk.

Kiedy sytuacja się powtarza, mam wrażenie, że Keshawn zaraz wpadnie w szal.

– Ja tylko spełniam obowiązek obywatelski – odpowiada Jack.

– Czyli? – pyta Andy.

Jack wzrusza ramionami i uśmiecha się półgębkiem, z wyższością.

– Czyli wszystko wskazywało na to, że wasza drużyna potrzebowała odrobiny pomocy.

Andy rzuca w niego piłką, trochę za mocno. Obaj stoją teraz naprzeciwko siebie jak dwa koty w ciemnej uliczce.

– Zatrzymaj sobie piłkę, Masselin. I tak mi ją za chwilę rzucisz.

– Dość tego, jeden i drugi. Jack, przestań tracić czas.

Przez następnych kilka minut Andy i Jack próbują w pojedynkę wygrać ten mecz. Andy krzyczy na Natashę i Maddy, a Jack nikomu już nie podaje, tylko kozłuje piłkę i celuje do kosza. W którymś momencie Natasha przypiera go do ściany i Jack jest zmuszony pozbyć się piłki. Do kogo rzuca? Do Andy'ego. Znowu. Andy rzuca z dwutaktu, a potem przechodzi obok Jacka, uderzając w niego ramieniem. Jack mówi

sarkastycznie:

– Nie ma za co.

Andy sprawia wrażenie, jakby chciał go uderzyć, a Jack wygląda tak, jakby na to czekał. Pan Levine staje między nimi i wygłasza przemówienie o współpracy i nietłumieniu w sobie uczuć.

W tej samej chwili spoglądam na Jacka, a on na mnie. Uświadamiam sobie, co się dzieje: Jack myli Andy'ego z Travisem. Ta sama sylwetka, ten sam wzrost i włosy. Identyczne koszulki. Próbuję sobie wyobrazić, że Andy i Travis wydają mi się obcy, że cierpię na prozopagnozę, i za każdym razem, gdy odwracam wzrok, a potem znów na nich patrzę, muszę od nowa odgadywać, który jest który.

Tłumaczę sobie: „Daj spokój, Libbs. Zostaw sprawy ich naturalnemu biegowi. Czy on nie zasłużył sobie na obciach nie tylko przed tymi ludźmi, ale przed całym światem?”.

Znów gramy, a ja krzyczę do Jacka:

– Hej, podaj do mnie! – Chociaż jestem najgorszym strzelcem w tej sali, a może na całej kuli ziemskiej.

Jednak on zamiast podać mi piłkę, sam z nią biegnie. Kiedy znów jest przy piłce, zaczynam skakać i machać rękami jak pajac.

– Czekam tutaj! – mówię.

Spogląda na mnie dziwnie, a ja myślę: „Świetnie, skoro nie chcesz mojej pomocy”. Chwilę później Jack fauluje. Stajemy naprzeciw siebie, patrząc, jak Maddy rzuca do kosza.

– Po prostu podaj mi tę cholerną piłkę, zanim pan Levine każe nam tu grać kolejną godzinę.

I rzeczywiście, Jack rzuca do mnie. Kozłuję, ale Maddy zabiera mi piłkę, a kiedy Jack rzuca do mnie ponownie, celuję do kosza. Jakimś cudem trafiam.



Przytrzymuję drzwi, wszyscy wysypują się z sali na parking. Wygraliśmy trzynastoma punktami, Keshawn niesie Nataszę, jakby była pucharem NBA.

Gdy mija mnie Libby, przychodzi mi do głowy słońce. Nie wiem, czy to jej szampon, czy mydło, czy po prostu ona. Zastanawiam się, czy gdy była uwięziona w domu, też pachniała słońcem, czy ten zapach pojawił się później, gdy już wyszła w świat.

– Naprawdę powinieneś powiedzieć komuś, co się dzieje – mówi mi.

– Już to zrobiłem. – Jestem podirytowany tym, że ratuje mi tyłek. Jakbym był kimś, kto wymaga pomocy. Najwyraźniej jednak jestem.

– Mówię o kimś innym niż ja. Przecież nie jesteś jedyną osobą na świecie, której to dolega. Wiem, że tak się czujesz, ale statystycznie rzecz biorąc, to wcale nie jest taka rzadka przypadłość. A już na pewno nie tak rzadka, jak nadwaga tak wielka, że człowiek nie może wyjść z domu. Byłeś na stronie Instytutu Badań nad Prozopagnozją? Rozdają takie karty, które się ze sobą nosi. Można pokazywać je ludziom, żeby wyjaśnić sytuację. Nie twierdzę, że to rozwiązanie problemu, ale zawsze jakiś początek.

* * *

Ruszam spod szkoły i wybieram numer Caroline.

– Cześć, śliczna.

– Przyjedź do mnie.

– Nie mogę.

– Co to znaczy nie mogę?

– Mam robotę.

– W takim razie później.

– Dzisiaj nie dam rady. Jutro gdzieś pójdziemy. Zaszalejemy, pomalujemy miasto.

To będzie niezapomniany wieczór.

– A czym dzisiaj jesteś zajęty? Czy raczej powinnam zapytać: „kim”?

– Buduję Dusty’emu prezent pod choinkę.

– Jest wrzesień.

– Buduję go.

Caroline milknie.

– Caroline? Mała?

– Żałuję, że rzuciłeś się na tę dziewczynę. Na tę Libby Strout.

– Uwierz mi, ja też żałuję. Zawsze sądziłem, że jestem ponad takie beznadziejne zachowanie, więc zapewne sobie wyobrażasz, jakie to było bolesne rozwianie złudzeń.

– Ta twoja kara zabiera nam czas. Niszczy mi życie.

Och.

Mam ochotę powiedzieć: „Czy możesz poprosić do telefonu tę lepszą Caroline?”.

Zamiast tego mówię:

– Sorry, mała. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.



Jadę razem z tatą National Road, mijamy uniwersytet i nagle zalewa mnie fala smutku, czuję w sercu pustkę, która pojawiła się tam po śmierci mamy. Żałoba ma to właśnie do siebie, że uderza znienacka. Można siedzieć w samochodzie, w szkole albo w kinie, śmiać się i dobrze się bawić, i nagle jest tak, jakby ktoś włożył palce do twojej rany i zacisnął je z całej siły. Przed oczami mam obraz z tamtego wieczora, kiedy mama umarła. Też jechałam samochodem z tatą. Mijamy nas na drodze, widzę przez szybę nasze twarze. Jesteśmy duchami.

Spoglądam na tatę, on zerka na mnie.

– Co jest, Libby? – pyta. Już prawie mówię.

Mama. Zawsze chodzi o mamę. Świadomość, że życie może się zmienić w ułamku sekundy, co wzbudza mój niepokój we śnie i każe mi się skupić na oddychaniu, gdy czuwam.

– Nic, tato.

Przykładam palce do nadgarstka w taki sposób, by wyglądało to zupełnie neutralnie. W rzeczywistości sprawdzam puls. Oddychaj. Bądź spokojna. Nie ma powodu, żeby się denerwować.

– To miło, że Bailey cię odwiedziła. Zawsze była bardzo sympatyczna.

– Nadal jest.

– Wiesz, że możesz zapraszać do siebie kolegów i koleżanki?

– Ty też. Mama nie chciałaby, żebyś był sam. – Niemal słyszę jej głos: „Poświęć tyle, ile trzeba na żałobę, Will. Ale nie przestawaj żyć własnym życiem”.

– Nie jestem sam. – Tata uśmiecha się wariacko.

– W końcu zostaniesz.

Jak każdy.

– Jest dobrze – mówi.

Nie wierzę mu do końca, ale ostatecznie postanawiam porzucić temat.

– Słyszałeś o prozopagnozji?

– Prozopagnozji?

– Nierozpoznawaniu twarzy. Kiedy nie rozróżniasz twarzy, nie poznajesz rodziny ani przyjaciół.

– To coś do szkoły?

Jack Masselin prosił mnie, żebym nikomu nie mówiła, a ja wbrew rozsądkowi postanawiam uszanować jego prośbę.

– Tak – odpowiadam.



Zamiast sprawdzić stan sklepu albo sporządzić zamówienie, siadam przy sklepowym komputerze i szukam Instytutu Badań nad Prozopagnozją. Według znajdujących się na jego stronie informacji siedziba mieści się w Dartmouth College oraz w University College London, a na czele stoi niejaki Brad Duchaine. Słyszałem o instytucie i o tym człowieku, ale nigdy nie przyglądałem się bliżej ich stronie. Zabieram się do czytania o przypadłości, którą – jestem już niemal stuprocentowo pewny – ja też mam.

Jak się można spodziewać, prozopagnozja bywa przyczyną poważnych trudności społecznych...

Przypadki prozopagnozji zanotowano już w czasach starożytnych...

Jednym z najbardziej oczywistych dowodów na prozopagnozję jest opieranie się na cechach osobniczych niezwiązanych z rysami twarzy, np. na włosach, sposobie poruszania się, ubiorze, głosie...

Większość z tego już od dawna wiem. Klikam link do Face to Face, ukazującego się dwa razy w roku newslettera, a potem robię sobie test słynnych twarzy, który bada moją zdolność do rozpoznawania znanych postaci. Prezydent, Madonna, Oprah. Chociaż już wcześniej robiłem podobne, mam tylko jedno trafienie: Martin Luther King, i to tylko dlatego, że strzelałem.

Klikam zakładkę „kontakt”.

Jeśli podejrzewasz u siebie prozopagnozję lub inne zaburzenie rozpoznawania i jesteś zainteresowany udziałem w badaniu, skontaktuj się z nami za pomocą zamieszczonego formularza. Postaramy się włączyć cię do prowadzonych przez nas badań lub skontaktować z badaczami z twojego regionu.

Otwieram pocztę i widzę, że tata się nie wylogował. W tej samej chwili wali mnie po oczach nieotwarta wiadomość od Moniki Chapman. Wysłana jednaście minut temu – kiedy ja tu siedziałem i szukałem informacji na temat mojego schrzanionego mózgu. Temat: Re: Jack. Czyli ja. Czyli mój ojciec i Monica Chapman rozmawiają o mnie.

Wpatruję się w temat, w jej nazwisko, imię mojego taty i moje własne.

Jeśli otworzę tę wiadomość, oto, co się stanie: dowiem się więcej, niż wiem w tej chwili, czyli dodam jeszcze więcej tajemnic do tych, które już noszę na swoich barkach.

Otwieram ją. Od razu żałuję, że to zrobiłem.

Widziałam Jacka, ma w sobie tyle gniewu. Czy on z kimkolwiek rozmawia? Wiem, że po lekcjach ma spotkania z Levine'em, ale może powinienś zapisać go na terapię indywidualną? Mogę Ci kogoś polecić. Nasi szkolni psycholodzy są całkiem dobrzy, ale znam też innych. Wymyślimy coś, nie jesteś z tym sam. Kocham Cię. M.

Opuszczam wzrok, widzę, że trzęsą mi się ręce. Czekam na spontaniczny samozapłon, coś, co przytrafiło się rycerzowi włoskiemu zwanemu Polonus Vorstius, który stanął w płomieniach po wypiciu zbyt wielkiej ilości wina.

Ponieważ mnie jednak ogień nie sięga, zaczynam pisać:

Droga M., jeśli Jack jest pełen gniewu, to przez Ciebie i przez nas. Jedyne, co może mu pomóc, to nasz koniec. Może powinienem przestać być takim egoistą. Gdybym naprawdę Cię kochał, zakończyłbym moje małżeństwo, a przynajmniej powiedział o wszystkim żonie. Jestem jej to winny. Może Tobie także. Być może łączy nas największe uczucie pod słońcem, chociaż prawdę powiedziawszy, wątpię w to. Nieważne. Powinienem przestać zachowywać się jak cipa. Nic dziwnego, że on jest pełen gniewu. Uściski, N.

Nie wysyłam tej wiadomości, ale zostawiam ją otwartą, żeby tata mógł zobaczyć.

Zaczynam szukać książek na temat prozopagnozji i funkcjonowania ludzkiego umysłu, a potem zamawiam je wszystkie, korzystając z karty kredytowej ojca. Loguję się na moją pocztę i piszę do Brada Duchaine'a.

Dzień dobry. Mam na imię Jack, chodzę do ostatniej klasy szkoły średniej i jestem niemal pewny, że cierpię na prozopagnozję. Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się to ukrywać. Wszyscy w moim życiu to obcy, włącznie ze mną. Proszę o pomoc.

Wysyłam i od razu miałbym ochotę to cofnąć. Tyle że moja wiadomość poszła już w eter. Teraz mogę tylko czekać i mieć nadzieję, że może – maleńkie może – ten człowiek powie mi, co robić.



Nadal mam ten egzemplarz *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*, który jakiś dobry samarytanin wysłał mi do szpitala. Trzymam go na stoliku przy łóżku, a przesłany razem z książką liścik wykorzystuję jako zakładkę.

Chcę, żebyś wiedziała, że Ci kibicuję.

Niekiedy dobrze jest usłyszeć takie słowa z ust obcej osoby. Myślę o wszystkich osobach, którym ja kibicuję: o tacie, Rachel, Bailey, Iris, Jayvee, panu Levine, naszej dyrektorce, panu Dominguezie, ludziom z kółka konwersacyjnego, może nawet o Jacku.

A potem wyjmuję formularz zgłoszeniowy do Damsels, przeglądam go uważnie, by się upewnić, że odpowiedziałam na wszystkie pytania, chowam go do plecaka i zaczynam tańczyć.



Podczas kolacji nikt nic nie mówi, nie licząc Dusty'ego, który chciałby wziąć udział w castingu do szkolnego przedstawienia o Piotrusiu Panu. Marcus robi coś na komórcie pod stołem, a mama nawet na niego nie krzyczy. Ja jestem zbyt zajęty udawaniem, że wszyscy kochamy się jak aniołki i że wcale nie chcę uderzyć własnego ojca. On zaś udaje: „Kochanka? Jaka kochanka?”.

* * *

Przychodzi do mnie później, kiedy myję zęby w łazience. Wchodzi do środka i mówi bardzo cicho:

– Nie powinieneś był grzebać w mojej poczcie. Przykro mi, że zobaczyłeś to, co ci się wydaje, że zobaczyłeś, ale musisz uszanować moją prywatność. Ta cała sytuacja ma głębsze dno, a to, co przeczytałeś – było wyrwane z kontekstu. Ale i tak mi przykro.

Mówi to miłym tonem, ponieważ Nate Masselin jest miłym facetem i uważa, że to ważne, by wszyscy go lubili, zwłaszcza po historii z nowotworem. Widzę, że czeka, aż mu wybaczę i przejdę nad wszystkim do porządku dziennego, jak inni. A to mnie wkurza.

Niespiesznie kończę szorowanie zębów, płuczę, wycieram twarz w ręcznik. W końcu na niego spoglądam. Jestem wyższy o parę centymetrów, nie licząc lwiej grzywy.

– Nie możesz ciągle wykorzystywać raka jako usprawiedliwienia dla swojej podłości – mówię. I oczywiście mam na myśli także samego siebie, chociaż on o tym nie wie.

* * *

Śni mi się, że lecę od lotniska do lotniska, na każdym roi się od ludzi. Jest ich tak wielu, że nie mogę się ruszyć ani oddychać, a każda twarz jest pusta, nie ma nosa, ust, oczu, brwi. Szukam kogoś, kogo bym znał, jakiegokolwiek znajomej postaci, ale im dłużej to robię, tym większy czuję ucisk w piersi i tym trudniej łapię oddech.

A potem zauważam ją, Libby Strout. Dźwig opuszcza ją z sufitu, jest wielka, większa od wszystkich dookoła, ale jako jedyna posiada twarz.

SOBOTA



Szatnia jest olbrzymia. Śmierdzi stopami i sikami albo Travisem Kearnsem, którego głównym znakiem szczególnym jest to, że niekiedy capi jak skunks, bo ciągle pali trawkę. W sumie to ostatnie miejsce, w którym człowiek miałby chęć spędzić sobotę. A jednak jesteśmy tutaj, siedem osób plus pan Sweeney (wielki brzuch, włosy krótkie z przodu, długie z tyłu, baczki, nieznacznie kuleje). Rozchodzimy się, zajmuję odległy narożnik, ponieważ nie chcę z nikim rozmawiać.

* * *

W południe robimy sobie przerwę na lunch. Sweeney daje nam czterdzieści pięć minut na zjedzenie czegoś na zewnątrz, na trybunach, które będziemy malowali w przyszły weekend. Zajmuję miejsce z dala od wszystkich. Siedzenia są stare, zniszczone, sam ich widok odbiera mi apetyt. To malowanie to kolejna główniana rzecz składająca się na moje życie. Otwieram puszkę z napojem i zamykam oczy. Słońce jest takie przyjemne. Chłoń je, żołnierzu, mówię sobie, póki możesz.

Prawie odpływam, ale nagle słyszę czyjś krzyk:

– Zostawcie mnie! Zostawcie!

Poznaję ten głos, tubalny i donośny jak syrena przeciwmgielna. Podnoszę powieki i widzę wielkiego chłopaka idącego wzdłuż budynku szkoły oraz grupę spieszących za nim gości. Wszyscy są mniej więcej w moim wieku, biali, podobni do siebie. Nie poznaję nikogo, ale głos syreny przeciwmgielnej wskazuje na to, że jego właścicielem jest Jonny Rumsford.

Znam Jonny'ego od przedszkola, kiedy jeszcze wszyscy nazywali go Rum. Od małego górował wzrostem nad rówieśnikami, był takim łagodnym olbrzymem. O ile wiem, dzieciaki zawsze go goniły, prześladowały za jego powolność, pewną prostotę umyslową, niezdarność – niczym hieny, które upatrzyły sobie bawołu.

Przyglądam się teraz chłopakom, krzyczą coś do niego, nie słyszę co. Gość, który być może jest Rumem, zwiesza ramiona, jakby próbował wciągnąć głowę w szyję albo nawet w klatkę piersiową. A potem jeden z chłopaków rzuca czymś w niego i trafia w tył głowy. Nagle widzę siebie tak samo, jak postrzegają mnie inni – jako jedną z hałaśliwych hien, które atakują tych, którzy sobie na to nie zasłużyli.

Odkładam kanapkę i zrywam się jak rakietą wystrzelona na Księżyc. Początkowo

Rum-Nie Rum sądzi, że biegnę na niego, więc zamiera przerażony. Ci goście śmieją się i obrzucają go kamieniami, śmieciami, czymkolwiek, co wpadnie im w ręce. Wpadam między nich tak szybko, że nawet nie mają czasu na reakcję. Jeden łąduje tyłkiem w błocie i nagle nie jest im już do śmiechu.

– Czy on wam coś zrobił? – Pokazuję na Ruma. – Zrobił wam coś?

– Oszalałeś, Mass?

Oczywiście, że mnie znają. Prawdopodobnie nawet się kumpluję z tymi kanaliami.

– Wymieńcie mi jedną rzecz, którą on wam zrobił.

Jeden z tych chłopaków zbliża się do mnie, jest mojego wzrostu, ale znacznie bardziej barczysty. Nie cofam się, ponieważ jestem na to zbyt wściekły.

– Poważnie, Mass? Dajesz nam zjebkę? Co ta gruba laska ci zrobiła? Powiedz nam jedną rzecz, którą ona ci zrobiła.

Jego kumpel pyta:

– Jak tam karne zostawanie po lekcjach, dupku?

Nie zastanawiam się, nie myślę. Działam. Może dlatego, że jestem taki wściekły – na wszystkich. Na siebie. Mam poczucie, że w tym momencie mógłbym zmierzyć się z całym światem.

– Wracaj do domu, Jonny – mówię do Ruma. – Wynoś się stąd.

A potem się odwracam i walę pierwszego gościa, który mi się napatoczy. Upada na ziemię, a wtedy rzuca się na mnie jego kolega. Jego też uderzam. Nawet kiedy ręce mnie bolą tak, jakbym miał połamane kości, kiedy już nie czuję pięści, nadal wymierzam ciosy. W którymś momencie wydaje mi się, że opuściłem moje ciało i uniosłem się ku niebu, żeby przyglądać się scenie, jak gdyby dotyczyła kogoś innego.

Gdzieś jednak pojawia się myśl: „A może chodzi o to, że ta usterka mojego mózgu odpowiedzialna za prozopagnozję rozprzestrzenia się dalej i teraz nie poznaję nawet tego, gdzie jestem i co robię? A może mój mózg jest kompletnie uszkodzony i już nigdy nie wrócę do dawnego siebie?”.

Nie mam pojęcia, ile mija czasu, jednak w którymś momencie uświadamiam sobie, że coś albo ktoś ciągnie mnie za rękę. Odwracam się i wracam na ziemię. To Libby Strout. To ona mnie od nich odciąga.

– Nie rób mi krzywdy, Flabby Stout! – woła jeden z kolesi. – Nie rób mi krzywdy!
– Udaje, że zasłania się rękami.

– Nie nazywaj mnie tak – odpowiada Libby.

– To znaczy jak, Flabby?

– Wiem, że nie mówisz do niej – rzucam, spokojnie, z opanowaniem.

– Ona dobrze wie, do kogo mówię.

Nie podoba mi się sposób, w jaki to wypowiada, więc go biję. Chwilę później pojawia się wysoki, czarnoskóry chłopak o ogolonej na gładko głowie i patrzy wściekle na stado hien.

– Lepiej spadajcie. Mój kumpel was zabije, a jeśli on tego nie zrobi, ja go zastąpię. To może być tylko Keshawn Price.

Hieny odchodzą, a gość, który musi być Keshawnem, stoi i patrzy w ślad za nimi.

– Facet, jesteś dokładnie tak głupi, na jakiego wyglądasz – mówi, wbijając we mnie

wzrok. – Jak sądzisz, co zrobiłby Sweeney, gdyby cię zobaczył?

– Jest w środku, nic nie widział. Chodź. – Libby ciągnie mnie w stronę trybun. –
Warga znów ci krwawi.

– Nie przypominam sobie, że bym oberwał. Odwracam się i widzę, jak Rum
przechodzi przez most, który zaprowadzi go do domu.



Zostało nam piętnaście minut przerwy. Jack Masselin opada na siedzenie, krew z wargi kapie mu na koszulkę. Wpatruje się w linię drzew, a ja mu się przyglądam, próbując znowu sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym znalazła się w jego skórze.

Myślę o domu, o tym, jak wraca tata, a ja go nie poznaję. Albo gdyby mama cudownie powstała z martwych, a ja nie wiedziałabym, że to ona. Stawiam się na miejscu Jacka Masselina i wyobrażam sobie, jaka jestem samotna. Może nawet przerażona. Skąd wiedziałabym, komu zaufać?

Siadam obok niego.

– To ja, Libby – mówię, chociaż zapewne niepotrzebnie, bo łatwo mnie rozpoznać w tej grupie, nawet jeśli się cierpi na prozopagnozę.

Jack patrzy na ulicę, jakby miał ochotę na dalszą bójkę. Krew kapie mu po brodzie na koszulkę, ale nic nie robi, żeby ją wytrzeć. Podaję mu serwetkę.

– Nie, dzięki.

– Weź. Lepiej, żeby Sweeney tego nie zobaczył.

Wyciera sobie brodę, krzywi się i przyciska zimną puszkę do ust, jakby to był woreczek z lodem. Zerka na mnie jednym okiem.

– To przeze mnie? – pyta.

– Co?

– Flabby Stout. Przez rodeo? Chciałbym wiedzieć dokładnie, jak beznadziejnie powinienem się poczuć.

– Nie, nie przez ciebie. Przez Mosesa Hunta, który jest taki sam od wielu lat.

– Moses Hunt. Super.

Bracia Hunt są powszechnie znani. Jest ich co najmniej pięciu, może więcej, bo ich rodzice nic, tylko się rozmnażają. Moses jest jednym z najmłodszych, chociaż wygląda na czterdziestkę, zapewne na skutek ciężkich warunków życiowych, braków w uzębieniu i podłości charakteru.

– Wszystko dobrze? – pyta Jack.

– Nie przepadamy za sobą od dawna. Po części żałuję, że go nie zabiłeś, ale poza tym wszystko dobrze. – Jestem rozbita, wali mi serce, jakaś obręcz ściska klatkę piersiową, ale wszystko jest dobrze. – Dziękuję, że się za mną wstawiłeś. – Jack kręci głową i znowu wbija wzrok w ulicę. Siedzimy tak przez chwilę, on patrzy przed siebie, ja

– na niego. W końcu się odzywam: – Jeśli nie będziesz uważał, kiedyś trafisz na kogoś, kto ma w sobie więcej wściekłości niż ty.

– Wątpię, czy taka osoba istnieje – odpowiada. Nie ma w nim nic z uroczego Jacka Masselina. Obok mnie siedzi chłopak, który niesie na swoich ramionach wielki ciężar. Staram się wejść w jego skórę, robię to dla Atticusa i dla mamy.

– Jeśli nie będziesz uważał, zaczniesz jeść za dużo i utkniesz w domu. Wierz mi, tak będzie. Uważasz, że nikt cię nie rozumie i że jesteś sam, a to tylko zwiększa twój gniew, rodzi pytania typu: „Dlaczego oni tego nie widzą?”, „Dlaczego ktoś nie powie: słuchaj, widzę, że niesiesz na sobie brzemień całego świata, może zdejmę z ciebie ten ciężar choć na chwilę, żeby ci ulżyć?”. Ale to ty sam musisz mówić głośno, jeśli czegoś chcesz – dodaję, a potem wykrzykuję: – Mówcie głośno, jeśli macie coś do powiedzenia!

Nasi rówieśnicy odwracają się i na mnie patrzą. Macham do nich ręką.

– Jesteś bardzo mądrą kobietą.

– To prawda, nawet nie wiesz jak. Ale miałam mnóstwo czasu na czytanie, oglądanie różnych talk-show i myślenie. Mnóstwo. Zwłaszcza na myślenie. Bywały dni, które spędzałam na wędrówkach po własnym umyśle.

– A co ciebie złości?

– Głupota ludzka. Obłuda. Podłość. Moje uda. Ty. Śmierć. Wuef. I ciągle się boję, że umrę, praktycznie non stop.

Przesuwa się, żeby mnie lepiej widzieć.

– Moja mama zmarła, gdy miałam dziesięć lat. Wstała rano jak codziennie, ja pojechałam do szkoły, tata do pracy. Powiedziałam jej, że ją kocham, tylko dlatego że ona zrobiła to jako pierwsza. Wsiadła w samochód i udała się do szpitala, bo kręciło jej się w głowie. Na miejscu przestało, jednak lekarze i tak zalecili badania. – Jack odstawia puszkę, ale nic nie mówi. – W jednej chwili z nimi rozmawiała, w następnej już nie. To stało się w ułamku sekundy. Przytomna... – Strzelam palcami. – Nieprzytomna. Lekarze powiedzieli, że to był krwotok w prawej półkuli mózgowej. Coś pękło.

– Jak tętniak?

– Mniej więcej. Zostałam wywołana z apelu, tata po mnie przyjechał. Popędziliśmy do szpitala, żeby się pożegnać. Tata musiał wyrazić zgodę na odłączenie aparatury i pół godziny później mama zmarła. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że to może być genetyczne, byłam więc przekonana, że i mnie się przytrafi. Nadal tak może być. – Sprawdzam puls, ale nie wydaje się niepokojący. – Tamtej nocy kładłam się spać, myśląc: „Wczoraj wieczorem jeszcze tu była i dzisiaj rano też. A teraz jej nie ma, i to nie na kilka dni, ale na zawsze. Jak coś tak ostatecznego może wydarzyć się w ciągu jednej chwili? Bez przygotowania, bez ostrzeżenia. Żadnej szansy na zrobienie wszystkiego, co się zaplanowało. Żadnej szansy na pożegnanie”.

Brwi Jacka łączą się w literę „V”, a on wpatruje się we mnie, jakby miał mi zajrzeć prosto do serca i duszy.

– Jesteś jedyną osobą, która tyle o mnie wie.

– Przykro mi z powodu twojej mamy.

– Mnie też. – Spoglądam na drugie śniadanie i zdaję sobie sprawę, że wcale nie jestem głodna. Dawniej zjadłabym wszystko do ostatniego okruszka, tylko dlatego, że

mam jedzenie pod nosem. – To chyba jesteśmy kwita.

– Naprawdę?

– Nie uderzysz mnie, jeśli o tym właśnie pomyślałeś.

Śmieje się.

– Nie, nie o tym. – Milknie, a po chwili pyta: – Co jest napisane na twoich butach?

Wystawiam nogę, żeby mu pokazać.

– Moje ulubione cytaty z książek.

Jack wskazuje na najnowszy, napisany fioletowym markerem i głoszący: „Dołóżcie więcej kamieni”.

– Gdzie ja to słyszałem?

– Giles Corey. *Czarownice z Salem*. Ostatnia osoba, na której przeprowadzono egzekucję w procesie czarownic z Salem. To były jego finalne słowa, coś w rodzaju *fuck you* pokazanego tym, którzy miażdżyli go kamieniami.

Na boisku pojawia się pan Sweeney i woła nas do środka.

Zbieramy po sobie śmieci i ruszamy w stronę wejścia, a wtedy Jack pyta:

– Moses i kto jeszcze?

– Ci napastujący Jonny’ego Rumsforda?

W odpowiedzi kiwa głową.

– Jego brat Malcolm i Reed Young.

– Malcolm? – Teraz ja odpowiadam skinieniem głowy. – Cholera, on jest z nich wszystkich najgorszy.

– A ci dwaj pozostali to chyba z czwartej klasy.

– Dzięki. – Wsuwa rękę do kieszeni.

– Nie ma za co.

Promienie słońca odbijają się w jego dzikich włosach i nagle – bach!

Tak po prostu.

Znienacka.

Uświadamiam sobie, że on jest chłopakiem. Długie nogi. Sposób chodzenia, płynny, lekki, jakby został stworzony do chodzenia po wodzie. A jednocześnie zdecydowany, przez co wydaje się wyższy niż w rzeczywistości. Mało jest chłopaków w naszym wieku, którzy tak chodzą. Dumnie kroczą.

Zupełnie jakbym dopiero odkryła, że Jack to facet. Oblewam się falą gorąca, czuję pot na plecach, na myśl przychodzi mi Pauline Potter i jej odchudzający maraton seksu. Wpatruję się w jego dłonie i myślę: „Nie gap się na jego dłonie. Co ty robisz? To wróg! To znaczy, może nie do końca wróg, ale absolutnie nie możesz o nim myśleć w ten sposób”.

Zdaję sobie sprawę, że on coś mówi, więc z trudem wracam na ziemię.

A Jack mówi:

– Pragnę cię, Libby Strout, i zawsze cię pragnąłem. To dlatego się na ciebie rzuciłem.

A może jednak mówi coś innego?

– Wiem, że tego nie widać, ale uśmiecham się w środku.

– A ja odpowiadam uśmiechem – stwierdzam.

Próbuję zachować kamienną twarz, chociaż to nie ja mam rozbitą wargę. Nie jestem jednak w stanie się powstrzymać i nie wiedzieć czemu uśmiecham się także na zewnątrz, tak że wszyscy mogą to zobaczyć.



Jest północ, kiedy odprowadzam Caroline pod drzwi jej domu. Na progu chwytam ją w pasie i przyciągam do siebie. Jest sztywna, jakby była zrobiona z kija od miotły i kamienia. Miałbym ochotę ją zapytać, co sprawia, że jest taka sztywna, niemiła, dominująca. Zastanawiam się, gdzie się podziała zwariowana Caroline, czy ostatnie jej zachowanie było prawdziwe, czy fałszywe i czy ta nowa Caroline połknęła starą w całości. To właśnie chciałbym powiedzieć, ale zamiast tego przyciągam ją jeszcze mocniej, obejmuję ramionami i próbuję wycisnąć miłą, zwariowaną Caroline na zewnątrz.

– Aua. Zawsze jesteś taki brutalny – mówi i odpycha mnie. – Byłaby bardziej lubiana, gdyby nie miała pretensji do całego świata.

– Kto?

– Libby Strout. – Caroline przez cały wieczór mówiła o Libby. Przy kolacji, w kinie, w drodze powrotnej do domu.

Śmieję się, bo w ustach Caroline brzmi to naprawdę zabawnie.

– To jest aż tak śmieszne?

– Nie. Ale wiesz. Przyganiał kocioł. Garnkowi.

– Nie, nie wiem. – Krzyżuje ręce. – Opowiedz mi o tym.

Dalej, powiedz jej to, co chciałyby usłyszeć.

Nie robię tego jednak, bo już dłużej nie mogę. Ona jest wykańczająca, ja jestem wykańczający, my tacy jesteśmy. Przez ostatnie cztery lata mówiłem jej to, co chciała słyszeć.

– Wiesz co? Pogadamy później.

– Jeśli teraz odejdziesz, możesz nie wracać, Jack. Nie możesz robić, co ci się żywnie podoba.

– Dzięki. Rozumiem.

Czuję dziwną nerwową energię, jakbym robił coś wielkiego, zmieniającego całe życie. Wsiadam do land rovera i odjeżdżam, tłumacząc sobie: „Ona jest ci potrzebna”.

* * *

Jadę prosto na złomowisko. Przeskakuję przez ogrodzenie i łażę po całym terenie, nieniekajony przez nikogo, ponieważ jest ciemno i późno, a oprócz mnie nikogo tu nie

ma. Niesamowite, co można znaleźć w takim miejscu – stare tablice rejestracyjne, śruby, metalowy zderzak. Jednak dla mnie największym skarbem jest zawsze koło zębate. Nieważne, małe czy duże, takie koło jest źródłem napędu dla niemal każdej maszyny, czynnikiem decydującym o jej prędkości i sile.

Przez pewien czas grzebię w stosach, czuję spokój, jakbym był jedyną żywą istotą w promieniu wielu kilometrów. Ale nie wkładam w to serca, nie wkładam w to umysłu. Mam wrażenie, że moje życie tak właśnie wygląda – próbuję poddać recyklingowi stare rzeczy, żeby uzyskać coś lepszego i nowego. Przerabiam cudze śmieci w błyszczące nowizny.

* * *

Pod domem wyjmuję telefon. Trzyście esemesów i jedna wiadomość zostawiona na poczcie głosowej – od Caroline – i to wszystko z ostatniej godziny. Wiadomość od Kama, druga od Setha. Otwieram skrzynkę pocztową, czekam, aż się załaduje. Gdy go dostrzegam, myślę właśnie o Libby Strout. To mejl. Dostarczony o 18.35.

Odpowiedź od Brada Duchaine’a z Instytutu Badań nad Prozopagnozją w Dartmouth.

PONIEDZIAŁEK



Przed pierwszą lekcją Heather Alpern i Damsels ćwiczą na boisku do piłki nożnej. Staję z boku i obserwuję. Nie jestem w stanie się ruszyć, taka jestem zauroczona. Zespół obchodzi w tym roku sześćdziesiątą piątą rocznicę istnienia. Został stworzony przez dwie uwielbiające tańczyć uczennice, a w skład pierwszej drużyny wchodziło dwadzieścia dziewcząt. Nosiły spódniczki do kolan, co dla niektórych było szokujące, i białe rękawiczki, występowały z pomponami i flagami. Teraz zespół liczy czterdzieści osób, trzydzieści dziewięć, nie licząc Terri Collins. Na koniec roku szkolnego wszyscy mieszkańcy Amos przyjdą na pokazy Damsels, które odbywają się w miejskim domu kultury. Chcę się znaleźć na tej scenie.

* * *

Mam dobry humor aż do trzeciej lekcji. W końcu stanęłam twarzą w twarz z Mosesem Huntem i świat się nie zawalił. Podjęłam decyzję, że zgłoszę się do Damsels. A poza tym spróbowałam wejść w skórę Jacka Masselina i owszem, sporo na tym zyskałam.

Maszeruję do szafki, niemal pogwizdując radośnie. Iris idzie za mną, chce wiedzieć, co sprawiło mnie w tak dobry nastrój. A potem otwieram drzwiczki.

Z szafki – niczym confetti – wypadają kartki. Są wszędzie, wyściełają korytarz jak dywan. Ludzie po nich deptają, rzucam się na kolana, by je pozbiierać, zanim ktokolwiek je obejrzy i powiąże ze mną.

Iris się pochyla i mi pomaga. Rozwija jedną z kartek i czyta:

– Jesteś niechciana.

Otwiera kolejną:

– Jesteś niechciana.

Wyrywam jej listy, żeby nie przeczytała wszystkich. A jest ich chyba ze sto.

– To dla ciebie?

– Tak sądzę, detektywie.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

Wiem, że to pytanie retoryczne, bowiem kto jak kto, ale Iris Engelbrecht doskonale wie, do czego ludzie są zdolni.

Gdy nie odpowiadam, odzywa się rzeczowym głosem Kłapouchego:

– Musisz komuś o tym powiedzieć. Zanieś to dyrektorce. Chodź, pójdę z tobą. Od razu. Zwolnimy się z następnej lekcji.

Wpycham listy do plecaka.

– Nie pójde z tym do dyrektorki. – Mówię tonem wściekłej, skrzywdzonej i zestresowanej dziewczyny, dokładnie tak, jak się czuję.

– Przecież sama kazałaś mi być odważną.

– Nigdy ci tego nie kazałam.

– Powiedziałaś, że jeśli nikomu nie powiem, Dave Kaminski będzie uważał, że może dalej robić mi takie rzeczy.

– To coś innego.

– Nieprawda. Musisz im pokazać, że to niedopuszczalne.

– Chodźmy.

Czuję, że moje trzepoczące serce powoli się uspokaja. Oto kolejny wpływ, jaki ma na mnie Iris. Ta dziewczyna to Valium w ludzkiej skórze.

Zatrząskuję drzwiczki szafki, zarzucam plecak na ramię i ruszam, ale ciężar tych wszystkich listów przydusza mnie do ziemi. Iris wlecze się za mną.

– No dobra, rozumiem – mówi. – Na pewno można starać się dostrzec pozytywy tej sytuacji. W końcu to nie będzie trwało wiecznie. W którymś momencie znajdą sobie inną ofiarę i zapomną o całym tym głupim rodeo.

Jakby na zawołanie mijający nas chłopcy wołają w moim kierunku:

– Czas na siodłanie!

– Czyja teraz kolej?

– Co za gnojki – prychna Iris. Natomiast ja, zamiast cokolwiek powiedzieć, robię to, co robiłam często, gdy byłam młodsza – usiłuję zmniejszyć się siłą woli, tak jakbym za sprawą odpowiedniej koncentracji mogła się skurczyć do takich rozmiarów, jakie mają wszyscy inni. Akceptowalnych, cokolwiek to oznacza. Takich, które nie będą wzbudzały u innych dyskomfortu.

Iris trąca mnie ramieniem, jak gdyby chciała mi przypomnieć, że nie jestem sama. Nie wiedzieć czemu wyprowadza mnie to z równowagi. Nigdy nie twierdziłam, że chcę być jej zbawczynią i opiekunką. Przecież nie potrafię się nawet zatroszczyć sama o siebie. Iris zaczyna śpiewać piosenkę Tchórzliwego Lwa z *Czarnoksiężnika z krainy Oz: If I Only Had the Nerve*[7]. I chociaż mnie drażni, muszę przyznać, że Iris ma piękny głos.

Bum w ramię.

Bum.

Bum.

Zatrzymuję się.

– Dlaczego właściwie chcesz się ze mną przyjaźnić? – przekrzykuję jej śpiew. – Ponieważ wstawiłam się wtedy za tobą? Czy dlatego, że przy mnie wydajesz się mniej dziwaczna? A może dlatego, że kiedy jesteś ze mną, wszyscy zostawiają cię w spokoju i to na mnie się skupiają?

Iris otwiera szeroko oczy, a potem je mruży i patrzy na mnie tak, jakby i mnie zaliczała do gnojków.

– Ponieważ kiedy nie jesteś taka podła, jak teraz, lubię cię. Bo nie licząc tej podłości, jesteś osobą, jaką ja chciałabym być.

I odchodzi.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – pieje Kendra Wu, która właśnie przechodzi obok z Caroline Lushamp.

Stoję z ręką na kłamce do sali lekcyjnej i odkrzykuję w odpowiedzi:

– Co to ma niby znaczyć?

One przeszły już dalej, ale Caroline się odwraca i idzie tyłem z takim samym wdziękiem, z jakim szła do przodu.

– Po prostu nie powinnaś palić za sobą mostów, kiedy stoisz na wyspie – wyjaśnia i uśmiecha się najwstrętniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam.

* * *

– Libby? – zagaduje pan Dominguez na kursie na prawo jazdy. – Kiedy do nas wrócisz?

– Przepraszam – odpowiadam i przestaję się wpatrywać w przestrzeń.

Bailey podaje mi liścik: Wszystko OK?

Nie odpowiadam, siedzę i udaję, że słucham uważnie, i nawet kiedy pan Dominguez mówi: „W następnym tygodniu będziecie gotowi zacząć jazdy” – a to chwila, na którą czekałam przez całe moje krótkie, żałosne życie – mam wrażenie, że znajduję się gdzieś daleko i wcale mnie to nie dotyczy.

7 Gdybym tylko był odważny.



Po trzeciej lekcji jestem w łazience, kiedy nagle wchodzi do niej dwóch gości, obaj są biali i nijacy, tyle że jeden ma posturę wielkoluda, a drugi jest mniej więcej mojego wzrostu. Zamykają za sobą drzwi – to fatalna wiadomość, ponieważ odkąd chodzę do tej szkoły, te drzwi nigdy nie były zamknięte.

– Co jest? – pytam. Kiwam głową, zachowuję się niedbale, ale chociaż nie rozpoznaję twarzy, doskonale rozpoznaję malujące się na nich emocje. Są wkurzeni jak diabli. Próbuję kierować się ku wyjściu, poruszam się beztrąsko na tyle, na ile można w takiej sytuacji, jednak ten mniejszy zagradza mi przejście.

– Kiedy nabruździłeś z moją dziewczyną, odpuściłem ci, ale teraz? Naskoczyłeś na mnie i moich kumpli bez powodu, żeby stłuc nas na kwaśne jabłko? Tak się nie robi, facet. Nie będziesz napastował ludzi, których kocham.

Po tym, co powiedział, uznaję, że to niemal zdecydowanie (chyba) Reed Young, a tuż za nim niemal zdecydowanie (raczej) stoi Moses Hunt. Czuję się na tyle zuchwale, że mówię:

– Czyli twierdzisz, że go kochasz? – I pokazuję brodą na Mosesa.

Obaj się na mnie rzucają. Nie mogę sobie pozwolić na kolejną bójkę, więc robię unik i Chyba Reed ląduje na płask na posadzce, a Raczej Moses zderza się ze ścianą. Otwieram szybko drzwi i wypadam z łazienki. Nie biegnę, no skąd. Ale wypalam dziurę w korytarzu moimi krokami.

Od zarania dziejów ludzkość, żeby przeżyć, polegała na zdolności rozpoznawania twarzy. Jeszcze w czasach jaskiniowych kwestia odczytania rysów bywała sprawą życia lub śmierci. Trzeba było znać swoich wrogów. A ja ledwo uszedłem z życiem w łazience w szkole średniej.



Gdy wchodzimy do starej sali gimnastycznej, pan Levine (chabrowa muszka, chabrowe tenisówki) już na nas czeka. Zajmujemy miejsca, ale zanim się na dobre rozsiadamy, on już się zrywa na równe nogi.

– Dzisiaj spróbujemy czegoś nowego – oznajmia. Mówi to codziennie.

Do tej pory śpiewaliśmy piosenki, pokonywaliśmy coś w rodzaju toru przeszkód (przy każdej z nich mieliśmy się zatrzymać i opowiedzieć o konkretnym uczuciu albo sposobie, w jaki możemy zmienić swoje zachowanie), odgrywaliśmy też scenkę ze Star Treka (w której dwóch wrogów musi współpracować ze sobą, żeby przeżyć). Pan Levine nazywa to „ćwiczeniami budującymi nastoletniość”.

Tym razem jednak wychodzi z sali.

Czekamy. Kiedy nie wraca, Travis Kearns pyta:

– Możemy sobie iść?

Wtem gasną wszystkie lampy, jedyne światło dociera z wąskich okienek pod sufitem. Chwilę później zaczynają wirować kule światła – różowe, pomarańczowe, zielone, żółte, niebieskie. Tak właśnie wyobrażam sobie europejskie dyskoteki z lat siedemdziesiątych.

– Co to...

Travis nie kończy, ponieważ z głośników rozbrzmiewa muzyka – tak głośna, że muszę sobie zatkać uszy. To chyba najbardziej ckliwa ballada z lat osiemdziesiątych, brakuje tylko didżeja i bukiecika przypiętego do koszulki.

Wraca pan Levine i każe nam wstać. Macha rękami, jakby był dyrygentem, a my jego orkiestrą.

– Wstawać, wstawać! Szkoda czasu. Musimy popracować nad waszą pewnością siebie.

Podnosimy się po kolei. Keshawn i Natasha dla żartu zaczynają wolny taniec. Kiedy przestają, pan Levine mówi:

– Tańczcie dalej, to bardzo proste. Reszta, proszę do nich dołączyć.

Travis Kearns prosi Maddy, która jest ładna, ale nieśmiała i przez cały czas wpatruje się w podłogę. Chociaż dziewczyn jest mniej niż chłopców, nikt nie prosi mnie do tańca. Andy Thornburg zaczyna wirować z niewidzialną partnerką, bo najwidoczniej lepiej jest tańczyć samemu niż ze mną. Czuję trzepotanie serca, to pierwsza oznaka paniki.

– Poproś ją do tańca, Jack – mówi pan Levine.

– Co?

– Słyszałeś. – Jack patrzy na mnie, ja na niego. – Zanim ta piosenka dobiegnie końca.

Stoimy naprzeciwko siebie, teraz wilgotnieją mi dłonie – to druga oznaka paniki. Potem powinien się pojawić dziwny ucisk w klatce piersiowej i głowie, jakby obejmował mnie gigantyczny boa dusiciel. Stopniowo wszystko zacznie wyglądać jak spowite mrokiem i odległe, a ja będę się kurczyć, aż osiągnę rozmiary przeciętnego człowieka, a potem jeszcze bardziej, aż będzie mnie można rozdeptać.

W końcu pan Levine wyciąga pilota, klika i piosenka zaczyna się od nowa. Wszyscy wydają z siebie jęk.

– Możemy tak bez końca. Mam naładowaną komórkę i mnóstwo piosenek takich jak ta. A nawet gorszych.

Patrzę na Jacka, on patrzy na mnie, na twarzach migają nam kolorowe światła, jego oczy raz są zielone, raz brązowe, niebieskie, złote, jak zmieniający barwy kameleon.

Podaje mi rękę, a ja ją chwytam, ponieważ zostaliśmy do tego zmuszeni. Nie tak sobie wyobrażałam pierwszy szkolny taniec.

Niezdarnie łapiemy się za palce, stajemy jak najdalej od siebie, jakby ktoś trzymał między nami linijkę – czy raczej kij od szczotki. Poruszamy się niezręcznie, jak gdybyśmy byli kołkami z drewna, wpatrujemy się w sufit, podłogę, ściany, naszych rówieśników – we wszystko, byle nie w siebie nawzajem.

Piosenka robi się coraz bardziej tandetna, światła wirują i migają, oczy Jacka połyskują wszystkimi kolorami tęczy, a mnie na myśl przychodzą moje dłonie. To, jakie są spocone. Już sobie wyobrażam, jak Jack Masselin wraca do swoich kumpli i opowiada im, jakie miałam spocone ręce i jak to było tańczyć z grubą dziewczyną.

– To mnie już na dobre odstraszy od szkolnych tańców – odzywa się Jack.

Moja pierwsza myśl jest taka, że mówi o mnie albo o moich wilgotnych dłoniach.

– No cóż – odpowiadam. – Ja też nie mogę powiedzieć, że świetnie się bawię.

– Nie miałem na myśli, że ty mnie odstraszasz. Chociaż w sumie teraz to i ciebie zacznę się bać.

– Przepraszam. – Nagle rozumiem, że mówił o piosence, światłach i panu Levinie, który stoi nad nami jak najbardziej czujna przyzwoitka.

Kołysujemy się, nie jest nawet tak źle. Pierwszy raz dotykamy się w taki sposób, że go nie biję ani nie powstrzymuję przed pobicie kogoś.

– To mój pierwszy szkolny taniec – mówię.

– Och.

– A przynajmniej coś najbardziej zbliżonego do szkolnego tańca. Nie, żebym wywierała na tobie jakąkolwiek presję.

– Żadnej presji. Tylko wielki lęk przed występem. Marzenie każdego faceta.

– Nie tańczysz tragicznie.

– Teraz moja pewność siebie sięgnęła zenitu.

– Nie tak to sobie wyobrażałam.

– To co mogę zrobić, żeby to zmienić?

– Eeee...

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz.

Zanim uświadamiam sobie, że to na pewno żart, zamieram w pół kroku. Jack przytrzymuje mnie mocniej i niejako zmusza do ruszenia z miejsca.

– Zwłaszcza w tej sukience – dodaje. – Ten kolor podkreśla twoje oczy.

– O. – Myśl, dziewczyno, myśl. – Ekspedientka nazwała go czekoladowym brązem.

Że co?

– Raczej przypomina bursztyn.

Patrzy mi w oczy tak, jakby oprócz mnie niczego już nie widział. Tłumaczę sobie, że jest świetnym aktorem, ale i tak czuję gęsią skórę na plecach, ramionach i rękach.

Nagle zaczynamy tańczyć bliżej siebie, jestem świadoma istnienia nie tylko jego dłoni, ale każdego pojedynczego palca dotykającego mojego ciała, jego nóg zderzających się z moimi. Chciałabym się przysunąć do niego, poczuć jego zapach, oprzeć mu głowę na ramieniu, może pocałować w szyję. Potem odprowadziłby mnie do domu, pocałował na progu, najpierw delikatnie, a potem z coraz większą żarliwością, aż w końcu opadlibyśmy w krzaki i zaczęli się turlać po ogrodzie.

Wtem piosenka dobiega końca, zaczyna się jakiś szybki utwór, a ja otwieram oczy. Natychmiast się od siebie odrywamy, a Jack wyciera ręce o spodnie. Super.

– Nie przerywać! To maraton tańca. Dalej! Dalej!

Sam zaczyna tańczyć jak oszalały. Przez chwilę tylko się na niego gapimy: daje naprawdę niezły popis. Ten człowiek składa się wyłącznie z nóg, rąk i podskakujących włosów.

– Im dłużej nie będziecie tańczyć, tym więcej czasu tu spędzicie. Zamierzam wymusić na was co najmniej trzy piosenki. – I znów puszcza utwory od początku.

– Cholera – mówi Jack i zaczyna się ruszać. Oczywiście, myślę sobie. Oczywiście, że on potrafi tańczyć. A ponieważ jest ich przywódcą, oni też zaczynają. Najpierw Andy, po nim Keshawn, Natasha, Travis, nawet Maddy. Ale Jack Masselin nie jest moim przywódcą, więc stoję w miejscu.

Pan Levine puszcza ten sam utwór od nowa.

– Będę tak robił, dopóki wszyscy się nie zaczniecie ruszać.

Wirowanie w niemal pustym parku z Rachel to jedna rzecz, ale kołysanie ciałem i podskoki na terenie szkoły na oczach terapeuty i ludzi z klasy, nawet jeśli akurat odbywają karę, to zupełnie inna para kaloszy. W tej chwili blednie wizja dołączenia do Damsels, bo przecież casting do zespołu będzie jeszcze gorszy. Casting oznacza, że Heather Alpern i jej kapitaniki – w tym Caroline Lushamp – zasiądą przy stole i będą mi się przyglądać. A nawet jeśli przeżyję ten upokarzający taniec, jak dam radę występować w kostiumie dla całej szkoły?

Ale, kurczę, ta piosenka! Jest taka... uświadamiam sobie, że wystukuję jej rytm stopą i kołyszę głową. Nie, Libby. Nie możesz. Tylko że ta piosenka... mój Boże. Czuję, jak poruszają się moje biodra. Nie, nie, nie rób tego.

Ale jestem tu. Czuję, że żyję.

Nie wiemy, ile nam jeszcze zostało czasu. Nie mamy gwarancji, że dożyjemy jutra.

Możemy umrzeć w każdej chwili, nawet tu i teraz.

W ułamku sekundy może być po wszystkim.

Mama obudziła się rano, jakby to miał być kolejny zwyczajny dzień. Tak samo jak ja i tata. Nie mieliśmy pojęcia, że czekają nas najgorsze chwile w życiu. Ale gdybyśmy wiedzieli, cóż moglibyśmy zrobić? Czy chwycilibyśmy się mamy i starali się ją zatrzymać?

Piosenka zaczyna się od początku.

– Libby, chodź. Kurde.

Co mama by mi teraz poradziła? Co by powiedziała, gdyby mogła mnie zobaczyć?

Nagle Jack Masselin zaczyna się dziko ruszać, Keshawn i Natasha wykonują jakieś ustalone kroki, a pan Levine wymachuje nogami jak pani Heather Alpern. Nawet nieśmiała Maddy podryguje ramionami.

Stój spokojnie. Przeczekaj tę piosenkę. Nie rób tego, Libby.

Ale czuję, że moje ciało przejmuje kontrolę nad umysłem. Mam w sobie taniec. Nie mija chwila, a już macham rękami, kołyszę się, zarzucam włosami. Podskakuję lekko, a kiedy podłoga się nie zarywa, skaczę ponownie.

Jack mnie naśladuje, zanim zdolał się powstrzymać, zaczynam wirować.

– Jak się nazywa ten taniec? – woła Jack.

Rzucam pierwsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy:

– Karuzela!

Wiruję i wiruję, pan Levine też zaczyna się kręcić, a potem Jack i wszyscy pozostali. Kręcimy się jak kolorowe światła, aż sala gimnastyczna odwraca się do góry nogami.

* * *

Heather Alpern nadal siedzi w swoim gabinecie.

– Libby, prawda? – pyta. Jej głos jest ciepły i słodki. Jak miód.

– Słyszałam, że Terri Collins się wyprowadza. Zastanawiałam się, czy w związku z tym odbędzie się casting do Damsels.

Nadal jestem pobudzona i rozgrzana po tańcu. Miałabym ochotę wejść na biurko i od razu zaprezentować moje umiejętności. Zamiast tego podaję jej formularz zgłoszeniowy.

– Bardzo ci dziękuję – odpowiada i się uśmiecha. Aż muszę odwrócić wzrok, bo jest taka urocza. – W przyszłym tygodniu ogłoszę termin castingu.

* * *

Gdy wychodzę na zewnątrz, okazuje się, że zaczęło padać. Parking jest pusty, mój tata jeszcze nie przyjechał, więc stoję oparta o mur, żeby nie zmoknąć – chociaż ostatnie, na co mam ochotę, to stanie pod murem, jakbym znów była małą Libby Strout, wyrzuconą przez rówieśników z placu zabaw.

Chwilę później podjeżdża stary dziup. Szyba od strony kierowcy osuwa się w dół.

– Podwieźć cię? – pyta Jack Masselin.

– Nie.

– To może chociaż poczekasz w środku?

– Jest okej.

Tyle że w tej samej chwili niebo się otwiera i z góry leje się nieprzerwany strumień wody.

Podbiegam do samochodu, otwieram szybko drzwi i wsiadam najbardziej elegancko, jak potrafię, co oznacza niestety, że się ślizgam i potykam, moje buty skrzypią na gumowym dywaniku, włosy mi się kleją do twarzy. Zamykam drzwi i oto siedzę na przednim fotelu land rovera należącego do Jacka Masselina – wielka, zdyszana, przemoknięta do suchej nitki. Jestem świadoma tego, że jest mnie naprawdę dużo, to jedna z tych chwil, w których zdaję sobie sprawę, że zajmuję zbyt wiele miejsca.

– Ładny samochód – mówię. Wnętrze ma kolor spalonej pomarańczy albo czerwieni, ale to raczej podstawowa wersja wyposażenia. Jedno jest jasne: znalazłam się w samochodzie luzaka. – Wygląda, jakby można było nim jeździć na safari.

– Dzięki.

– Jeep? Furgonetka? Jak właściwie go nazywasz?

– Co powiesz na „najbardziej zajebisty wóz w Amos”?

– Nie przesadzajmy.



Włączam ogrzewanie, szybko zaparowują szyby.

– Myślałam, że wszyscy już pojechali – mówi Libby.

– Właśnie ruszałem, kiedy wyszłaś z budynku. Pomyślałem, że może potrzebujesz transportu albo chociaż schronienia.

– Mój tata rzadko się spóźnia. – Wyjmuje telefon i sprawdza. Widzę jej niepokój, chociaż próbuje go zbagatelizować.

– Przyjedzie.

Siedzimy i przyglądamy się, jak leje. Cicho gra muzyka, okna są zaparowane. Gdyby tu była Caroline, zaczęlibyśmy się całować.

Nagle zacznę myśleć o całowaniu się z Libby Strout.

Oszalałeś?

Tłumaczę sobie: „Przecież to dziewczyna, którą DŹWIGIEM WYCIĄGALI Z DOMU”.

A wtedy znów myślę o całowaniu.

Przestań myśleć o całowaniu się z Libby Strout!

– Mogę cię o coś zapytać? Gdyby istniało badanie, które pozwoliłoby ci się dowiedzieć, czy masz to samo, na co zmarła twoja mama, zgodziłabyś się na nie?

Libby przechyla głowę w bok i patrzy na deskę rozdzielczą.

– Po jej śmierci tata zabrał mnie do neurologa. Lekarz stwierdził, że mogą zrobić komplet badań, aby się przekonać, czy mam jakieś tętniaki w mózgu. Gdyby coś znaleźli, mogliby spróbować się nimi zająć, żeby nie stwarzały później żadnych problemów. Ale nie było gwarancji, że da się z nimi cokolwiek zrobić. Wróciliśmy do domu i zaczęliśmy o tym rozmawiać. Byłam zbyt młoda, żeby wszystko zrozumieć, więc to tata podjął decyzję.

– Zrobiliście te badania?

– Nie.

– A teraz? Zrobiłabyś je teraz?

– Nie wiem.

Chociaż rozmawiamy o tętniakach mózgu, ja nadal myślę o całowaniu. Mówię więc:

– Jezu, kobieto, ale ty potrafisz tańczyć.

Uśmiecha się.

Wtedy i ja się uśmiecham.

– Właśnie zaniósłam zgłoszenie do Damsels.

– Poważnie?

Libby unosi brew.

– Takie to dla ciebie szokujące?

– Tylko dlatego, że nie wyobrażam sobie ciebie tańczącej w formacji. Nie przemawia do mnie to całe machanie flagami w takim samym stroju jak trzydzieści innych dziewczyn. Widzę ciebie jako indywidualistkę. Jeśli chcesz znać moje zdanie, jesteś lepsza od Damsels.

– Dziękuję.

Otwiera plecak i coś z niego wyjmuje. Wygląda to całkiem niewinnie – ot, zmięta biała kartka. A potem czytam to, co na niej napisano: „Jesteś niechciana”.

– Skąd to wzięłaś?

– Z mojej szafki.

– Wiesz, kto ci to podłożył?

– Nie. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Rozumiem jej punkt widzenia. Zgadzam się, to nie ma znaczenia. Znaczenie ma to, że w ogóle ktoś coś takiego napisał.

– Ludzie bywają świetni, ale są też wstrętni. Ja też często jestem wstrętny, chociaż nie na wskroś. Za to ty, Libby Strout, jesteś świetna.

– Nie jestem pewna, czy masz rację. W każdym razie to jeden z powodów, dla których się zgłosiłam. – Zabiera kartkę i nią macha. – Mogą mi mówić, co chcą, ale ja nie zamierzam ich słuchać. – To powiedziawszy, zgniata list i wrzuca do plecaka.

– Ja też mam ci coś do pokazania – mówię.

Grzebię w telefonie, znajduję to, co chciałem, i jej pokazuję. Czyta na głos:

– Drogi Jacku. – Podoba mi się sposób, w jaki wypowiada moje imię. Naprawdę mi się podoba. – Dziękujemy za to, że się do nas odezwałeś. Bardzo chętnie cię przebadamy. Jeśli przyjazd do Hanover nie jest możliwy, proponujemy kontakt z doktor Amber Klein z wydziału neurologii i nauki o mózgu Uniwersytetu Indiany Bloomington. Pozdrawiam, Brad Duchaine.

Libby podnosi głowę.

– Chodzi o prozopagnozę?

– Taaa. Nie napisałbym do niego, gdyby nie ty.

– Zrobisz to?

– Nie wiem. – Tak.

– Nie będzie ci potrzebna zgoda rodziców?

– Wkrótce kończę osiemnaście lat.

– Kiedy?

– Pierwszego października.

Oddaje mi komórkę, znów wbija wzrok w deskę rozdzielczą. W końcu spogląda na mnie tymi wielkimi bursztynowymi oczami.

– To jedźmy.

– Że co?

– Jak tylko skończysz osiemnaście lat. Jedźmy do Bloomington.

– Poważnie?

– A czemu nie?

Zanim się orientuję, co się dzieje, mój wzrok szuka jej wzroku, a jej – mojego. Nasze oczy trzymają się za ręce. Siedzimy tak w milczeniu, aż rozlega się klakson. Oboje podskakujemy.

* * *

Czekam, aż odjadą, a potem ruszam do sklepu. Mam tak dobry nastrój, że zachowuję się wobec taty w sposób cywilizowany. Trochę mnie boli to, jak bardzo jest tym zaskoczony, więc posuwam się jeszcze dalej i opowiadam mu o robocie, którego buduję dla Dusty’ego. Będzie jego wzrostu, może nawet wyższy. Będzie mówił. To będzie najlepszy robot na tym cholernym świecie.

Trzeba oddać mojemu tacie: jest uprzejmy i zadaje pytania. Nie wspominamy ani słowem o Monice Chapman. Nie rozmawiamy o tamtym mejlu. Przez chwilę myślę sobie nawet: „Może tak mogłoby zostać. Taki mały, bezpieczny kokon. Moglibyśmy w nim pozostać już na zawsze”.

* * *

Dwie godziny później, kiedy wracam do land rovera, w środku nadal pachnie nią. Słońcem.



Po kolacji oglądam z tatą telewizję w towarzystwie George'a. Tata je winogrona, kulka za kulką: odchyła głowę do tyłu, podrzuca winogrono i łapie ustami. George próbuje uderzyć je łapą. Ja też odchyłam głowę i łapię jedną kulkę. Napawam się jej smakiem tak, jak powinnam to robić z produktami, które są dla mnie dobre. Nadgryzam ją, a ona wybucha eksplozją pyszności.

Dzisiaj dałam czadu. Postawiłam na nogi całą salę. Szkoda, że mnie nie widziałeś. Nadrabiam każdą straconą chwilę, kiedy nie mogłam się ruszać, kiedy nie wstawałam z łóżka. Mam w sobie taniec! Poczekaj tylko, aż mnie zobaczą na castingu do Damsels. Dam z siebie wszystko. Zatańczę całą sobą.

– Ten Jack Masselin... Wszystko w porządku w tej kwestii? Dał ci spokój?

– Nie naprzykrza mi się.

A przynajmniej nie w taki sposób.

– Libbs, wiesz, że możesz ze mną o wszystkim porozmawiać.

Czuję, że oblewam się krwistoczerwonym rumieńcem. A jeśli tata potrafi czytać mi w myślach? Jeśli widzi, że akurat w tym momencie, jedząc winogrono, rozbieram Jacka Masselina oczami wyobraźni?

– Wiem, tato.

Po raz pierwszy w życiu nie mam ochoty z nim rozmawiać. Ani o Jacku, ani o tych listach, które dostałam. Nie chcę, żeby miał kolejny powód do zmartwienia, przecież sprawiłam mu już tyle kłopotów!

– Chciałabym nie iść do szkoły pierwszego października – mówię. Kiedy zmarła mama, tata wymusił na mnie obietnicę, że będę mu zawsze mówiła, gdzie jestem. Dochodzę więc do wniosku, że tyle mu powiem. – Kolega jedzie na uniwersytet w Bloomington, żeby wziąć udział w badaniu naukowym.

– Kim jest ten kolega?

– Ze szkoły. – Nie mówię, że to Jack. Wystarczy mu świadomość, że chcę uciec z lekcji. – Przechodzi teraz ciężkie chwile, chciałabym go wesprzeć.

– Masz coś ważnego w tym dniu? Jakieś sprawdziany?

– Nic, o czym byłoby mi wiadomo.

– Czy to... czy to będzie...

– Randka? Nie.

Nie sędzę. Znaczy, oczywiście, że nie. Chociaż nie przeczę, sama się zastanawiam. Może mogłaby z tego wyjść randka?

– Nie – powtarzam. – Ten wyjazd to mój pomysł.

Już prawie mówię: „Ja też zastanawiam się nad tym, czy się nie zbadać. Wiem, że rozmawialiśmy o tym po śmierci mamy, ale teraz, gdy jestem starsza, może jednak chciałabym to zrobić. Może dzięki temu nie będę się tak zamartwiać”. Podrzucam kulkę, ale nie trafia do ust. A może będę się jeszcze bardziej stresować? W zależności od tego, co wykażą badania. Podnoszę winogrono, które spadło mi na koszulkę, i się krzywię.

– Myślisz, że moglibyśmy iść na zakupy?

Tata unosi brwi.

– Na tę twoją nie-randkę?

– Ty nawet nie musiałbyś iść, wystarczyłoby, żebyś pożyczył mi pieniądze. Albo znajdę pracę.

– Żadnej pracy. Nie teraz. Po kolei.

– To pożyczysz mi kasę?

– Zdajesz sobie sprawę, że w jednej rozmowie poprosiłaś mnie o możliwość niepójścia do szkoły oraz pożyczania pieniędzy? Jesteś świadoma tego, że jestem najlepszym ojcem na świecie?

– Owszem.

Odchyła głowę, a ja rzucam mu kulkę winogrona. Potem rzucam George'owi, a on uderza w nią łapą i winogrono leci na przeciwległy koniec pokoju. Na końcu rzucam sobie i tym razem łapię ją w usta jak profesjonalistka.

* * *

Gdy idę do swojego pokoju, biorę komórkę i kładę się na łóżku. Dzwonię do Bailey, ponieważ tak robią prawdziwi – a nie wyimaginowani – przyjaciele.

– Co sądzisz o Jacku Masselinie? – pytam, kiedy odbiera.

– Jako o osobie czy chłopaku?

– I jedno, i drugie.

– Myślę, że generalnie jest dobrym człowiekiem, ale czasami popełnia błędy. A jako chłopak jest uroczy i zabawny, z czego zdaje sobie sprawę, a przy tym nie jest takim idiotą jak wielu innych. Dlaczego pytasz?

– A, tak się zastanawiam.

– Libbs, nie mogę ci kazać lub nie kazać czegoś czuć, ale pamiętaj, że on od wieków spotyka się z Caroline. Nawet jeśli nie są razem, to są razem. Na twoim miejscu wolałabym dać sobie spokój. Prosisz się o złamane serce.

– Czy ja powiedziałam, że jestem zainteresowana?

A może jestem?

Zmieniam temat, rozmawiamy o Terri Collins i Damsels, a potem Bailey opowiada mi o chłopaku z New Castle, który jej się podoba. Potem wchodzę na profil Iris na Instagramie i lajkuję dosłownie każdy jej ostatni post. Wybieram losowo jeden i piszę komentarz. Już mam na tym poprzestać, ale postanawiam jeszcze do niej zadzwonić. Włącza się poczta głosowa, zostawiam bełkotliwe przeprosiny. Iris niemal natychmiast

oddzwania i chociaż wcale nie mam ochoty odbierać, robię to, ponieważ nie jestem
wyspą.



Kiedy wracam do domu, mama z włosami zaczesanymi do góry siedzi w swoim gabinecie pogrążona w pracy. Laptop cicho buczy, wokół leżą różne książki prawnicze. Pukam do drzwi.

– Puk, puk, najstarszy syn. Melduję się na posterunku.

Rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Udało ci się przeżyć ten dzień bez atakowania rówieśników i lądowania na dywaniku u dyrektora?

– Tak jest. – Podnoszę ręce na znak zwycięstwa.

– Dobra robota. Zobaczymy, czy ta tendencja się utrzyma. – Mama unosi jedną rękę i pokazuje, że trzyma kciuki. Palcami drugiej przytrzymuje miejsce w książce. – A tak na marginesie, przysłała do ciebie paczka. Zostawiłam ją w kuchni. Co zamawiałeś?

– Rzeczy do szkoły. – Mam nadzieję, że to będzie dla niej dowód na istnienie nowego, ulepszonoego Jacka, który wyciągnął wnioski z lekcji.

Dzwoni jej komórka. Mama kręci głową.

– Idź, zamów pizzę albo coś innego... no chyba że twój ojciec jest w stanie coś przygotować.

– Zdaje się, że jeszcze nie wrócił.

Jej twarz tężeje, ale nim zdoła cokolwiek powiedzieć, ponieważ ciężko pracuje, a on jest taki podły, i ponieważ nie zasłużyła sobie na to, żeby czuć się paskudnie, obiegam biurko i całuję ją w policzek.

– Nie ma za co – mówię. – Mam tego więcej. Mogę ci jeszcze coś podarować.

I ją przytulam. To nic wielkiego, ale śmieje się, chociaż mnie od siebie odpycha.

* * *

Paczkę otwieram dopiero w moim pokoju. Dwa tytuły Olivera Sacksa, wielkie tomisko o percepcji wizualnej i biografia cierpiącego na prozopagnozę artysty Chucka Close'a, który wsławił się malowaniem twarzy i w ogóle jest zajebisty. Jeździ na wózku, ma niesprawną rękę, nie rozpoznaje twarzy, a jednak tworzy niesamowite portrety. Oto, jak to robi:

Fotografuje twarz.

Tworzy jej fotograficzną siatkę.

Następnie maluje ją kawałek po kawałku na płótnie, wykorzystując do tego farby olejne, akrylowe, tusz, ołówki albo kredki.

Jak twierdzi, zawsze chodzi o twarz i tylko o twarz.

Ponieważ twarz to mapa drogowa życia.



Wysłałam esemesa do Jayvee. Nasza rozmowa, jak zwykle, zaczyna się od Atticusa Fincha.

Ja: Powiedzmy, że Atticus Finch jest Twoim ojcem.

Jayvee: Jestem Jemem czy Smykiem?

Ja: Wszystko jedno. Albo jesteś Jayvee. Jayvee Finch.

Jayvee: Z filipińskiej gałęzi tej rodziny. Kontynuuj.

Ja: Powiedzmy, że macie w rodzinie pewną chorobę przekazywaną genetycznie. Kiedy byłaś mała, Atticus uznał, że nie zostaniesz przebadana pod tym kątem.

Jayvee: Atticus ma zwykle rację. Czy to uleczalna choroba?

Ja: Niezupełnie.

Jayvee: I rozumiem, że kwestionuję zdanie Atticusa jako dorosła kobieta?

Ja: Być może.

Jayvee: Ile mam lat?

Ja: Jesteś mniej więcej w naszym wieku.

Jayvee: Zakładam, że Atticus miał swoje powody. W końcu to Atticus Finch, a nie byle kto.

Pięć sekund później.

Jayvee: Ale czasami warto jest podejmować własne decyzje.

JAK ZBUDOWAĆ ROBOTA

Jack Masselin

1. Zbierz jak najwięcej klocków Lego i innych materiałów.
2. Narysuj schemat.
3. Zignoruj wszystkie strony typu „Jak zbudować robota Lego”, ponieważ to ma być dla Dusty’ego, a on zasługuje na coś, co jeszcze nigdy nie zostało stworzone.
4. Obejrzyj ponownie *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia* (oryginał, a nie remake) pod pozorem szukania inspiracji, w rzeczywistości jednak dla odwleczenia nieuniknionego.
5. Przynieś ze złomowiska wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.
6. Zamów brakujące części (jeśli nie znajdziesz ich na złomowisku) – mikrokontroler, płytkę, obwód drukowany, akumulator, kolorowe przewody, silniczek, siłownik, głośnik, odbiornik podczerwieni, serwomechanizmy, różne wsporniki, podzespoły, wyrzynarkę stołową itp.
7. Sporządź projekt tego, co robot ma robić. Innymi słowy, zaprogramuj mu mózg.
Kiedy miałem sześć lat, wszedłem na dach naszego domu, bo chciałem być superbohaterem. Byłem Iron Manem w stroju Iron Mana, chociaż miałem na sobie koszulkę i spodenki kąpielowe, a to oznaczało, że zamiast pofrunąć, poleciałem głową w dół i pękła mi czaszka. Sześćdziesiąt siedem szwów. Czy wcześniej rozpoznawałem twarze? Nie pamiętam.
8. Daj mu dobry mózg. Prawidłowo funkcjonujący, normalny, bez zaburzeń.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ



Pierwszy października wypada we wtorek. Udaję chorego i chowam klucze do land rovera, żeby Marcus nie mógł pojechać nim do szkoły. Kiedy do mojego pokoju wchodzi wysoki chłopak o zmierzwionej czuprynie i zaczyna wrzeszczeć, domyślam się, że to on.

– Wiem, że masz kluczyki, ty symulancie!

Głośno kaszlę.

Zaczyna grzebać w moich rzeczach – na półkach, w szufladach, w szafie. Podnosi nawet z podłogi moje dzinsy i sprawdza kieszenie.

Charczę jak stary gruźlik, aż w końcu w progu pojawia się kobieta i pyta, co, do diaska, się dzieje.

W odpowiedzi kaszlę i rżęzę, na co ona pokazuje na drzwi i każe wysokiemu kudłaczowi zejść, do cholery, na dół. NATYCHMIAST!

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, zanim wyjedziemy? – pyta.

– Dam radę – odpowiadam. Wcale nie chciałem zabrzmieć jak męczennik. Jeszcze trochę kaszlę.

A potem ona wychodzi, a ja leżę cicho, nasłuchując tego, co się dzieje na dole.

Słyszę trzask zamykanych drzwi wejściowych i leżę nieruchomo jeszcze przez chwilę. Dociera do mnie dźwięk odpalanego silnika, a wtedy zrywam się na równe nogi, podbiegam do okna i liczę osoby. Do jednego samochodu wsiada kobieta z dzieckiem, do drugiego ciemnowłosa mężczyzna z wysokim kudłaczem. Patrzą, jak ruszają i rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach. Od razu zaczynam działać. Wyjmuję kluczyki spod materaca, ubieram się, zbiegam na dół, wpychając rogala do ust, i wsiadam do land rovera. Jadę prosto do Libby.

* * *

Jej dzielnica to ulica za ulicą, przy których stoją identycznie wyglądające domy. Jej domu nic nie odróżnia od pozostałych, nie licząc mieszkającej w nim dziewczyny.

Libby czeka na mnie przy krawężniku. Ma na sobie fioletową sukienkę, która przypomina mi coś, co nosiłaby dorosła kobieta, tu obcisłe, tam luźne, tu dopasowane. Włosy ma rozpuszczone, rozświetlone słońcem.

Widzę piękno. Im bardziej symetryczna twarz, tym dana osoba wydaje mi się przeciętniejsza, ponieważ jest w niej pewna identyczność – nawet jeśli inni uważają ją za

śliczną. Moim zdaniem każdy człowiek powinien mieć w sobie coś wyjątkowego. Twarz Libby jest symetryczna, ale jej uroda nie ma nic wspólnego z identycznością. Rozpoznaję jej piękno, kiedy tylko otwiera drzwi i wsiada do środka. Jest pełna wdzięku, zwłaszcza jak na tak dużą osobę. Praktycznie wfruwa do samochodu jak Tarzan, zdejmuje buty i wierci palcami stóp. Paznokcie też ma pomalowane na fioletowo.

– Wyglądasz świetnie – mówię.

Patrzy na mnie z ukosa.

– Jacku Masselin, czy ty ze mną flirtujesz?

– Tylko stwierdzam fakt.

Odsuwa włosy z szyi, mam ochotę powiedzieć: „Nie rób tego, bo znikniesz mi z oczu”. Ale widzę, że sama dochodzi do takiego wniosku – może przypomina sobie to, co jej wcześniej mówiłem – i znów je rozpuszcza.

Chwilę później podaje mi coś owiniętego w papier bożonarodzeniowy i obklejonego chyba pięćdziesięcioma kokardkami.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Jak widzisz, lubię papier świąteczny.

– Nie musiałaś.

– Ale chciałam. Otwórz.

Rozrywam papier, kokardki lecą dookoła. Libby podnosi jedną i przykleja ją sobie do włosów nad lewym uchem. Bierze drugą i przymocowuje mi do kolana. Ja też biorę kokardy, jedną przyklejam sobie do nosa, drugą – jej.

– Otwórz, proszę – mówi zza kokardy.

To książka. *Zawsze mieszkaliśmy w zamku* Shirley Jackson. Jestem wstrząśnięty, zastanawiam się, czy ona wie. Na pewno wie, że to ja wysłałem jej książkę do szpitala. Patrzę na nią, ale widzę szeroki, radosny uśmiech na jej twarzy i wtedy uświadamiam sobie, że nie, ona nie wie.

Przeglądam książkę. To nie ten sam egzemplarz, który jej wtedy przesłałem, ale równie zniszczony i sczytany.

– Nie byłem pewna, co powinnam ci podarować, bo co można dać chłopakowi, który ma wszystko, łącznie z prozopagnozją? Pomyślałam więc, że dam ci coś, co kocham. To moja ulubiona książka. Nie musisz jej czytać, ale bohaterka – Mary Katherine Merricat, jak ją nazywają – przypomina mi mnie. I... sama nie wiem. Pomyślałam, że ty też może znajdziesz z nią coś wspólnego.

– Przeczytam – odpowiadam i się uśmiecham. – Dziękuję.

Uśmiecha się do mnie.

– Nie ma za co.

Nagle robi się romantycznie. Wnętrze samochodu wypełniają już nie tylko kokardy, ale i jakiś prąd elektryczny, który łączy nasze siedzenia.

Libby robi to, co wydawało się niemożliwe: przerywa prąd słowami.

– Jesteś na to gotowy?

– Bardziej już nie będę.

* * *

Jestem tak pobudzony, że gadam jak najęty. Opowiadam jej o wszystkich

internetowych testach, jakie sobie zrobiłem, i Billu Choisserze, który mieszka w San Francisco, jest starym brodatym dziadkiem i napisał książkę o prozopagnozji. Opublikował ją w sieci, żeby wszyscy mogli przeczytać. Dotyczy tego, jak niemożliwość rozpoznawania twarzy wpływa na naukę, pracę, związek, życie.

Im bliżej Bloomington jesteśmy, tym robię się bardziej milczący. Czuję, że ucieka ze mnie cała energia. Czego się dowiem? Czy doktor Klein będzie w stanie mi pomóc? A może zamiast do Bloomington powinienem pojechać do New Hampshire, żeby się spotkać z Bradem Duchaine'em? A co, jeśli ta podróż to zupełna strata czasu? Albo jeśli się dowiem, że cierpię na jakąś straszną chorobę? Że to nie prozopagnozja, tylko rak mózgu?

– Normalnie czuję twoje myśli – mówi Libby.

Spoglądam na nią.

– Zapomniałeś, że tu z tobą siedzę?

Byłem tak zatopiony we własnych myślach, że chyba tak.

– Przepraszam.

Mijamy znak „Bloomington 15 km”. Moje serce ląduje gdzieś na pedale gazu.

– Masz tu radio?

– Oczywiście. Kobieto, co ty sobie myślałaś? – Uderzam w przycisk i wewnątrz land rovera wypełnia się muzyką. Próbuję skupić się na tekście, na melodii, ale ona zaczyna przeszukiwać nagrania, co przypomina mi funkcjonowanie mojego mózgu – fragmenty słów, fragmenty melodii, fragmenty ruchów, fragmenty wszystkiego.

W końcu znajduje piosenkę, która jej się podoba, i ją puszcza.

– Disco? Chyba oszalałaś! – Wyciągam rękę do radia, ale Libby mnie odpycha. Robię to ponownie i znów mnie uderza. Teraz już nie chodzi o wyłączenie muzyki, chodzi o dotyk, o to, że nasze dłonie ze sobą flirtują. W końcu Libby chwytą mnie za palce i je przytrzymuje. Czuję iskry wydobywające się spod mojego kciuka i pozostałych palców. Kaszlę, bo co to ma być, do cholery?

– Przepraszam, skarbie – mówię do samochodu – że musisz to znieść. Przepraszam cię, że musisz tego słuchać. I ja też.

– Co?! – woła Libby. – Nie słyszę cię, zagłusza cię mój śpiew i ta boska muza!

Teraz Libby śpiewa najgłośniejszym głosem, jak potrafi, ORAZ tańczy. Puszcza moją rękę i krzyczy:

– Spontaniczna impreza taneczna!

Potem dalej śpiewa, ale teraz tańczy bardziej intensywnie, jakby znajdowała się na scenie.

– *I love to love, but my baby just loves to dance, he wants to dance, he loves to dance, he's got to dance.*

– Co to ma...

– *The minute the band begins to swing it, he's on his feet to dig it, and dance the night away. Stop! I'm spinning like a top, we'll dance until we drop...*

To chyba najbardziej kliwa piosenka, jaką kiedykolwiek słyszałem, ale Libby daje się jej ponieść. Kołysze się na fotelu, porusza ramionami, przesuwa się, to w moją stronę, to w przeciwną. Mruga do mnie jednym okiem i śpiewa jeszcze głośniejszym głosem, a trzeba

przyznać, że nie ma w ogóle głosu. Dołączam się do niej, niejako w samoobronie.

Zaraz potem tańczymy zgodnie – głowy w prawo, głowy w lewo, ramiona do przodu, ramiona w tył. Wykrzykujemy słowa, uderzam rytmicznie w kierownicę, Libby wyrzuca ramiona w powietrze. Nagle to najlepsza piosenka, jaką słyszałem w życiu. Uśmiecham się do niej, a ona do mnie.

To romantyczna chwila.

Zdecydowanie.

– Uważaj na drogę, casanovo – mówi. Tak delikatnym tonem, jakiego nigdy jeszcze nie używała. – I pamiętaj, że czegokolwiek się dzisiaj dowiemy, te badania niczego nie zmienią.

Podoba mi się, że mówi „dowiemy”, jakby to była nasza wspólna sprawa.

– Nadal jesteś Jackiem Masselinem – dodaje. – Upierdliwym jak nie wiem co. Nadal jesteś sobą.



To romantyczna chwila. Gdyby mnie ktoś zapytał dwa tygodnie temu – ba, nawet dwa dni temu – czy wyobrażam sobie coś podobnego, chyba bym się uśmieła. Na tym właśnie polega życie poza czterema ścianami własnego domu: nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Wydaje mi się, że on też to czuje, ale nie jestem pewna.

Oby tak było!

Lepiej, żeby się nie okazało, że to ja jak idiotka czuję się romantycznie z jego powodu, a nie z nim.

Zachowuję się na zasadzie „tra, la, la, jedziemy do Bloomington, musimy się przekonać, czy faktycznie nie rozpoznajesz twarzy”. Tymczasem moje serce kurczy się i rozkurcza, skacze i trzepocze, jakby chciało się wydostać z klatki piersiowej i zacząć skakać po wnętrzu samochodu. Zmuszam się do uśmiechu, wbijam wzrok w szybę i myślę: „Och, serce. Ty zdrajco!”.



W laboratorium panuje spory ruch. Asystent prowadzi nas do doktor Amber Klein (jasnobrązowe włosy, wydatne kości policzkowe, okulary). Jest ubrana na czarno, rękawy podwinęła do łokci, włosy spięła do tyłu w bardzo praktyczną fryzurę. Ma około czterdziestki. Laboratorium też jest pomalowane na czarno – ściany, podłogi, sufit. Pomieszczenie zostało rozdzielone kotarami – oczywiście czarnymi. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się na planie teledysku. Libby jest ubrana na fioletowo, ja na zielono, wybitnie się odznaczamy na tle tej całej czerni.

Doktor Klein prowadzi nas do krzesel za jedną z zasłonek i włącza laptopa.

– Rozumiem, że musisz być w domu po południu? – Na rękę ma zegarek, spogląda na tarczę. Jest 9.54.

– Niestety, to konieczne – odpowiadam. Uśmiecham się do Libby, ona uśmiecha się do mnie. Nadal ma kokardkę przyklejoną nad lewym uchem, ale jej uśmiech przypomina mi ten, który mama miała przyklejony do twarzy podczas chemioterapii taty. Jakby się zmuszała ze względu na niego i na mnie, choć w głębi duszy zdawała sobie sprawę z beznadziejności sytuacji.

– Przeprowadzę serię testów – oświadcza doktor Klein, po czym siada i zaczyna stukać w klawiaturę.

– Poczekam na zewnątrz. Widziałam, że tu niedaleko jest Starbucks. Napisz mi esemesa, kiedy skończysz. – Libby zabiera mój telefon i wpisuje swój numer. Gdy mi go oddaje, czuję dziwny atak paniki.

Przez chwilę się waha.

– Chyba że... to znaczy, mogę zostać... – Widzę jednak, że nie chce. Myślę sobie, że może ta cała sytuacja tak na nią działa – lekarka i badanie mózgu.

– Nie. Dam radę.

Przyglądam się, jak odchodzi, jak kołyszą się jej włosy.

– Czy ktokolwiek w twojej rodzinie cierpi na prozopagnozę? – pyta doktor Klein.

– Chyba nie. Dlaczego?

– To często genetyczna przypadłość, ale dzieli się na trzy rodzaje: wrodzoną, nabytą i rozwojową. Bywa także symptomem innych zaburzeń, na przykład autyzmu. Czy w dzieciństwie przeszedłeś chorobę mózgu albo upadek?

– Spadłem z dachu, kiedy miałem sześć lat.

– Uderzyłeś się w głowę?

– Coś takiego może wywołać prozopagnozę?

– To rzadsze niż samoistny rozwój, ale się zdarza.

– Mocno potłukłem sobie głowę, miałem zakładane szwy. – Moja ręka automatycznie wędruje ku cienkiej wypukłej bliźnie wzdłuż czaszki.

Kobieta coś pisze, a ja patrzę na nią i nagle uświadamiam sobie, że będzie mi grzebała w mózgu, że nic przed nią nie ukryję.

Pyta mnie, jakie badania miałem robione po upadku i czy wcześniej miałem problemy z rozpoznawaniem twarzy.

Szczerze mówiąc, nie wiem. Owszem, zrobili mi wszystkie możliwe badania, by się przekonać, czy mój mózg uległ uszkodzeniu, ale czy wcześniej potrafiłem rozpoznawać ludzi po twarzach? Nie mam pojęcia.

– Myślę, że twoi rodzice zauważyliby różnicę, gdybyś nagle przestał odróżniać bliskich.

– Chyba zawsze byłem dobry w rekompensowaniu sobie braków i maskowaniu niedoskonałości. Nawet wtedy. Może wcześniej rozpoznawałem twarze, ale byłem taki mały...

– Czy rodzice zwrócili uwagę na jakieś zmiany w twoim zachowaniu?

– Moja mama twierdzi, że sądziła, iż stanę się ostrożniejszy, ale ja zrobiłem się jeszcze żywszy i głośniejszy. Podobno wtedy właśnie zaczęła siwieć.

Uśmiecham się do kobiety, ale ona jest zajęta pisaniem. Rozglądam się po pomieszczeniu, napominam siebie, że powinienem wziąć się w garść, przestać się denerwować. Chwilę później doktor Klein kładzie ręce na kolanach i zaczyna mówić:

– Nie wiem, jak bardzo wgłębiłeś się w temat, Jack, ale jeden z najstarszych udokumentowanych przypadków prozopagnozy sięga 1883 roku... Lewis Carroll podobno cierpiał na to zaburzenie. Gdy będziesz ponownie czytał *Alicję w Krainie Czarów*, być może zauważysz różne wskazówki... Podejrzewam, że znasz koncepcję znaków szczególnych? Ale, jak zapewne wiesz, ubrania i fryzury zmieniają się dość często. Poznałam kiedyś panią, która rozpoznawała ludzi po obrączkach, bo te się rzadko zmieniają...

Ona za chwilę się dowie, co ukrywasz.

Nagle czuję się nagi. Muszę spojrzeć na siebie i się upewnić, czy nadal mam na sobie ubranie.

* * *

Pierwszy test dotyczy twarzy znanych osób i przypomina ten znaleziony w sieci, który sobie zrobiłem – to zdjęcia celebrytów pozbawionych włosów i uszu.

– No dobrze, Jack – mówi doktor Klein. – Nie ma wyznaczonego czasu, możesz się zastanawiać, jak długo chcesz.

Odwraca komputer ekranem w moją stronę. Na monitorze pojawia się twarz, owal z oczami, nosem i ustami. Kiedy jej się dłużej przyjrzeć, przestaje w ogóle przypominać twarz, wygląda jak planeta poprzecinana cieniami i kraterami. Po kolei wpisuję nazwiska, ale szczerze mówiąc, wszystko zmyślam.

Gdy skończę, od razu zacznę drugi test.

– Przetwarzanie malujących się na twarzy emocji odbywa się niezależnie od odczytywania rysów człowieka. Potrafisz zwykle powiedzieć, czy dana osoba jest zła, smutna, czy szczęśliwa?

– Raczej nie mam z tym problemów. Nie rozpoznaję twarzy, ale potrafię je odczytywać.

– To dlatego, że istnieje odrębny system przetwarzania danych wizualnych odpowiedzialny wyłącznie za rozpoznawanie twarzy, a konkretnie ludzkich fizjonomii. Twój mózg uważa psa czy kota za przedmiot. Przetwarzanie konfiguracyjne pozwala nam widzieć twarz jako całość, a nie jako poszczególne elementy.

Ten drugi test dotyczy identyfikowania emocji. Chciałbym wierzyć, że odpowiedziałem poprawnie na wszystkie pytania, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak mi poszło.

Potem na ekranie pojawia się zbiór twarzy odwróconych do góry nogami, które muszę połączyć z twarzami odwróconymi bokiem. Nie potrafię tego zrobić, wiem, że nie potrafię.

Im bardziej czuję się pokonany, tym większa jest werwa doktor Klein. Kobieta pochyła się nad laptopem.

– Ludzie, którzy nie mają żadnych problemów z rozpoznawaniem twarzy, bardzo kiepsko sobie radzą z identyfikowaniem twarzy odwróconych. Dzieje się tak, ponieważ po odwróceniu obrazu nie można już stosować strategii konfiguracyjnego przetwarzania danych. Zamiast tego zaczynamy stosować taktykę identyfikacji poszczególnych elementów, a więc tę samą, którą stosujemy w przypadku przedmiotów. Przypomina to sposób, w jaki ty identyfikujesz ludzi, bowiem konfiguracyjne przetwarzanie działa jedynie przy właściwie ustawionych twarzach. Naszym zupełnym przeciwieństwem są małpy, które świetnie rozpoznają inne osobniki, bez względu na ustawienie.

Z tego całego przemówienia wyciągam tylko jeden wniosek: nawet małpy rozpoznają się nawzajem.

– Teraz sprawdzimy, jak wygląda twoja zdolność rozpoznawania innych obiektów. Dzięki temu dowiemy się, czy twój problem dotyczy wyłącznie twarzy, czy także przedmiotów.

Siedzę i dopasowuję do siebie budynki, samochody, pistolety, krajobrazy, zwierzęta... Nagle myślę sobie: „A co, jeśli je też pomyłę? Te wszystkie rzeczy, z którymi nigdy nie miałem żadnych trudności? Co, jeśli tylko mi się wydawało, że rozpoznaję kota, psa, dom czy auto, a w rzeczywistości jest tak samo jak z twarzami?”. Zamykam oczy, mam ochotę uciec – od tego komputera, laboratorium, uniwersytetu. Od własnego umysłu.

– Muszę ci powiedzieć, że wszyscy badani na część pytań odpowiadają prawidłowo, a na część nieprawidłowo. Ten test został tak skonstruowany.

To mnie nie pociesza, ale otwieram oczy i robię dalej test.

Przy kolejnym jest jeszcze gorzej. To „test łysej kobiety”, w którym dostaję zdjęcie za zdjęciem, wszystkie przedstawiają zwyczajne, nieznanne kobiety bez uszu i włosów. Mam nacisnąć przycisk, jeśli uznam, że któraś wygląda inaczej, ale dla mnie wszystkie są takie same. Nawet nie próbuję, tylko uderzam jednostajnie w przycisk „takie samo”.

Ostatni test przypomina badanie u okulisty. Opieram brodę na specjalnej podpórce i przyciskam czoło do czegoś, co wygląda jak maska. Doktor Klein każe mi się wpatrywać w ekran komputera, na którym widnieje mała kamera skierowana w moje źrenice. Ma to zarejestrować sposób, w jaki mój mózg przetwarza obraz twarzy.

– Osoby normalnie postrzegające ludzi szukają najpierw tego, co znajduje się wewnątrz danej twarzy, i sekwencyjnie przenoszą się między oczami, nosem i ustami. Z kolei prozopagnostycy zaczynają od tego, co na zewnątrz, na przykład uszu i włosów. Zwykle unikają okolic oczu.

To brzmi wiarygodnie. Zastanawiam się, gdzie jest Libby i co robi.



Stoję w budynku wydziału neurologii i nauk o mózgu Uniwersytetu Indiany w Bloomington, gdzie otaczają mnie odpowiedzi. Byłam mała, kiedy zmarła mama i kiedy rozmawialiśmy z tatą o badaniach. Pozwoliłam mu zdecydować, czy chcemy je przeprowadzić. Ale teraz nic nie stoi na przeszkodzie, żebym poprosiła kogoś z tych lekarzy czy naukowców w białych kitlach. Mogłabym powiedzieć, że moja mama zmarła na krwotok w mózgu i muszę wiedzieć, czy mnie też to czeka.

Spaceruję w tę i w tę po korytarzu. Jeśli zostaną przebadana, albo stwierdzą, że mam tętniaki w mózgu, albo ich nie wykryją. Jeśli znajdą, albo będą w stanie nad nimi zapanować, albo nie.

Ale wiecie, co jest w tym wszystkim najważniejsze? Nawet jeżeli się okaże, że nie mam ani jednego tętniaka, moja sytuacja wcale się nie zmieni: nadal będę ostrożna. Nadal będę przygotowana i uważna, świadoma, że w każdej chwili ziemia może się zatrzymać. Przeżyłam najgorsze, co może się stać, i wiem z doświadczenia, do czego zdolny jest ten świat.

Mija mnie jakiś facet w białym fartuchu i wita się ze mną skinieniem głowy. Odpowiadam tym samym.

Myślę: „On mógłby mieć odpowiedzi na moje pytania”.

Patrzę, jak odchodzi.

Myślę: „Co by doradziła mi mama, gdyby tu ze mną była?”.

Brzęczy moja komórka, już mam ją zignorować, ale to może być Jack.

Jak się okazuje, to wiadomość od Jayvee:

Libby + nieobecność w szkole = kwestionowanie decyzji Atticusa? Przyszło mi coś do głowy. Uważam, że chociaż fatalnie jest nie wiedzieć, to jednak niewiedza też coś znaczy. Zawsze można coś z nią zrobić.

Po czym Jayvee dodaje:

Na tyle, na ile cokolwiek może zrobić ktoś, kto nadal chodzi do liceum w Indianie.



Czekam, aż doktor Klein przygotuje wyniki. Wmawiam sobie, że jest dobrze, że to nic takiego. W końcu od dawna wiesz, że jesteś do dupy, jeśli chodzi o rozpoznawanie ludzi. Ale słuchaj, dajesz radę, jesteś dobry w znajdowaniu znaków szczególnych, przez całe życie funkcjonujesz bez wsparcia i pomocy.

Serwuję sobie taką wewnętrzną mowę motywującą, aż w końcu wraca doktor Klein. Siada naprzeciwko mnie i mówi:

– Nie ma wątpliwości, że jesteś prozopagnostykiem. To schorzenie może przyjąć różne natężenie, są osoby z umiarkowanym zaburzeniem, bywają też pacjenci, którzy są kompletnie niezdolni do rozpoznawania twarzy. U ciebie mamy do czynienia z całkowitą niezdolnością. Co więcej, jesteś jednym z najcięższych przypadków, jakie spotkałam.

A więc to oficjalna diagnoza.

Spodziewałem się, że gdy ją usłyszę, poczuję się gorzej albo lepiej.

– I co teraz? Można to jakoś leczyć?

Ja nie trafiłem na żadną wzmiankę o leczeniu, ale to nie znaczy, że doktor Amber Klein, specjalizująca się w zaburzeniach pracy mózgu, czegoś nie wie na ten temat.

Ona jednak uśmiecha się przepraszająco.

– Owszem, czynimy coraz większe postępy w naszych badaniach, ale nie. Chwilowo nie ma żadnego lekarstwa. Eksperymentujemy z metodami nauczania naszych pacjentów lepszego radzenia sobie z prozopagnozją. Prowadzimy powtarzające się treningi, jedna godzina w tygodniu, na dziesięciu poziomach trudności. W tej chwili jest u nas nastoletni chłopiec, trochę młodszy od ciebie, z którym pracujemy już od pięciu miesięcy. Jego strategie poruszania oczami się poprawiły...

– Zaczął rozpoznawać twarze?

– Nie, ale mamy nadzieję, że nasilenie treningów pomoże mu w życiu codziennym.

Traci moje zainteresowanie i zdaje sobie z tego sprawę. Odwraca się, żeby po coś sięgnąć, a kiedy znów kieruje w moją stronę swoją twarz, jest tak, jakby stanęła przede mną zupełnie nowa osoba. Tablica została wyczyszczona, że tak powiem.

Jak się okazuje, sięgnęła po model ludzkiego mózgu.

– Na tyłach mózgu, tuż za prawym uchem – zaczyna, pokazując na modelu – o, tutaj, znajduje się szczególne miejsce odpowiedzialne za rozpoznawanie twarzy.

– Zakręć wrzecionowaty – mówię, po czym unoszę rękę i przesuwam palcami po

bliźnie – nad prawym uchem.

– Moglibyśmy zrobić rezonans magnetyczny, to badanie dałoby nam więcej informacji. Wielu pacjentów z prozopagnozją ma trudności z rozpoznawaniem samochodów i miejsc. Często doskwiera im także agnozja topograficzna, co oznacza, że łatwo się gubią, nie rozpoznają własnych domów ani miejsc pracy. Bywa, że towarzyszą temu zaburzenia słuchu. Uważamy, że prozopagnozja jest kluczem do odkrycia, jak nasz mózg przetwarza obiekty. Jak dotąd traktowaliśmy go jako jedną całość, ale powoli poznajemy poszczególne maszyny, że tak powiem, które wchodzą w jego skład. Dowiadujemy się, że te maszyny nie współpracują ze sobą, a nawet nie są świadome swojego istnienia.

– Innymi słowy, ten rejon w moim mózgu albo jest wadliwy, albo nie działa, albo go po prostu nie ma? Ale nawet jeśli zrobimy tomografię, to i tak mnie ona nie wyleczy.

– Zgadza się.

Doktor Klein już nic nie może dla mnie zrobić i doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Sugeruję, żebyś powiedział o tym innym, zwłaszcza rodzinie. Będzie ci łatwiej żyć.

Biorę komórkę i piszę do Libby: Skończyłem.

Bo tak właśnie jest.

– Jeszcze jedno, Jack. Większość osób cierpiących na prozopagnozję wrodzoną nie spodziewa się znaleźć w ludzkich twarzach niczego więcej niż to, co widzą. Ale w przypadku pacjentów z zaburzeniem nabytym sytuacja wygląda inaczej. To mniej więcej tak samo, jak u osób niewidzących: ponieważ przyszli na świat, nic nie widząc, nie czują, że cokolwiek tracą. Przy prozopagnozji nabytej człowiek ciągle próbuje wykorzystywać twarz do rozpoznawania ludzi. To instynktowne.

Nie wiedzieć czemu to dla mnie jak cios w splot słoneczny. Sam to sobie zrobiłem. Gdybym nie wszedł wtedy na dach... gdybym się nie popisywał... gdybym nie spadł... Nie rozmawiałbym teraz ze specjalistką od zaburzeń pracy mózgu. Powinienem płakać z powodu tego biednego sześćioletniego mnie leżącego na ziemi, nieświadomego, że moje życie zmieniło się raz na zawsze. Ale ja tylko chcę stąd wyjść.

– Dziękuję bardzo. Muszę już wracać.

Doktor Klein podaje mi rękę, dziękuje za czas, który jej poświęciłem, i przeprasza, że nic nie może dla mnie zrobić – jakby to była jej wina. Chciałbym jej powiedzieć, że nie ma przepraszać, że to nie ona zepchnęła mnie z dachu, ale mówię tylko to:

– Powodzenia w dalszych badaniach.

– Jack?

Odwracam się. Widzę kobietę o wydatnych kościach policzkowych, w okularach, z włosami zaczesanymi do góry.

– Na prozopagnozję cierpi jedna pięćdziesiąta społeczeństwa. Warto, żebyś o tym pamiętał. Nie jesteś sam.



W drodze powrotnej do Amos wypytyuję go o badania, ale odpowiada bardzo lakonicznie. Tak. Nie. Potem milkniemy. Jack znajduje się myślami bardzo daleko, wiem, jak to jest, kiedy człowiek chciałby się zamknąć w sobie. Nie zmuszam go do rozmowy, po prostu jedziemy.

Przez piętnaście kilometrów żadne z nas nie odzywa się ani słowem, a cisza przykrywa nas jak kołdra. Wpatruję się w horyzont, jednak po chwili kołdra milczenia zaczyna mnie dusić, odcinać dopływ powietrza.

Już prawie mu mówię, że byłam bliska przebadania własnego mózgu, ale ostatecznie rezygnuję.

– Chciałabym zostać tancerką – oznajmiam zamiast tego. – Nie tylko w Damsels, profesjonalną tancerką.

Trzeba mu oddać, że mimo tej rewelacji nie zjeżdża zszokowany na pobocze.

– Tancerką – powtarza. Nadal jest gdzieś daleko, ale wyczuwam odrobinę zainteresowania.

– Kiedy byłam mała... nie, że mniejsza, całkiem mała, brałam lekcje baletu. Byłam świetna. Mam nawet takie zdjęcie w czarnym kostiumie, kiedy stoję w idealnej pozycji piątej. Zostało zrobione w wieczór, gdy miałam mój pierwszy występ, byłam wniebowzięta. Po wszystkim nauczycielka powiedziała mi: „Ty nigdy nie zostaniesz tancerką. Mogę dalej cię uczyć, ale to będzie strata pieniędzy twoich rodziców. Twoje kości są zbyt duże. Nie masz odpowiedniej sylwetki. Im szybciej się tego dowiesz, tym lepiej”.

– Co za babsztyl.

– To mnie kompletnie zdołowało. Przez długi czas w ogóle odmawiałam tańczenia, bez względu na to, jak bardzo mama próbowała mnie przekonać. Zaproponowała, że znajdzie inną nauczycielkę, ale dla mnie balet się skończył. Ta kobieta go zniszczyła. – Wbijam wzrok w jego profil. – Ale nie powstrzyma mnie przed tańcem. Nikt mnie już nie powstrzyma. Nikt nie powinien mi mówić, co mam robić albo czego nie mam robić. Tobie też nie.

Znów jedziemy w milczeniu, ale teraz cisza jest czystsza, lżejsza. Atmosfera złagodniała, on wrócił na ziemię.

– Mój tato ma romans.

– Skąd wiesz?
– Wiem. Z panią Chapman. Z naszej szkoły.
– Z naszą nauczycielką chemii?
– Właśnie tak.
– Poważnie? – Nie licząc tego, że jest młoda, nic w niej nie woła: „Bierz mnie na kochankę!”. – I musisz się z nią widywać w szkole.
– Taaa.
– Musisz się z nią spotykać.
– Taaa.
– Co za gnojek.
– Przykro mi, że ludzie ci dokuczają z powodu wagi. Przykro mi, że pogorszyłem twoją sytuację.
– Przykro mi, że musisz chodzić z Caroline Lushamp.
Jack wybucha śmiechem, w samochodzie nagle aż trzeszczy od wyładowań.
– Już z nią nie chodzę – mówi, a te pięć słów otacza nas i wypełnia wnętrze. – Przykro mi, że moi przyjaciele bywają dupkami – dodaje.
– Przykro mi, że nie rozpoznajesz ludzi, których znasz. Może gdybyś rozpoznawał, wybrałbyś sobie lepszych przyjaciół.
Znów się śmieje, ale tym razem słabiej.
– Popatrz na to z tej strony: jeśli wszyscy, których spotykasz, których znasz, zajmą ci za skórę albo cię wkurzą, to nic takiego. Następnego dnia będą zupełnie nowymi ludźmi.
– Pewnie tak – odpowiada, już zupełnie poważnie.
Przed nami pojawia się drogowskaz: „Amos 8 km”.
– Mógłbym jechać dalej – rzuca Jack.
– Prosto w zachód słońca?
– Czemu nie?
Nagle mam wrażenie, że patrzę na nas z góry: oto dwoje banitów, Jack Masselin i Libby Strout, siedzą razem w zajebistym wozie, jego nogi znajdują się tak blisko jej nóg, jego ręce spoczywają na kierownicy. Oboje oddychają tym samym powietrzem, myślą te same myśli, dzielą się ze sobą tym, czego nie mówią nikomu innemu.
Jego wzrok drąży mój.
– Jako osoba, u której świeżo zdiagnozowano prozopagnozę, mogę ci powiedzieć, iż dowiedziałem się właśnie, że mój mózg nie przetwarza ludzkiej twarzy tak jak mózgi innych osób. Na przykład unikam oczu. Ale jakoś nie mam problemu z patrzeniem w twoje oczy. Co więcej, lubię w nie patrzeć. Bardzo.
Nasze spojrzenia się spotykają.
Spotykają.
I nie wyobrażam sobie, że mogłabym odwrócić wzrok.
– Szosa – mówię, ale tak cicho, że sama ledwo to słyszę.



Przychodzi mi do głowy, żeby się do niej przystawić. To byłoby takie proste – zatrzymać samochód, przysunąć się, dotknąć jej policzka, przysunąć się jeszcze bliżej (na tyle, by poczuła mój oddech), spojrzeć jej prosto w oczy, może odgarnąć włosy z twarzy. Zrobić to wszystko, czego się nauczyłem, żeby zyskać miano „faceta, którego pragną dziewczyny”.

Odwróciła głowę, więc widzę tylko jej włosy. Kiedy znów się odzywa, jej głos brzmi odrobinę gardłowo i mam wrażenie, że coś się w nim kryje.

Tym czymś jest podejrzenie:

Być może ty też się jej podobasz.

Co oznacza, że ona podoba się tobie.

Bo żeby można było coś odwzajemnić, to coś musi istnieć. Czyli tobie ona musi się podobać jako pierwsza. Ona, czyli Libby Strout. Cholera, naprawdę?

A ponieważ rozmyślałam o nowotworze, o tym starszym panu z San Francisco, który ma prozopagnozję, o doktor Amber Klein, o tętniakach oraz o tym, jak w gruncie rzeczy życie pozostaje całkowicie poza naszą kontrolą, postanawiam chociaż nad czymś przejąć kontrolę.

Wyciągam rękę i ujmuję jej dłoń. Jest miękka, ciepła i idealnie pasuje do mojej. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałem się niczego szczególnego, ale nagle mam wrażenie, że moje ciało się naelektryzowało, jakby zostało podłączone bezpośrednio do słońca.

Wpatrujemy się w nasze ręce, jakbyśmy widzieli je po raz pierwszy.

Jakimś cudem przypominam sobie, że prowadzę samochód, więc mój wzrok wraca na drogę, ale nie puszczam jej palców. Pocieram kciukiem jej skórę, niemal czuję wyładowania elektrostatyczne, przepływ prądu pomiędzy dwoma naładowanymi obiektami, które się ze sobą zetknęły. Takie wyładowania mogą krzesać niesamowite iskry, ale i wywoływać negatywne skutki, na przykład wybuch metanu w kopalni węgla czy zapłon gazu. Jednak w przeciwieństwie do kontaktu z Caroline, która składa się głównie z pyłu węglowego i gazu, tu nie ma mowy o negatywnych skutkach.

Libby jest solidna. Prawdziwa. Dopóki trzymam ją za rękę, nie zniknie mi z oczu.



Jack zjeżdża z autostrady zjazdem na Amos. Mijamy salon Forda, centrum handlowe i restauracje sieciowe. Przejeżdżamy obok starych wiktoriańskich domów stojących przy głównej ulicy, obok małego muzeum historii, mijamy kilka ulic w centrum i budynek sądu. Potem naszym oczom ukazuje się szkoła, college, dom pogrzebowy i wreszcie docieramy do mojej dzielnicy.

Czy Jack Masselin mi się podoba?

W którymś momencie będę musiała wysiąść z tego samochodu, zrobić kilkanaście kroków, otworzyć drzwi i wejść do domu. Będę musiała zamknąć drzwi – ja z jednej strony, on z drugiej – a Jack przejdzie te kilkanaście kroków do auta, wsiądzie i odjedzie. Pójdę do mojego pokoju, położę się na łóżku i będę się zastanawiała, czy to się naprawdę zdarzyło, czy może to sobie wymyśliłam i co, do diabła, właściwie o tym sędzę.

Zatrzymuje wóz, wyłącza silnik, oboje wpatrujemy się w nasze złączone dłonie. Nie podnoszę wzroku, bo co będzie, jeśli podniosę, on też i zechce mnie pocałować?

Mogę się wtedy rozpaść na milion kawałków błyszczącego, jaskrawego światła.



Chciałbym, żeby podniosła wzrok. Popatrz na mnie. Popatrz. Popatrz.

Mój telefon dzwoni, oboje podskakujemy. To alarm, znak, że mam tylko trzydzieści minut, a potem wszyscy wrócą do domu.

Kurde.

Libby nie czeka, aż go wyłączę, puszcza moją rękę, jakby to był gorący ziemniak, i wyskakuje z samochodu. Czar pryska, a ja siedzę i myślę: „Co ja robię, do cholery?”

Już mam odjechać, ale ostatecznie wysiadam z land rovera. Libby jest już na stopniach. Po raz pierwszy w tym roku czuję nadchodzącą jesień. W powietrzu czuć chłód, ale moja ręka nadal jest ciepła. Wsuwam ją do kieszeni, wypala dziurę w moich spodniach i parzy mnie w skórę.

– Dzięki za podwiezienie pod dom – odzywa się Libby. W jej głosie słyszę zdenerwowanie.

Spoglądam jej prosto w oczy.

– Jesteś najbardziej niesamowitą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem – mówię. – Jesteś inna. Jesteś sobą. Zawsze. Nikt inny nie może tego o sobie powiedzieć – okej, z wyjątkiem Setha Powella, ale to idiota. A ty, Libby Strout, nie jesteś idiotką.

Libby wystawia palec prosto w moją klatkę piersiową.

– Podobam ci się.

– Co?

– Jackowi Masselinowi podoba się gruba dziewczyna, chociaż jeszcze wcale tego nie zaakceptował.

No dobra, myślę. Zobaczymy, do czego to zaprowadzi.

– Nie twierdzę, że masz rację, ale co, gdybym jednak zaakceptował?

– Wtedy musielibyśmy coś z tym fantem zrobić – odpowiada, po czym wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi.



Stoję wewnątrz, serce mi wali jak oszalałe. Słyszę go za drzwiami, czuję jego obecność. Doskonale wiem, kiedy odchodzi, dwie minuty później, ponieważ otaczające mnie powietrze wraca do normalności, nie jest już niebezpieczne, pełne wyładowań, które mogą w każdej chwili we mnie trafić. Jack odjeżdża, ale moje serce nadal łomocze.



Myślę, czy nie powiedzieć im tego, kiedy mama serwuje sałatkę, kiedy Dusty recytuje tekst z *Piotrusia Pana*, a tata podaje makaron z serem: „Mam prozopagnozę. To oficjalna diagnoza, zostałem dzisiaj przebadany przez specjalistkę od zaburzeń pracy mózgu”.

Nikt nie podejrzewa, że nie było mnie w domu przez cały dzień, oprócz Marcusa, który ciągle powtarza:

– Czy to nie dziwne, Jack, że podczas obiadu włączył się alarm? Czy to nie podejrzane?

Próbuje złapać mnie na przynętę. Kiedy rodzice nie patrzą, pokazuję mu środkowy palec.

– Hej, nie przy stole! – strofuje mnie tata, który jednak zauważa.

Miałbym ochotę powiedzieć: „Jesteś ostatnią osobą, która ma prawo do zwracania innym uwagi”.

Ale mam zaskakująco dobry humor – mimo doktor Amber Klein, mimo mojego spieprzonego mózgu. Tak więc nie mówię nic ani ojcu, ani Marcusowi, chociaż zasłużyli sobie na o wiele więcej. Tkwię zamknięty we własnej głowie, przypominam sobie jazdę tam, drogę powrotną, moje palce splecione z palcami Libby, to, jak się do mnie uśmiechnęła, to, w jaki sposób powiedziała „Wtedy musielibyśmy coś z tym fantem zrobić”.

* * *

Po obiadokolacji idę do piwnicy i zajmuję się budową robota. Próbuję się zatracić w procesie tworzenia czegoś, tyle że jedyne, co chwilowo udaje mi się stworzyć, to największa na świecie kupa niewykorzystanych części. Najtrudniejszy etap to zawsze wymyślenie projektu. Kiedy już wiem, jak ma wyglądać to, co chcę zrobić, wystarczy zebrać materiały i złożyć je w odpowiedniej kolejności. Chwilowo jednak nie mam pomysłu. To znaczy, mam około pięćdziesięciu różnych koncepcji na pięćdziesiąt różnych robotów, ale żadna nie jest wystarczająco niesamowita.

Słyszę czyjeś kroki, a potem głos na schodach:

– Naprawdę byłeś dzisiaj chory?

Dusty.

- Nic w rodzaju grypy.
- Chcesz o tym pogadać?
- Jest okej.

Podchodzi do mnie i grzebie w częściach, które leżą na blacie i podłodze.

- A ty chcesz o czymś pogadać? Dzieciaki są nadal wstrętne?
- U mnie też okej. Jestem Piotrusiem Panem.

Rozumiem go. Chce, żeby ta chwila trwała. Złe momenty mają to do siebie, że same wracają, i to szybciej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

* * *

Idę do mojego pokoju, wychodzę przez okno na drzewo, a stamtąd wspinam się na dach. Kładę się i patrzę w niebo. Rozmyślałam o tym, że to dokładnie to samo niebo, w które patrzyłem, gdy miałem sześć lat, tuż zanim spadłem na ziemię, a także o tym, co się wydarzyło od tamtego czasu. Było tego tyle, że i niebo powinno się zmienić. Powinno wyglądać zupełnie inaczej.

Marcus bawił się w ogrodzie. Wszedłem na dach, żeby uciec od niego i od mamy, która ciągle kazała mi go pilnować. Wspięcie się do góry było trudniejsze, niż się spodziewałem, co mnie zaskoczyło. A dach okazał się bardzo brudny – pełno ptasich kup, gałązek, a nawet stara piłka, która mogła tam leżeć od dwudziestu lat. Nasz dach nie jest płaski, tylko pochyły, zszedłem ku krawędzi i zacząłem się przyglądać ulicy i sąsiednim budynkom. Przytrzymałem się jedną ręką, ale w tej samej chwili Marcus podniósł głowę, więc się puściłem, bo chciałem mu pokazać, że jestem silny, nieustraszony i wielki.

Upadek z trzech i pół metra trwa niecałą sekundę, ale ja miałem wrażenie, że to cała wieczność. Mówi się, że w takim momencie otwiera się pamięć i człowiek widzi to, czego zwykle nie widzi, o czym nie myśli albo czego nie pamięta. Dla mnie to była twarz mamy, a konkretnie jej oczy. Nie pamiętam, jak wyglądały w tamtej chwili, wiem tylko, że je zobaczyłem.



– Halo?

– Tu Jack. Myślałem o tym, co powiedziałaś.

– Mówiłam różne rzeczy, możesz uściślić?

– Myślałem o tym, co powiedziałaś w kwestii zrobienia czegoś z sytuacją „ty mi się podobasz, ja ci się podobam”.

– Nie mówiłam, że mi się podobasz.

Cisza.

– Jack?

– To, co właśnie usłyszałaś, to była nagła i niespodziewana śmierć mojego serca.

– Hipotetycznie rzecz biorąc... nie twierdzę, że tak jest... ale gdybyś mi się podobał, co chciałbyś z tym zrobić?

– Zapewne chciałbym potrzymać cię za rękę.

– Zapewne?

– Hipotetycznie. Chciałbym zdecydowanie hipotetycznie potrzymać cię za rękę.

– W takim razie ja zapewne hipotetycznie też bym cię potrzymała.

– A potem chciałbym cię hipotetycznie zaprosić do kina, chociaż z zasady nie lubię filmów ze względu na problemy z rozpoznawaniem twarzy bohaterów.

– Na jaki?

– Na jaki film?

– Muszę wiedzieć, czy to coś, co chciałabym obejrzeć.

– Nie wystarczyłoby ci bycie ze mną i trzymanie się za hipotetyczne ręce w ciemności?

– Chciałabym wiedzieć, jaki film będziemy oglądać.

– Hm. Myślę, że to musiałyby być coś, co ma w sobie wszystkiego po trochu.

Komedia. Dramat. Film akcji. Tajemnica. Romans.

– Brzmi nieźle.

– Czyli co, trzymałabyś mnie za rękę?

– Prawdopodobnie.

– No dobra, to „prawdopodobnie” musi mi chwilowo wystarczyć. Zabrałbym cię także na kolację, przed kinem albo po, zależy od sytuacji, no i koniecznie chciałbym odprowadzić cię do samego domu.

– A gdybym chciała zatańczyć do samego domu?

– To jestem twój.

Naprawdę jesteś mój? Czy to oznacza to, co oznacza? Moje serce wyskakuje z pokoju, toczy się w dół po schodach, wypada przez drzwi na ulicę.

– Ale po tym, jakbym cię odprowadził, tańcząc, do domu, chciałbym cię pocałować.

– Tak?

– Tak.

Teraz moje serce znikło z powierzchni ziemi. Widzę, że skacze wokół księżyca i gwiazd, a potem pomyka do innej galaktyki.

– Hipotetycznie.

– W takim razie pozwoliłabym ci się pocałować.

– Hipotetycznie?

– Nie. Zdecydowanie.

Kiedy kończymy rozmowę dwie godziny później, jest prawie druga nad ranem. Leżę przez całą noc i czekam, aż moje serce wróci na swoje miejsce.

KOLEJNE OSIEM DNI



W poniedziałek w stołówce siadam naprzeciwko Kama i Setha. Szkicuję pomysły projektów robota dla Dusty'ego i po raz pierwszy mam wenę. Widzę sens w tym, co robię, krew pulsuje mi w żyłach, jakbym właśnie przebiegł maraton, i to sprintem od startu do mety. Nic – absolutnie nic – nie powstrzyma mojego natchnienia, a przynajmniej tak mi się wydaje, dopóki Seth nie otwiera ust.

– Wiesz, my z Kamem mamy coś, co może ci pomóc w twojej sytuacji – mówi.

Podnoszę wzrok, nieco zamglony, ponieważ myślami jestem na kartce, która przede mną leży, a nie w stołówce szkoły średniej MVB. Seth śmieje się jak głupi do sera, cokolwiek ma mi do powiedzenia, nie chcę tego słuchać.

– A jaka to sytuacja? – pytam bardzo ostrożnie.

Seth szturcha Kama łokciem, przez co Kam upuszcza trzydzieści frytek, które właśnie próbował sobie wpakować do ust.

– Jasna cholera, Powell.

– Wczoraj trochę poszperałem w sieci. – Seth wyciąga z kieszeni kartkę papieru.

– Jezu. Porno? – Mogłem się domyślić. Wracam do rysowania.

– Nie porno. No wiesz? – Ma tupet, żeby poczuć się urażonym, a przecież wiadomo, że jego zdaniem Internet służy wyłącznie dwóm celom: pornografii i pokerowi.

– Po pierwsze. Łatwo się z nimi rozmawia.

– Z kim się łatwo rozmawia? – Nadal robię notatki.

– Z grubymi dziewczynami. – Tak gwałtownie podnoszę głowę, że chyba nabawię się urazu kręgosłupa szyjnego. Seth próbuje zachować kamienną twarz, ale nie jest w stanie się powstrzymać. Już chichocze pod nosem.

– Po drugie. Ładne kobiety nie zawsze są miłe.

– To akurat prawda – wtrąca się Kam.

– Co ty mi czytasz? – pytam.

– Dziesięć powodów, dla których warto umówić się na randkę z grubą dziewczyną. Z Internetu. – Seth macha kartką, po czym przykłada ją sobie do twarzy, czyta coś i zaczyna się śmiać. Próbuję mu ją wyrwać, ale przytrzymuje ją wysoko nad głową. – Trzy...

Kam wyrywa mu papier z ręki i podaje mnie. Zwijam kartkę w kulkę i już mam ją cisnąć do stojącego pod ścianą kosza, gdy uświadamiam sobie, że lepiej, by nikt jej nie

wygrzebał. Zamiast tego chowam ją do kieszeni. A potem pochylam się nad stołem i daję Sethowi w łeb.

On dalej się śmieje.

– Debil – mówi Kam i napycha sobie usta frytkami.

Wiem, że Seth próbuje tylko być zabawny, ale wewnątrz cały płonę, jakbym połknął pożar lasu.

– Zejdź z niej, facet, mówię poważnie.

– Wow. Dobrze, dobrze, Mass. Jak chcesz. – Ociera łzy i próbuje złapać oddech. Przez chwilę siedzi cicho, po czym parska i znów zaczyna rzeć.

Tłumaczę sobie, że nie powinienem się tym przejmować. Kogo obchodzi, co oni sobie myślą? Wcale nie chodzi o to, że ona jest gruba. Nie to mnie martwi. W ogóle nie to. Po prostu chcę, żeby zostawili mnie w spokoju. Nas. Gdzieś w głębi duszy rodzi się jednak pytanie: „A może jesteś taki płytki? Jakie są twoje znaki szczególne?”

– Jesteś idiotą – mówię do Setha. Zabieram moje pomysły oraz to, co zostało mi z drugiego śniadania, i wychodzę.



Na drzwiach gabinetu Heather Alpern wisi lista osób chętnych do udziału w castingu do zespołu cheerleaderek Damsels. Jak dotąd wpisało się siedem dziewczyn, ja jestem ósma. Jayvee podaje mi długopis, pochylam się i piszę moje nazwisko.

– O mój Boże, ty też się zgłaszasz? – słyszę za plecami.

Caroline Lushamp patrzy na mnie protekcjonalnie z dziwnym, fałszywym uśmiechem na twarzy, który nadaje jej wygląd miss seryjnych morderców.

– O mój Boże! – odpowiadam. – Skąd wiesz?

Patrzy na mnie, mrugając, przenosi mrugający wzrok na moje nazwisko na liście, potem na Jayvee i znów na mnie.

– Wyobraź sobie: być może będziemy koleżankami z drużyny! – mówię i przytulam ją, najmocniej jak potrafię. – Do zobaczenia na castingu!

Jayvee ledwo idzie, tak się zwija ze śmiechu. Chwieje się, jakby była pijana. W końcu opanowuje się na tyle, że jest w stanie się wyprostować, i na chwilę przestaje się śmiać.

– Co zrobiłaś ze sprawą Atticusa? Badanie czy nie?

– Nie. Uznałam, że on jednak lepiej się zna.

– Zwykle tak jest.

* * *

Na zajęciach przygotowawczych do egzaminu na prawo jazdy zostajemy podzieleni na trzyosobowe ekipy. Ponieważ resztę klasy stanowią uczniowie klas drugich, my, trzecioklasiści, ładujemy w jednym samochodzie: Bailey, Travis Kearns i ja.

Jestem pewna, że Travis się czegoś naćpał. Siedzi z tyłu i komentuje, co brzmi mniej więcej tak:

– Dawaj, duża... Jedź jak cholerny wiatr... Wyciśnij z niej, ile się da... Pokaż światu, na co cię stać... Postaw tę śliczną nóżkę na gazie i przyciśnij do dechy... Zawieź nas na księżyc, siostrzyczko... A przynajmniej do Indy... Zawieź nas do Indy... Do Indy... Indy... Indy... Indy...

Tu pada kilka niezrozumiałych słów, a po nich śmiech szaleńca.

Bailey też siedzi z tyłu, przykleiła się do szyby, żeby znaleźć się jak najdalej od niego. Ale, jak na Bailey przystało, na jej twarzy maluje się zdeterminowany uśmiech.

Pan Dominguez, jak zwykle seksowny i przystojny, siedzi z przodu na fotelu pasażera. Ja zasiadam za kierownicą i nic na to nie poradzę – jestem podekscytowana. Ręce mnie mrowią, czuję dziwną falę gorąca przetaczającą się przez moje stopy, w górę nóg, do brzucha i klatki piersiowej. Mam wrażenie, że płonę, ale przynajmniej wiem, że ŻYJĘ.

Musicie zrozumieć, że przez długi czas nie wierzyłam, że kiedykolwiek będę prowadzić samochód, biegać czy robić wiele innych rzeczy, które są codziennością dla moich rówieśników. Mój świat składał się z łóżka i sofy, a potem, kiedy przenoszenie się z jednego na drugie nie było już takie łatwe, przez całą dobę leżałam w łóżku, czytając, oglądając program za programem, szperając w Internecie i – owszem – jedząc. Niekiedy słyszałam na zewnątrz głosy Deana, Sama i Castiela, a jeśli się trochę podniosłam, widziałam ich przez okno, obserwowałam, jak grają w tenisa, piłkę nożną albo się gonią. Widziałam, jak Dean i Sam wyjeżdżają na lekcje, tańce i randki (w mojej wyobraźni były to oczywiście randki ze mną). Przyglądałam się, jak najmłodszy, Cas, wspina się na jedno z rosnących przy domu drzew. Podśluchiwałam rozmowy telefoniczne, kłótnie i romantyczne uniesienia. Niekiedy widziałam, że Cas wchodzi do naszego ogrodu i patrzy w moje okno. Siedziałam wtedy nieruchomo z nadzieją, że sobie pójdzie, bo co innego szpiegować, a co innego być szpiegowanym.

Teraz jednak wreszcie prowadzę samochód i dlatego nie przeszkadza mi wcale beżładna gadanina Trávisa, to, że Bailey wypytuje mnie o Jacka, czy cokolwiek jest między nami i czy Libby i Jack tworzą coś, o czym ona powinna wiedzieć. Pan Dominguez wykrzykuje polecenia, a w którymś momencie wrzeszczy na tych dwoje, żeby się zamknęli.

Chociaż to mój pierwszy raz za kierownicą, jestem dobra. Jazda przychodzi mi bez wysiłku. Czuję się SWOBODNIE. W którymś momencie dociera do mnie, że przecież JA JADĘ!

Jadę, w sensie prowadzę samochód. Jak normalny człowiek. Jak ten, który idzie po drugiej stronie ulicy. Ten przede mną i ten za mną. Jak ci wszyscy ludzie, którzy idą teraz chodnikiem, a którzy zapewne mają własne samochody i prawo jazdy. PROWADZĘ SAMOCHÓD!

To kolejna rzecz, o której nie powiem już mamie, i nim udaje mi się opamiętać, zaczynam płakać. Tęsknię za nią. Popatrz na mnie za kierownicą. Zobacz, jak jadę. Zobacz, jak się zatrzymuję na światłach. Zobacz, jak skręcam.

– Co ty robisz? – pyta pan Dominguez.

– Płaczę – odpowiadam, nie spuszczać wzroku z szosy. – I jadę. Płaczę i jadę! – Zaczynam płakać jeszcze mocniej, łzy, które spływają mi po policzkach, to łzy szczęścia i smutku.

Bailey ściska mnie za ramię, słyszę, że sama pociąga nosem.

– Czy mamy się zatrzymać? – pyta nasz instruktor.

– W życiu! Chcę jechać bez końca! – Nagle każde wypowiedziane przeze mnie zdanie kończy się wykrzyknikiem. Zaraz potem zerkam w lusterka i chociaż pan Dominguez nie kazał mi zjechać, kieruję się ku wjazdowi na autostradę, bo nie mogę się powstrzymać. Muszę wycisnąć coś więcej z tego wozu.

– Dawaj gazu! – woła Travis, a Bailey wydaje z siebie cichy pisk, bo zarzuca ją do

tyłu.

Nadal płaczę, ale teraz jednocześnie się śmieję, ponieważ jestem wolna, a nikt z nich i tak tego nie zrozumie.

– Nie wie pan, jak to jest, kiedy człowiek jest uwięziony w domu jak cielęcina – mówię do instruktora. – Dzisiaj jest najlepszy dzień mojego życia!

Mój śmiech nawet w moich uszach brzmi maniacko, chociaż wcale tak się nie czuję. Śmieję się szczerze, radośnie, mam wrażenie, że mogłabym tak się cieszyć bez końca.

Wiem, że to głupie, ale tak właśnie jest: to najlepszy dzień mojego życia. Jadę autostradą, wszyscy wymijają nas ze świstem powietrza, więc i ja zaczynam pędzić ze świstem, tak jak wszyscy, tak jakbym znajdowała się na właściwym miejscu. Jakbym mogła pojechać nawet w chmury, napędzana szczęściem i poczuciem wolności.

Ktoś włącza radio, leci *All Right Now* zespołu Free. W lusterku wstecznym widzę, jak Travis macha głową w rytm muzyki, a biedna Bailey trzyma się kurczowo mojego oparcia, pęd powietrza rozwiewa jej jasne włosy.

Z radia leci piosenka, ja ćwiczę zmianę pasów, tak długo i bezproblemowo, że w końcu wszyscy, łącznie z Bailey, zaczynamy śpiewać refren.

Dwie ulice przed szkołą pan Dominguez każe nam podnieść szyby i usiąść prosto. Ale kiedy wjeżdżam na parking, wszyscy nadal śpiewamy.



Po kółku konwersacyjnym wychodzę z sali gimnastycznej razem z Libby. Idziemy ramię w ramię po schodach, potem przez korytarze, aż do parkingu. Chciałbym chwycić ją za rękę, jednak tego nie robię, mój mózg się na tym fiksuje. Dlaczego nie chwycisz jej za rękę? Keshawn, Natasha i cała reszta poszli przodem, zostaliśmy już tylko my.

– Zastanawiam się, hipotetycznie oczywiście, czy nie wybrałabyś się ze mną gdzieś w ten weekend.

Albo udaje, że się namyśla, albo faktycznie się zastanawia.

– Nie spiesz się. Masz około dwóch minut na udzielenie odpowiedzi.

– A potem oferta wygaśnie?

– A potem zapytam cię ponownie.

Uśmiecha się ponętnie, uwodzicielsko i mówi niskim głosem:

– Uważam, że hipotetycznie rzecz biorąc, to całkiem fajny pomysł.



Jack przyjeżdża pięć minut wcześniej. Na głowie ma wielką szopę, jak zwykle, ale tym razem jest wilgotna, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Siedzę obok niego na sofie, czuję, że pachnie mydłem i chłopakiem. Staram się nie gapić na jego dłonie, które oparł na kolanach, na skórę, która wydaje się taka złocista na tle granatu džinsów.

Uprzedziłam tatę, że Jack przyjdzie. Że jest moim przyjacielem. Że zabiera mnie na MOJĄ PIERWSZĄ W ŻYCIU RANDKĘ. Tak, ten sam Jack, którego poznałeś w gabinecie pani dyrektor.

Wstrzymuję oddech, gdy tak siedzimy we troje (czy raczej we czworo, bo George patrzy na Jacka z oparcia fotela taty) w niezręcznych niedopowiedzeniach. Tata i Jack rozmawiają o jakichś duperelach, przy czym głównie to Jack nawija. Tata przygląda mu się tak, jakby próbował oszacować jego prawdziwe zamiary. Nie jest zbyt miły i przyjacielski, ale też nie zachowuje się niegrzecznie, a to już coś.

Nie jest mi jednak dane długo nacieszyć się tym faktem.

– Wyobrażasz sobie zapewne moje zdziwienie, kiedy Libby mi powiedziała, że chce z tobą wyjść – mówi tata.

– Tak.

– Wiem, że moja córka jest cudowna, pytanie, czy i ty zdajesz sobie z tego sprawę.

– Myślę, że się o tym przekonuję.

– Libby chyba ci ufa i tego samego oczekuje ode mnie.

– Rozumiem pana obiekcje. Postaram się udowodnić wam obojgu, że jestem godny zaufania.

– Możesz mi podać trzy mocne powody, dla których powinienem jej pozwolić wyjść dzisiaj z tobą?

– Zachowałem się jak kretyn, ale nie jestem kretynem. Nigdy nie chciałem skrzywdzić pana córki. Nigdy nie skrzywdziłbym jej celowo.

Tata patrzy na mnie, a ja próbuję przekazać mu wzrokiem: „Proszę, wybacz mi i mnie puść, nie chcę umrzeć jako stara panna, a poza tym bardzo go lubię, nawet jeśli uważasz, że to szaleństwo, więc proszę, bardzo proszę, zaufaj mi”.

– To dokąd planujesz zabrać dzisiaj moją córkę? – pyta Jacka tata. Ciągłe powtarza „moja córka”, jakby chciał wyraźnie powiedzieć: „TO MOJE DZIECKO, KREW Z KRWI MOJEJ. CZY ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ, CO CIĘ CZEKA, JEŚLI ZROBISZ

KRZYWDĘ MOJEJ JEDYNEJ CÓRCY?”.

– Myślałem o kinie i że coś gdzieś zjemy.

– Odwiesz ją przed dwudziestą trzecią.

Ja: – Chodzę do trzeciej klasy liceum.

Tata: – Właśnie.

Ja: – To może północ?

Tata: – To może wpół do jedenastej?

Ja (do Jacka): – Muszę być w domu przed jedenastą.

Jack (ze śmiechem): – Nie ma sprawy. Obiecuję, że ją do tego czasu przywiozę, jeśli nie wcześniej.

Ale nie dużo wcześniej, myślę.

– Kiedy ostatni raz dawałeś samochód do przeglądu? – pyta tata.

Teraz już nie wiem, czy mówi poważnie, czy tylko się z nim droczy. Próbuje przesłać mu wiadomość telepatycznie: „Proszę, przestań. Proszę, wyluzuj”. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że tata zrukuje moje szanse, zanim ja sama to zrobię. I może Jack to niejedyny niespokrewniony ze mną osobnik płci męskiej, który mnie pokocha, ale chwilowo jest dla mnie najlepszą okazją, a poza tym on mi się naprawdę podoba.

Podoba mi się Jack Masselin.

– W sierpniu. Znam się na tym, więc sam to zrobiłem.

Tata przygląda mu się przez całą wieczność.

– Wiesz, że chodziłem do szkoły z twoim ojcem? Graliśmy razem w piłkę nożną w gimnazjum i potem w liceum.

To nie to samo co: „Jestem przeschęśliwy, że zabierasz moją córkę na randkę”, ale zawsze coś.

* * *

– Przepraszam cię za mojego tatę – mówię w samochodzie.

– Żartujesz? Ma wszelkie powody, żeby mnie nie lubić. Na jego miejscu nie pozwoliłbym mi się do ciebie zbliżyć – odpowiada Jack, ale ja słyszę coś innego: „Chcę być blisko ciebie, Libby Strout. Chcę całować cię bez opamiętania”. – Chroni cię, i słusznie, zwłaszcza po tym, co ci zrobiłem. Też bym tak zareagował, gdybym miał córkę.

– Ja jednak słyszę te słowa: „Zawsze będę cię chronił. Zawsze będę się opiekował tobą i twoją córką, która nam się urodzi, gdy już weźmiemy ślub, będę kochał was po wieki”.

Siedzę w tym samym samochodzie, tylko piętnaście lat później – gdzieś daleko od Amos. Jack Masselin siedzi obok mnie tak jak teraz, tyle że z tyłu znajdują się nasze dzieci, może jedno – córka, a ja trzymam rękę na jego kolanie. Wpatruję się w jego nogę, a potem w oparte na kierownicy dłonie. Jestem pewna, że będziesz świetnym ojcem.

Nie wiem, dokąd jedziemy, widzę tylko, że zmierzamy do wschodniej części miasta, gdzie znajdują się restauracje i kino. Gdzie mieszkałam z tatą, zanim musieli zniszczyć nasz dom, żeby mnie wydostać.

– Nie mieszkałaś kiedyś w tej części miasta? – pyta Jack, jakby czytał mi w myślach.

– Dawno temu. Dokąd jedziemy?

Uśmiecha się do mnie szeroko, a ja się roztapiam pod jego spojrzeniem. Wszystko w środku mam miękkie i ciepłe, napawam się tym uczuciem, bo jest tak rzadkie. „Masz prawo być szczęśliwą” – słyszę w myślach głos Rachel. „Masz prawo cieszyć się z dobrych chwil”.

Dzisiaj może być ten dzień. Mój dzień odchudzającego maratonu seksu Pauline Potter. Być może przeżyję mój pierwszy raz z Jackiem Masselinem.

– Pomyślałem sobie, że najpierw coś zjemy, a potem zobaczymy. – Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Zabiorę cię na Księżyc i z powrotem, a kiedy już tam będziemy, zbiorę dla ciebie wszystkie gwiazdy”.

Nagle przychodzi mi do głowy córka, którą musimy razem mieć. Beatrice. Damy jej na imię Beatrice.

* * *

Mijamy Olive Garden, Applebee's i otwartą w zeszłym miesiącu knajpę Red Lobster. W głowie odhaczam wszystkie restauracje w mieście – nie ma ich tak wiele – ale mijamy jedną za drugą. Już prawie się spodziewam, że zrobi kółko i odwiezie mnie do domu, bez jedzenia, bez randki. Albo przekroczy granicę stanową z Ohio, bo tam nikt nie rozpozna jego, mnie, nas.

Kiedy jednak wyjeżdżamy z Amos, trochę się załamuję, co oznacza, że jednak spodziewałam się czegoś więcej niż przemycania mnie poza granice miasta, jakbym była córką jakiegoś bogatego barona paliwowego.

– Dokąd jedziemy? – Mój głos brzmi tak, jakby przejechał mnie walec. Pięćdziesiąt razy.

– Do Richmond.

– Richmond? – Teraz jest tak, jakbym chciała zapytać: „CZY TO MA BYĆ JAKIŚ CHOLERNY ŻART?! MOŻE PO PROSTU PRZYWIĄŻESZ MI KAMIENIĄ DO KOSTKI I WRZUCISZ MNIE DO RZEKI?”.

– Tak, Richmond. Nie ma mowy, żebym cię zabierał do tych spelunek w naszym mieście. Zwłaszcza kiedy tak ładnie wyglądasz.



Clara's Pizza King to klasyka gatunku. Najlepsza pizzeria w promieniu wielu kilometrów, a do tego na środku sali restauracyjnej stoi czerwony piętrowy autobus. W środku panuje tłok, ale dzwoniłem wcześniej, żeby zarezerwować miejsca. Możemy usiąść w autobusie albo w narożnym stoliku na górze, gdzie znajduje się też huśtawka. Libby wybiera huśtawkę.

Przechodzimy między stolikami. Libby idzie przede mną, zauważam, że ludzie się na nią gapią. To samo dzieje się, gdy jestem z Caroline, tyle że na Caroline patrzą, ponieważ to ten rodzaj wysokiej, seksownej dziewczyny, który przyciąga spojrzenia.

Gdy tak idziemy, widzę miejsca, w których przejście jest zbyt wąskie i Libby będzie musiała się przeciskać. Proponuję, że pójdę pierwszy, w ten sposób będę mógł wybierać drogę i ona nie będzie musiała już się o to martwić. Toruję przejście, ludzie się gapią, a ja sobie nagle uświadamiam, że jeszcze niedawno i ja do nich należałem. Może nie jak ci z kpiącymi, szyderczymi uśmiezkami, raczej tak jak ich towarzysze. Nie wiem, co powinienem czuć i robić, więc też się na nich gapię. Znam ich czy nie znam? W sumie mam to w nosie. Przyglądają się jej i mnie, a chłopaki przy stoliku, który właśnie mijamy, zaczynają mówić różne podłe rzeczy. Czy ona ich słyszy? Nie mam pojęcia. Zapewne tak. Odrzucam głowę do tyłu – zawsze mi się wydaje, że wtedy moje włosy robią się dwadzieścia razy większe, a ja trzydzieści centymetrów wyższy – i rzucam im wściekle spojrzenie. Od razu milkną.

Gdy wchodzimy na piętro, Libby zajmuje miejsce na huśtawce. Mogę usiąść przy stoliku albo obok niej. Myślę sobie: „Pieprzyć wszystkich, którzy się gapią”.

- Czy to miejsce jest zajęte? – pytam, wskazując na huśtawkę.
- Nie musisz.
- Czego nie muszę?
- Siadać ze mną.
- Przesuń się, kobieto.

Robi mi miejsce, kołyszemy się w przód i w tył, jakbyśmy siedzieli na werandzie naszego domu w letnie popołudnie.

Każdy stolik wyposażony jest w telefon – staroświecki aparat z kablem – więc składam zamówienie, a potem chwytam ją za rękę.

- Mam spocone dłonie – oświadczam.

– Dlaczego?

– Bo się denerwuję.

– Dlaczego?

– Ponieważ siedzę obok ciebie na huśtawce, a ty jesteś taka śliczna.

Waha się, chyba nie jest pewna, czy powinna przyjąć komplement.

– Dziękuję – mówi w końcu.

Bycie z nią wśród ludzi w niczym nie przypomina bycia z nią sam na sam. Po pierwsze, tych ludzi jest o wiele za dużo. Po drugie, jestem spięty, gotów w każdej chwili rzucić się na tych, którzy będą próbowali dopiec jej lub mnie. Po trzecie, przez to myślę o jej wadze w sposób, w jaki nigdy wcześniej nie myślałem.

Siedzimy w milczeniu, więc postanawiam opowiedzieć jej o doktor Amber Klein, o testach i o wszystkim, co dotyczy Jacka Masselina, szcztura z laboratorium. Nic nie mówi, ale widzę, że uważnie mnie słucha.

– Jak się teraz czujesz? – pyta w końcu.

– Tak samo. Może ciut gorzej. Może ciut lepiej.

– Powiesz rodzicom?

– Raczej nie. Po co? Nikt nie jest w stanie nic zrobić, nie licząc wszczepienia mi do mózgu programu do rozpoznawania twarzy. To, że im powiem, nie wyczaruje w cudowny sposób lekarstwa, a dołożyłbym im tylko zmartwień.

– Przykro mi. Chciałam, żeby jednak stwierdzili, że coś mogą zrobić. I nie dlatego, że twój mózg nie jest super, bo jest, ale dlatego, że wtedy poczułbyś się lepiej.

Teraz moja kolej na milczenie. Siedzę i patrzę na nią tak długo, aż jesteśmy tylko my, Libby i ja, i nikogo więcej w promieniu wielu kilometrów. Marzę o tym, żeby ją pocałować, i już jestem bliski tego, kiedy nagle pojawia się kelnerka z jedzeniem.

Zabieramy się do pizzy, Libby rozgląda się dookoła, w końcu spogląda i na mnie.

– Richmond, he?

Jest w jej głosie coś takiego, co każe mi odstawić szklanę.

– Pomyślałem sobie, że spodoba ci się Clara's.

– Podoba mi się. Tylko że mogliśmy zostać gdzieś w Amos – wyjaśnia i wbija wzrok w autobus.

– Słuchaj – mówię. – Może prozopagnozja jest chwilowo moim sekretem, ale to nie znaczy, że chcę wszystko, co się ze mną wiąże, utrzymywać w tajemnicy. To nie znaczy, że chcę ciebie trzymać w tajemnicy, bo w życiu nie chciałbym cię ukrywać, jeśli to właśnie przyszło ci do głowy. – Mówię to i od razu pytam samego siebie: czy to właśnie robię?

Libby mruga zawzięcie, wpatrując się w stolik, jadłospis – wszędzie, byle nie na mnie.

– Cholera jasna, to właśnie pomyślałaś! Uznałaś, że przywiozłem cię tutaj, żebyśmy nie spotkali nikogo znajomego!

– Nie.

– To dobrze, bo to byłby idiotyzm. – To dlaczego ją tu przywiozłeś, dupku?

– To znaczy tak.

– Co za bzdura. – Teraz spogląda mi wreszcie w oczy. – Rozumiem, jestem

mistrzem idiotów i ty mi ufasz, chociaż właściwie to nie. Nie znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, jak głęboko sięga mój idiotyzm.

Mówię, zadając sobie pytania: „Jak głęboko sięga twój idiotyzm? A co, jeśli jesteś większym dupkiem, niż sądziłeś?”

– Być może – odpowiada Libby, a jej ostrożny, sceptyczny ton jest jak dzielący nas mur.

– Posłuchaj, przywiozłem cię tutaj, bo zasługujesz na coś lepszego niż jakaś gówniana sieciówka w Amos. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ kiedy miałem sześć lat, spadłem z dachu naszego domu i tata przesznułował pizzę od Clara’s do szpitala. Mam bardzo mało takich wspomnień – w których mój ojciec byłby świetnym człowiekiem. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ to było pierwsze miejsce, do którego chciałem jechać po wyjściu ze szpitala, kiedy byłem w stanie usiąść. Przywiozłem cię tutaj, bo to jedno z nielicznych miejsc w promieniu stu kilometrów, jeśli nie w całej Indianie, które nie jest nudne i typowe. Bo ty nie jesteś nudna i typowa.

Uświadamiam sobie, że każde słowo, które mówię, to święta prawda.

Przebijam się przez mur i chwytam ją za rękę. Całuję kostki, jedna po drugiej. I myślę: „Jak to możliwe, że ta dziewczyna tyle dla mnie znaczy?”

– Libby Strout, zasługujesz na to, żeby wszyscy cię widzieli.

– Trudno mnie nie widzieć – mruczy do obrusa.

– Nie to miałem na myśli.

Siedzimy, huśtając się, a ja jestem zły na siebie, że ją tu zabrałem. Trzeba było jechać do Red Lobster, gdzie gapiłoby się na nas pół szkoły, w tym może także Caroline. Gdzie moi zidiociali kumple zepsuliby nam randkę swoją głupotą.

– Poczekaj chwilę – mówię, zrywam się z huśtawki i pędzę na dół, do szafy grającej, która stoi pod ścianą za autobusem. To to samo urządzenie, które uruchamiali moi rodzice, gdy przyjeżdżali tu na randki sto lat temu. Przeglądam piosenki i myślę o tym, że dla Libby Strout jestem gotów jechać prawie pięćdziesiąt kilometrów do najbliższego miejsca, które wydaje się prawie odpowiednie dla jej osoby, a potem biegać po zatłoczonej restauracji, żeby wybrać dla niej idealną piosenkę.

W końcu znajduję. Jackson 5. Wybieram utwór, którego szukałem, i kilka innych – Sly and the Family Stone, Earth, Wind & Fire – cały blok. A potem wracam do stolika w kącie na piętrze, tego, przy którym siedzi dziewczyna w fioletowej sukience.

– Nie musiałeś tego robić. Nic nie musisz robić. Zachowuję się jak kretynka.

– Nigdy nie zachowujesz się jak kretynka.

– Owszem.

Nadgryza pizzę, ja biorę kęsa swojej. Jemy w dziwnej ciszy.

Nagle rozlegają się pierwsze teksty piosenki – tej piosenki. Wycieram usta serwetką i odkładam ją na bok. Wstaję, wyciągam rękę.

– Co? – Libby patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

– Chodź.

– Dokąd?

– Po prostu chodź.

Prowadzę ją po schodach do głównej sali restauracyjnej, do jedyne otwartego

miejsca znajdującego się niedaleko wejścia. A potem chwytam ją w ramiona i zaczynamy tańczyć. Jak wolno. *I'll Be There* to zbyt oczywisty wybór, zdecydowałem się na *Ben*. Gdybym miał wskazać piosenkę napisaną specjalnie dla mnie i dla Libby, byłyby nią właśnie ten utwór. Dwoje pokancerowanych przez los, samotnych ludzi, którzy być może nie są już tak pokancerowani i samotni.

Początkowo jestem świadomy, że każda para oczu w restauracji patrzy na nas, ale potem wszystkie twarze zlewają się w jedno tło, jesteśmy tylko my, Libby i ja, moje ręce na jej talii, dziewczyna w moich ramionach. Poruszamy się w idealnej harmonii, wymyślając kroki na poczekaniu.



Czuję łyzy palące mnie gdzieś z tyłu oczu. Każdy wers tej piosenki jest o mnie. O nas też, ale głównie o Libby Strout. I trochę o Jacku. Jezu.

Mogę rozplakać się w jego ramionach na oczach tych wszystkich ludzi siedzących w restauracji albo mogę odepchnąć łyzy głęboko, żeby się nie wydostały na zewnątrz. Wybieram to drugie rozwiązanie. Nie będę płakać. W którymś momencie Jack się nade mną pochyla i bez słowa całuje moją twarz. Najpierw jeden policzek, a potem drugi. Całuje mnie tam, gdzie poleciałyby łyzy, gdybym sobie na nie pozwoliła. To chyba najcudowniejsza rzecz, jaką ktokolwiek inny niż mama mi zrobił. Nagle wypełnia mnie bezpieczne, ciepłe uczucie, którego nie doznawałam całe wieki. Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie będzie. Może już jest wszystko dobrze. Niech będzie nam razem dobrze.

Wciążam powietrze i do końca piosenki już nie oddycham. Po niej od razu zaczyna się następna, tym razem – na szczęście – szybka. Jack rusza do boju.

– Dawaj, dziewczyno, jeśli tylko potrafisz – mówi i wczuwa się w rytm.

– Jeśli potrafię? – oburzam się.

Ja też tańczę, oboje tańczymy jak szaleńcy, teraz już w ogóle nie chce mi się płakać.

– Eksplodujące włosy! – komenderuje Jack.

Potrząsa głową, najpierw na lewo, potem na prawo, na końcu centralnie. To niesprawiedliwe, ponieważ ma znacznie bujniejszą fryzurę, ale robię, co mogę, żeby go naśladować.

– A teraz uderzenie pioruna! – Skaczę i podryguję, jakbym doznała porażenia. Jack również skacze i się trzęsie, a gdy w pewnym momencie się rozglądam, widzę, że kilka osób poderwało się z miejsc i tańczy przy stolikach.

– To taneczna rewolucja! – mówi Jack.

Chwyta mnie za rękę, okręca tak długo, aż wiruję jak bączek. Śmieję się jak opętana i myślę, że świat byłby cudownym miejscem, gdybyśmy wszędzie tańczyli.

* * *

Jack odprowadza mnie pod drzwi domu, a ja czekam, aż mnie pocałuje na dobranoc. Zamiast tego mnie przytula. Tyle że to nie to samo co ściśnięcie mnie podczas rodeo, tym razem to ciepły, pozytywny uścisk. Jack pachnie mydłem i świeżym powietrzem. Chciałabym, żeby mnie tak trzymał bez końca, ale on się odsuwa i spogląda

na mnie przez na wpół przymknięte powieki.

– Dobranoc, Libby.

– Dobranoc, Jack.

Wchodzę do środka, tata na mnie czeka, więc opowiadam mu o kolacji, a potem idę do siebie. Zamykam drzwi, siadam na łóżku i myślę: „Dlaczego, do diabła, mnie nie pocałował?”.

Brzęczy moja komórka:

Najlepsza randka na świecie.

A potem:

Nie mogę się doczekać powtórki.

Oraz:

Ta Mary Katherine naprawdę przypomina Ci nas? Z tego, co widzę, to kompletna wariatka.

Odpisuję:

Owszem, ale na swój uroczy sposób. Ma wielki sekret i nikt jej nie rozumie. Nie widzisz powiązań?

Jack odpowiada:

Nie powiedziałem, że nie widzę powiązań, ale nie zaprzeczysz, że my nie jesteśmy aż takimi szaleńcami.

Ja: Uważam, że jesteśmy większymi szaleńcami.

Jack: Kupuję to.

Kilka minut później pisze ponownie:

Nie mogę przestać czytać. Być może to najlepszy prezent urodzinowy w moim życiu, zaraz po lutownicy, którą dostałem na dziewiąte urodziny.

Ja: To właśnie w Tobie lubię. Taki męski, a jednocześnie intelektualista.

Jack: To tylko dwie z wielu rzeczy, które we mnie lubisz. Ale nie każ mi wymieniać, co ja lubię w Tobie, bo nie przeczytam tej książki, a moim celem jest skończenie jej jeszcze dzisiaj.

Przez resztę nocy pisze do mnie regularnie, komentując to, co akurat czyta. W końcu opadam na poduszkę z szerokim, głupkowatym uśmiechem na twarzy. Może nie pocałował mnie na pierwszej randce, ale niemal na sto procent, niezaprzeczalnie i nieodwołalnie zrobi to już niedługo.



W poniedziałek rano do mojej szafki podchodzi wysoka dziewczyna o ciemnej skórze i namalowanym pieprzyku.

– Jack.

Caroline.

– Tak? – pytam, na wypadek gdyby się okazało, że to nie ona, ale jakaś inna wysoka dziewczyna o ciemnej skórze i namalowanym pieprzyku.

– Spędziłeś miło weekend?

– Dzięki, że pytasz. Tak.

– Wiesz, co ludzie mówią, prawda?

Zaczyna się.

– Że jestem zajebistym gościem?

– O tej dziewczynie. Tej Libby Strout. I o tobie. Mówią, że z nią chodzisz. Że to twoja nowa dziewczyna. Powiedziałam im, że to nie może być prawda, ale się upierali. Twierdzili, że zabrałeś ją na pizzę do Clara's.

– Co to za „oni”?

– Nieważne.

Słyszę urazę w jej głosie, poczucie krzywdy ukryte pod jadem. Chcę jej powiedzieć: „Być człowiekiem jest OK. Wszyscy się czegoś boimy. Wszyscy czasem cierpimy. Byłabyś znacznie sympatyczniejsza, gdybyś zachowywała się jak człowiek, a nie jak robot”.

– Caroline, przecież ty i ja nie jesteśmy już razem, więc wiesz... nie chcę być niegrzeczny... ale co cię to obchodzi?

– To naprawdę urocze, że chcesz być dla niej miły po tym, co zrobiłaś, ale martwię się o nią. Takie dziewczyny jak ona... Z nimi nie należy pogrywać, Jack. – Caroline kręci głową. – Bo skończy się tym, że złamiesz jej serce.

– To jeszcze nic zdefiniowanego, ale jeśli pytasz, czy lubię spędzać z nią czas... Absolutnie. Czy uważam, że jest fajną laską? Owszem. Czy myślę, że jest śliczna? Jak najbardziej. Nie pogrywam z nią, lubię ją. Jeszcze jakieś pytania?

Stuprocentowo opanowana, stuprocentowa Caroline.

– Uważasz, że jesteś nie wiadomo kim, udajesz, że jesteś nie wiadomo kim, ale to nieprawda.

– Wiem, że nieprawda. Tym bardziej jestem wdzięczny, że ona mnie polubiła.

* * *

Przychodzę do domu i grzebię w stercie leżących na podłodze ubrań, aż w końcu znajduję dzinsy, których szukam. Z tylnej kieszeni wyjmuję zmiętą kartkę. Dziesięć powodów, dla których warto umówić się na randkę z grubą dziewczyną.

Zmuszam się do przeczytania punktów. Zupełnie, jakbym musiał sobie udowodnić raz na zawsze, że ona jest gruba, a ja mam to w nosie.

Każde słowo wzbudza we mnie mdłości. Jak mogę czuć się inaczej niż szczęśliwy, że podobam się takiej dziewczynie?

Schodzę na dół do kuchni, podchodzę do kuchenki, uruchamiam palnik i macham kartką nad płomieniami, aż się nimi zajmie. Przytrzymuję papier wysoko i przyglądam się, jak słowa płoną. A potem wrzucam resztę do zlewu i czekam, aż zostanie tylko mała kupka popiołu. Odkręcam kran, spłukuję to wszystko, a dla pewności włączam jeszcze młynek do odpadów.

* * *

Gdy wracam do pokoju, dzwonię do Libby.

– Skończyłem tę książkę – mówię.

– I?

– Po pierwsze, przerażająca lektura. Po drugie, Mary Katherine Blackwood była kompletną wariatką. Po trzecie, rozumiem, dlaczego tak ci się podoba. Po czwarte, być może odrobinę mi nas przypomina, ale będę się upierać, że jednak my jesteśmy trochę bardziej normalni. A po piąte, uważam, że byłoby zajebiście bosko mieszkać z tobą w zamku.



Z mojego stolika nocnego, spod słuchawek, balsamu do ust i rozmaitych zakładek, wyciągam list napisany na bożonarodzeniowym papierze.

Możesz w nich tańczyć solo na scenie

albo we własnym pokoju,

gdziekolwiek, gdzie dusza zapragnie.

Możesz w nich tańczyć w marzeniach –

taniec ku przyszłości –

tańczyć w miłości, twórczości, radości.

Tańczyć, ponieważ to lubisz.

Ponieważ bez względu na wszystko

jesteś jak taniec – w środku i na zewnątrz.

Dlatego tańcz.

Zawsze tańcz.

Buty, którym towarzyszył ten list, schowałam do szafy. To prezent od mamy na ostatnie święta przed jej śmiercią. Mój ostatni prezent od niej, dlatego muszę je zachować na zawsze. Dlatego nigdy ich nie wkładałam.

Teraz jednak siadam, wyjmuję buty z pudełka i zawiązuję na stopach. To różowe baletki, pointy, najcudowniejsza rzecz, jaką posiadam. Chociaż w momencie, w którym mama je kupowała, były na mnie za duże, teraz są zbyt ciasne i ciężko mi się w nich poruszać, ale i tak podchodzę do laptopa i włączam muzykę. Staroć, Spice Girls, zespół,

który moja mama skrycie uwielbiała. Piosenka to *Who Do You Think You Are*, przypomina mi mamę, mnie, to, gdzie mogę kiedyś dojść, kim mogę być.

Casting do Damsels odbędzie się w sobotę. Znam na pamięć mój układ, mogłabym zatańczyć go we śnie. Teraz jednak wymyślam coś innego, coś, co jest mieszanką baletu, hip-hopu, electric slide, shimmy i popu. Jestem boska. Jestem najlepszą tancerką pod słońcem. Supergwiazdą. Mam magiczne baletki, magiczne stopy. Ja jestem magią.

SOBOTA



Marcus (wysoki, kudłaty, szpiczasty podbródek) stoi nad zlewem w kuchni i napycha się jedzeniem. Zaczynam nalewać sobie kawę i wtedy słyszę:

– Powiedziałam „nie”.

Do kuchni wchodzi kobieta, a za nią mężczyzna w firmowej koszuli naszego sklepu. Usta ma otwarte w połowie zdania, ale zamyka je, gdy widzi mnie i Marcusa. Drogą eliminacji uznaję, że to moi rodzice.

– Odstaw tę kawę – mówi do mnie mama, po czym zwraca się do ojca: – Porozmawiamy później.

Widać, że się kłócili. Wyjmuję największy kubek, jaki posiadamy, i nalewam sobie kawę.

Mama pyta tatę, co ma zrobić, jej głos brzmi przy tym, jakby połykała żyletki. Staram się nie podsłuchiwać, ale cały tężeję, jak zwykle, gdy rodzice się sprzeczą.

– Dzisiaj wieczorem – mówi tata.

– Dzisiaj nie.

Spoglądamy na siebie z Marcusem. Mój brat szepcze bezgłośnie: „Co teraz?”.

– To jak powolny zabieg kontra szybkie zerwanie plastra – mówi tata do mamy.

– Powiedziałam, nie dzisiaj. – Mama spogląda na mnie, widać, że nie jest szczęśliwa. – Jak skończysz, musisz odebrać Dusty’ego.

– Skąd? – pytam.

– Z domu Tams.

Odbieranie Dusty’ego, Marcusa czy kogokolwiek innego to ostatnia rzecz, na jaką zwykle się godzę. Nikogo nie poznaję, a muszę odszukać konkretną osobę. Tym razem jednak nie zamierzam kłócić się z mamą.



Nawet przy częściowo złożonych trybunach nowa sala gimnastyczna wydaje się ogromna. Z podłogi ledwo widać sufit, a światła oślepiają. Z góry wyglądałabym zapewne jak mrówka.

I tak właśnie się czuję – jak mrówka.

Dłonie mi się pocą, serce mi się kurczy, ale nie rozkurcza. Nie mogę złapać oddechu. Widzę, jak ucieka z sali, tak samo szybko, jak ja chciałabym stąd uciec.

DLACZEGO, DO CHOLERY, SIĘ DO TEGO ZGŁOSIŁAM?

Heather Alpern i jej trzy kapitanki siedzą na krzesłach. Wszystkie to dziewczyny z czwartej klasy, wyglądają identycznie w zaczesanych gładko włosach, nogi mają założone na nogi. Ta ich identyczność jest niemal tak samo przerażająca jak kocia uroda pani Alpern. A najbardziej przerażająca jest Caroline Lushamp, kapitanek kapitanek, która wbija we mnie wzrok jak kałamarnica. Na fotelach w dolnym rzędzie siedzą inne kandydatki i czekają na swoją kolej.

– Jesteś gotowa? – pyta Caroline superprzyjacielskim tonem, który brzmi wyjątkowo nienaturalnie.

Ledwo ją słyszę, bo tkwię zamknięta w moim ciele i umyśle, drżąca, przestraszona. Nagle czuję się tak, jakbym to ja cierpiała na prozopagnozję, bo nikt nie wygląda tu znajomo i sympatycznie. Obiegam wzrokiem salę, szukając ratunku, i zauważam Bailey, Jayvee oraz Iris w górnym rzędzie trybun. Łapią moje spojrzenie i kamienieją, być może orientują się, jak jestem przerażona. A to oznacza, że wszyscy inni też zapewne to widzą. Tłumaczę sobie, że muszę się ruszyć, ukryć strach, schować go gdzieś głęboko. W tej samej chwili Jayvee zaczyna machać rękami i woła:

– *Shine on, you crazy diamond*[8]!

Zgłosiłaś się do tego, ponieważ masz taniec w sobie, myślę. A potem przychodzi mi do głowy to, co moja mama zwykła była mawiać: jak przerażająca jest próba realizowania swoich marzeń i jak jeszcze bardziej przerażająca jest rezygnacja.

– Jesteś gotowa? – powtarza Caroline. Tym razem nie brzmi już tak miło.

– Tak – odpowiadam, a potem krzyczę: – Tak!

Na casting wybrałam piosenkę Flashdance... *What a Feeling* Irene Cary – na cześć mamy i na cześć siebie samej. Czekając na pierwsze takty, tłumaczę sobie: zbyt wiele osób na tym świecie uważa, że trzeba celować w małostkę. Ale nie ty, Libby Strout. Ty się

urodziłaś, żeby nie być małą! Ty nie wiesz, jak to jest być małą! Bycie małą nie leży w twojej naturze!

Piosenka się zaczyna, a razem z nią zaczynam i ja.

Shimmy, shimmy, wymach, wymach. Falowanie, podskok.

Mija około dwudziestu sekund, zanim zapominam o gapiących się widzach, o tych wszystkich gładkich fryzurach, o tym, które z czekających na trybunach dziewczyn są lepszymi tancerkami ode mnie, o tym, że jestem dwa razy większa od każdej osoby, która znajduje się na sali. A po trzydziestu sekundach zatracam się w piosence, staję się jednością z muzyką i tańcem.

Wyrzut nogi, zgięcie, obrót. Podskok, podskok. Shimmy. Falowanie, falowanie, falowanie. Skok. Wyrzut, wyrzut, wymach, obrót. Zgięcie, podskok, shimmy. Falowanie, wyrzut, podskok, podskok.

Niosą mnie dźwięki, niosą mnie przez salę, wysoko ku belkom sufitowym, przez drzwi i całą szkołę, łącznie z gabinetem pani dyrektor – aż wydostaję się na zewnątrz, ku niebu, ku słońcu.

Wirowanie, wirowanie, wirowanie...

Znajduję się na niebie, teraz to ja jestem niebem! Szybuję ponad Amos, ponad autostradą, nad Ohio, a stamtąd do Nowego Jorku, przez Atlantyk do Anglii, Francji... Jestem wszędzie, jestem światowa. Jestem światem.

* * *

Kiedy kończę, zdyszana i bez tchu, znów znajduję się w sali gimnastycznej. Dziewczyny wstały z miejsc, gwizdzą, klaszczą i tupią, najgłośniej moje przyjaciółki. Przy wyjściu na boisko dostrzegam Jacka Masselina, jest poplamiony farbą i cały promienieje. Powoli bije brawo, a potem salutuje i znika. Wraz z resztą ukaranych maluje dzisiaj trybuny.

– Libby, to było wspaniałe – mówi Heather Alpern. Po raz pierwszy spoglądam prosto na nią.

– Ile masz wzrostu? – pyta Caroline.

Coś w jej głośnym, bezbarwnym tonie sprawia, że powietrze ucieka ze mnie jak z przekłutego balonika. Dziewczyny na trybunach cichną i siadają z powrotem na swoich miejscach.

– Metr sześćdziesiąt osiem.

– Ile ważysz?

– Pięćdziesiąt pięć kilo.

Wszyscy się teraz gapią.

– O, przepraszam, miałaś na myśli wagę fizyczną czy duchową?

Dziewczyny na trybunach chichoczą. Pot się ze mnie leje, ale tylko delikatnie ocieram górną wargę i kark, powściągliwie, jak królowa Elżbieta.

– Wagę, która określi rozmiar potrzebnego kostiumu.

– Czy istnieje jakiś limit wagowy, żeby się dostać do zespołu? – pytam.

Caroline otwiera usta, ale przerywa jej Heather Alpern:

– Teoretycznie nie. Nie dyskryminujemy nikogo ze względu na rozmiary – mówi.

A jednak to robią. Słyszę to po tym, jak starannie dobiera słowa. Widzę to w napiętym uśmiechu na jej twarzy.

– Dlaczego więc interesuje was moja waga?

Caroline wzdycha. Głośno. Jakbym była kompletną idiotką.

– Żeby wiedzieć, jaki rozmiar kostiumu będzie potrzebny – oświadcza i uśmiecha się przebiegle. – Czy gdybyś została zaakceptowana, byłabyś gotowa schudnąć? – pyta głośno. – No wiesz, gdybyś została przyjęta do zespołu.

– Caroline. – Pani Alpern patrzy na nią wymownie.

– O ilu kilogramach mówimy? – Spoglądam na nią.

– Pięćdziesięciu, może osiemdziesięciu.

To idiotyczne, wtedy ważyłabym tyle samo co Mango, pies cioci Tillie.

I znów znalazłam się na lekcji baletu, a Caroline jest tamtą nauczycielką. Krzywi się tak samo, w sposób, który mówi mi, że to nie moje miejsce, chociaż prawdopodobnie to bardziej moje miejsce niż ich, ponieważ mam w sobie taniec, a poza tym jest mnie więcej, co oznacza, że mieści się we mnie więcej tańca.

– To jak?

– Caroline, wystarczy.

– Chcesz wiedzieć, czy byłabym gotowa schudnąć pięćdziesiąt kilo, żebym mogła zatańczyć w układzie i nieść z tobą flagi? – Aż kipię ze złości, przez co jestem jeszcze bardziej spocona, ale pilnuję, by mój głos brzmiał spokojnie, beznamiętnie.

– Tak.

Wbijam wzrok w panią Alpern, ponieważ ona powinna tu rządzić.

– Za żadne skarby.

* * *

Muszę iść malować trybuny w ramach odbywanej kary i wypełniania prac społecznych, ale nie jestem w stanie. Dzwonię do Rachel i pytam, czy mogłaby po mnie przyjechać.

8 Łśnij, szalony diamencie! – tytuł piosenki Pink Floyd.



Kiedy kończymy malować szatnie, dochodzi siedemnasta. Niebo jest zasnutę szarymi chmurami, powietrze wydaje się ciężkie – jak zawsze przed deszczem.

* * *

Przez okno w domu Tams widzę grupkę dzieciaków. Super, myślę. Dlatego właśnie nie garnę się do odbierania Dusty’ego. To scena rodem z koszmarów. Nie znajdę go w tłumie, moi rodzice uważają, że mój brat jest za mały na komórkę, więc nie mogę do niego napisać, że czekam na zewnątrz. Te parę razy, kiedy musiałem po niego pojechać, siedziałem w samochodzie i trąbiłem klaksonem.

Tym razem jednak to nie jest spotkanie dwójki przyjaciół, ale wariant festiwalu Woodstock dla dziesięciolatków. Deszcz zacina o przednią szybę jak kule z automatu. Dzieciaki ani drgną, więc znów trąbię.

Czekam jeszcze parę minut, a potem wyłączam silnik i przekręcam lusterko, żeby na siebie spojrzeć. Gość, który na mnie patrzy, nie wygląda zbyt dobrze. Ma rozciętą wargę i podbite oko, nabierające odcieni niebieskiego i fioleto, a to dzięki akcji obronnej Jonny’ego Rumsforda. Bosko.

Szukam czegoś, co mógłbym wykorzystać – dla ukrycia twarzy i schowania się przed ulewą. Na podłodze z tyłu leży zwinięta stara kurtka, pewnie Marcusa. Biorę ją i wyskakuję na deszcz. Biegnę do drzwi, zakrywając się kurtką. Gdy przyciskam dzwonek, słyszę szaloną paplaninę tysięcy wysokich, dziecięcych głosów. Drzwi się otwierają, wita mnie blondynka o krótko obciętych włosach. To chyba mama Tamary. Zaprasza mnie do środka, mówię, zasłaniając się kurtką:

– Nie, dziękuję, leje się ze mnie, nie będę wpuszczał tej wody do środka. Mogłaby go pani przysłać?

– Wchodź, Jack. – Otwiera szeroko drzwi, wiatr smaga w nią deszczem i kapie na podłogę. Nie mam wyjścia, wchodzę.

– Straszna pogoda – zagajam.

– Nic mi nie mów. Mieli się bawić na dworze przez cały dzień. – Śmieje się, ale słyszę w jej głosie jakąś histeryczną nutę. Widzę, że jest wykończona.

Mam nadzieję, że Dusty powie „cześć” albo jakoś inaczej się pokaże, ale wszystkie dzieciaki patrzą tylko na mnie, a jedno z nich mówi:

– Jakby Pan Bóg siusiał.

To musi być jakiś niewymownie śmieszny żart w świecie dziesięciolatków, zrozumiały wyłącznie dla osób w tym wieku, bo wszyscy zaczynają się śmiać, tak że się mało nie przewracają.

– Zabierz mnie ze sobą, proszę – mówi kobieta.

Śmieję się, udaję, że jestem spokojny, swobodny i w ogóle. Tymczasem próbuję rozpoznać Dusty'ego w grupie dzieci, ale one wszystkie wyglądają tak samo. Chude, niskie, odstające uszy. Wszystkie mają czapeczki urodzinowe na głowach i tylko nieliczne są typowo białe. Czuję wzbierającą panikę.

– Chcesz zostać na chwilę? – pyta kobieta.

– Dziękujemy, ale trochę się spieszymy. – Dla potwierdzenia kładę rękę na klamce.

– Osoba o imieniu Dusty proszona jest o podejście – rzucam w przestrzeń.

Dzieciaki patrzą na mnie, a iskra paniki przeradza się momentalnie w pożogę. Jeśli mój brat należy do grupki tych gapiących się w milczeniu dzieciaków, nie daje tego po sobie poznać.

– No chodź – mówię ogólnie w ich kierunku. – Chyba nie chcesz się spóźnić?

Ponieważ się nie ruszają, wyhaczam jednego, który najbardziej odpowiada wizerunkowi mojego brata (odstające uszy, wystające jabłko Adama, miedzianobrazowe włosy).

– Jeśli się boisz, że zmokniesz, mam dla ciebie kurtkę – mówię.

A potem, ponieważ to był długi dzień, a ja mam dosyć tego, że wszyscy się na mnie gapią, i ponieważ mówię sobie: „Co za gówno. Jak to możliwe, że nie jesteś w stanie rozpoznać własnego brata?”, robię coś, na co zwykle sobie nie pozwalałam – podchodzę, zostawiając paskudne brudne ślady na wykładzinie i chwytam dzieciaka za rękę. Ciągnę go w stronę drzwi.

Chłopak się opiera, a wtedy podnoszę wzrok i widzę, że do pokoju wchodzi inny dzieciak. Ma odstające uszy, wystające jabłko Adama i miedzianobrazowe włosy.

– Jack? – pyta i wybucha płaczem.

– Puszczaj mnie! – krzyczy chłopiec, którego próbowałem odciągnąć. W pokoju aż huczy od szeptów, jakaś dziewczynka zaczyna płakać. Puszczam dzieciaka, a on prawie mi pluje w twarz.

– Dupek – mówi i cały się trzęsie.

Kobieta kuca przy nim i mówi kojąco:

– Już dobrze, Jeremy. On tylko sobie żartował, ale chyba zrozumiał, że to wcale nie było śmieszne – wyjaśnia i rzuca mi spojrzenie, które mogłoby zabić.

– Naprawdę uważasz, że to śmieszne, kiedy wchodzisz i straszysz ludzi? – pyta mnie mała rudowłosa dziewczynka, która być może jest, a być może nie jest Tams.

– Nie, nie uważam.

Jestem ciekaw, ilu z nich mnie zna i ilu rodziców pozna dzisiaj tę historię. Robi mi się niedobrze i prawie uciekam. Niech Dusty sam trafi do domu. Niech mama po niego przyjedzie. Mam jednak wrażenie, że podłoga nie pozwala mi się ruszyć. Moje stopy są jak zarzucone kotwice, ani drgną. Stoję tylko, patrzę na dzieciaki, które na mnie patrzą, na chłopca, który właśnie wszedł i nadal płacze.

– Przepraszam – mówię kilkakrotnie, ale i tak nikt mnie nie słucha. Te dzieciaki mogłyby mnie zabić, gdyby tego zapragnęły. Jest ich tyle, i chociaż są małe, powoduje nimi furia.

Całą wieczność później kobieta się podnosi i mówi zimnym, lodowatym tonem:

– To jest twój brat. – Jakbym był największym drapieżnikiem czyhającym na małe dzieci. Popycha Dusty’ego w moją stronę, chyba chce, żebyśmy obaj już sobie poszli. Traktuje mojego brata jak równie winnego całego tego zamieszania.

– Tak szybko rosną, że ciężko za nimi nadążyć – rzucam.

A potem ciągnę prawdziwego i jedyne Dusty’ego na dwór. Rzucam mu kurtkę, którą owija sobie głowę, ale widzę, że nie chce iść obok mnie, więc się nie spieszy. Jestem przemoknięty do kości, jednak otwieram mu drzwi, żeby wsiadł, a on spogląda na mnie zapłakaną buzią.

– Dlaczego chciałeś porwać Jeremy’ego Mervisa?

– Tylko się wygłupiałem.

Przygląda mi się tak samo jak ostatnio rodzice, jakby nie był pewien, czy może mi zaufać.

– Czwarta klasa jest wystarczająco trudna, żeby mnie jeszcze nazywali bratem porywacza dzieci.

* * *

Ręce mi się trzęsą, ale nie chcę, żeby to zobaczył, więc zaciskam je na kierownicy tak mocno, że aż mi kostki bieleją. A potem wypytuję go o imprezę urodzinową. Ledwo go słyszę, bo serce mi głośno dudni, objijając się o ściany mojej klatki piersiowej.



Rachel pyta, co się stało.

To osoba, która widziała cię w najgorszym momencie twojego życia. Kiedy ją poznałaś, zajmowałaś dwa szpitalne łóżka, po tym jak cię uratowali z własnego domu. Wspierała cię i kochała w tych trudnych chwilach. Zupełnie jak mama, tylko że nie jest twoją mamą.

Mówię jej, że nie chcę o tym rozmawiać, nie teraz. Drogę do domu pokonujemy w milczeniu.

* * *

Idę do mojego pokoju i otwieram *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*. Mary Katherine, chociaż zrobiła coś naprawdę strasznego, niczego nie czuła – ani bólu, ani wyrzutów sumienia, żadnych emocji. Nawet wtedy, gdy okoliczni mieszkańcy weszli na jej posiadłość i intonowali piosenki.

Merricat, rzecze Connie, chcesz herbaty kroplę, dwie?

O nie, rzecze Merricat, ty otrujesz mnie.

Merricat, rzecze Connie, chcesz pogrążyć się we śnie?

Tam na cmentarzu, na grobu dnia![9]

Merricat była szczęśliwa, mieszkając w domu z siostrą, ale i tak rozmyślała o mieszkańcach miasteczka i marzyła, żeby języki im spłonęły.

Pamiętam, że byłam tak pochłonięta bólem i złością, że też życzyłam wszystkim tym, którzy mnie krzywdzili, żeby im spłonęły języki. A zwłaszcza Mosesowi Huntowi. Tylko że Merricat wytruła całą swoją rodzinę, a moją jedyną zbrodnią była tusza.

9 Shirley Jackson, *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*, przeł. Ewa Horodyska, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1998.



- Dlaczego nie byłeś w pokoju z innymi dziećmi?
- Nie miałem ochoty bawić się w to, co oni. Poszedłem na werandę poćwiczyć moją rolę. – Płacz ustał, ale Dusty nadal na mnie nie patrzy.
- A Tams i inni nie chcieli, żebyś się z nimi bawił?
- Wzrusza ramionami.
- Chyba za mną nie tęsknili.
- Ale wszystko w porządku między tobą i Tams, tak?
- Przed każdą odpowiedzią milczy przez kilka sekund, a później słyszę w jego głosie poczucie krzywdy. Krzywdy, którą ja wyrządziłem.
- Chyba tak.
- Daję mu spokój, w głowie mi się kotłuje, a moje serce nadal wali jak oszalałe.
- Jack? – odzywa się Dusty, gdy podjeżdżamy pod dom.
- Tak. – Chciałbym, żeby powiedział, że mi wybaczają, że i tak mnie kocha.
- Szkoda, że próbowałeś porwać Jeremy’ego.
- Ja też żałuję.
- A co, jeśli mama Tams zadzwoniła na policję? I teraz wsadzą cię do więzienia?
- Głos mu się trzęsie, Dusty wygląda, jakby znów miał się rozpłakać.
- Nie wsadzą mnie do więzienia. Nie pozwoliłbym na to. To było tylko nieporozumienie i tyle. Pomyliłem się.
- Wysiada bez słowa. Idę za nim i mówię:
- Słuchaj, młody, mógłbyś nie wspominać rodzicom o tym, co się stało? – Deszcz przestał padać, ale ciągle czuć go w powietrzu.
- Waha się, widzę, że nie chce mi niczego obiecywać. Już nigdy. Odchyła twarz do góry i patrzy mi w oczy. To oczy, które nie chcą na mnie patrzeć, które patrzą, ale z bardzo daleka.
- Okej – mówi w końcu.
- Wchodzi do środka, a ja siadam na stopniu, chociaż jest mokry. Nie jestem gotowy wejść do domu. To był długi dzień, wieczór jest cichy i chłodny, jak czyjaś dłoń na twoim czole, gdy masz gorączkę. Wpatruję się w ulicę, a później w niebo. Ręce nadal mi się trzęsą. Serce mi w dalszym ciągu łomocze.
- Dzisiaj było naprawdę bardzo źle. Masz niesprawny umysł. Nigdy ci się nie

polepszy.

Nie wiem, jak wygląda Jeremy Mervis. Gdyby w tej chwili przeszedł ulicą, na pewno bym go nie poznał. Ale nigdy nie zapomnę tego przerażenia w jego wzroku, gdy próbowałem go wyciągnąć. I nigdy nie zapomnę miny mojego brata, gdy na to patrzył.

Przecież mogłoby być znacznie gorzej.

Powtarzam to sobie nieustannie, zastanawiając się, jak mogła się rozwinąć ta sytuacja, żeby było jeszcze gorzej. Niestety nie jestem w stanie wymyślić niczego gorszego od przypadkowej próby porwania nieznanego dzieciaka.

Wracam myślami do Dusty'ego. Ma tajemnice, których nigdy nie poznam, tak jak ja, jak my wszyscy. Nie jestem pewien, na czym polegają, chociaż się domyślam. To wrażliwe, szczere dziecko. Nieco ekscentryczne. Jestem niemal pewien, że jest gejem, chociaż wątpię, żeby zdawał sobie z tego sprawę. Tak samo jak Libby nie będzie udawał, że jest kimś, kim nie jest. Nie boi się być inny. Tylko że innym dzieciakom nie zawsze to się podoba.

Przestałem wierzyć w Boga – o ile w ogóle kiedykolwiek wierzyłem – ale i tak odmawiam na głos coś w rodzaju modlitwy. Zapewnij mu bezpieczeństwo. Nie pozwól, żeby ktokolwiek go skrzywdził. A skoro już o tym mowa, zaopiekuj się także Libby i Jonnym Rumsfordem. Oraz mamą. Marcusem. Nawet tatą.

Nie dodaję siebie do tej listy, bo to byłoby egoistyczne. Ale przechodzi mi to przez myśl. I mnie, nawet jeśli na to nie zasługuję. Może o mnie też mógłbyś się zatroszczyć.

* * *

Gdy wchodzę do domu, mama wisi na telefonie i rozmawia z mamą Tams, a tata gada z rodzicami Jeremy'ego Mervisa. To by było na tyle, jeśli chodzi o tajemnice. Wszyscy są ewidentnie bardzo wkurzeni.

– Jack Henry. – Mama podnosi palec. – Zostań. – Pokazuje na salon.

* * *

Dziesięć minut później.

Mama: O co chodzi?

Ja: Może potrzebne mi są okulary.

Mama: Nie mówię o tej sytuacji z Jeremym Mervisem, ale o wszystkim, Jack. O pakowaniu się w kłopoty w szkole. O bójkach. To do ciebie niepodobne.

Ja: Miałem po prostu zły okres, mamó. Nadal jestem tym cudownym chłopakiem, którego wychowałaś. Nadal jestem twoim ukochanym dzieckiem.

Mama: Nie wiem, co się dzieje w tej rodzinie, ale to zachowanie musi się skończyć. Jeśli coś jest nie tak, musisz z nami porozmawiać.

To moja szansa na to, żeby wszystko wyśpiewać, wyrzucić to z siebie, żeby wylądowało obok zagubionego ziarenka popcornu wystającego spod sofy i pilota od konsoli leżącego na dywaniku.

Mama: Jack? Powiedz nam, co się dzieje.

Ale ja nie wiem, co powiedzieć. Wszystko, co jest nie tak, wydaje się wymyślone, bo nic z tego nie mogę im zademonstrować, udowodnić – ani sekretnego romansu taty,

ani mojego ukrywanego zaburzenia.

Ja: Przepraszam. Poprawię się. Tyle mogę obiecać. – Spoglądam na tatę. – Tyle możemy wszyscy obiecać.

I może tata zdaje sobie sprawę, że to po części jego wina, bo mówi:

– Wierzę ci, Jack. Ale to paskudna sytuacja, musisz to naprawić, porozmawiać z rodzicami tych dzieci.

Mama: I chcemy, żebyś się spotkał z psychologiem. To może być pan Levine albo ktoś inny. I masz szlaban na wszelkie wyjścia na dwa tygodnie. Szkoła, praca, dom, nic więcej.

Mam ochotę powiedzieć: „Dwa tygodnie? Dajcie mi szlaban do końca roku. Zabrońcie mi chodzić do szkoły, skoro już tak dobrze wam idzie. Zostanę w domu jak Mary Katherine Blackwood, jak Libby. To znacznie wszystko uprości”.

* * *

Czuję się tak, jakbym był związany. Ręce, nogi, stopy. Każda część mnie. Równie dobrze można by mnie upchnąć w kartonie i tak zostawić.

Najpierw dzwonię do Mervisów. Potem do mamy Tams. Pustym głosem przepraszam. Tłumaczę, że nadal nie doszedłem do siebie po nowotworze taty i wydarzeniach w szkole. Mówię:

– Proszę nie karać Dusty’ego za moje głupie zachowanie. To najlepszy człowiek, jakiego znam.

A gdy się rozłączam, dodaję jeszcze PS do mojej modlitwy: „Nie pozwól, żeby ktokolwiek go skrzywdził. Łącznie ze mną”.



Nie mam ochoty tańczyć, ale wyjmuję różowe baletki i je wkładam. Opadam na łóżko, opieram się o poduszki, kładę sobie George'a na brzuchu i wdycham zapach jego sierści. Zaczyna się wrywać, więc go puszczam, a on robi coś, czego nie robił nigdy wcześniej – siada obok i gładzi mnie swoimi ostrymi, brudnymi pazurkami.

Krzyżuję nogi w kostkach, żeby widzieć baletki. Wpatruję się w ścianę. Przez chwilę jest tak jak kiedyś – ja w łóżku, odcięta od świata. Udaję, że jestem w moim starym domu, naprzeciwko Deana, Sama i Castiela, moich wyimaginowanych przyjaciół, których tak naprawdę nawet nie znałam.

Jestem Libby Strout, najgrubsza nastolatka w Stanach Zjednoczonych, może także najsmutniejsza nastolatka na świecie. Zamknięta w swoim pokoju z kotem, podczas gdy na zewnątrz świat toczy się dalej.



Po deszczu noc jest chłodna i pogodna. Przesuwam się ku krawędzi dachu, aż staję w miejscu, w którym stałem dwanaście lat temu. Patrzę na dzielnicę i na dom, który niegdyś należał do Libby Strout.

Może gdybym spadł jeszcze raz, mój mózg przestawiłby się na właściwe tory. Może widziałbym świat i ludzi w sposób, który teraz nie jest mi dany. Może byłbym w stanie wyczarować czyjąś twarz z pamięci albo pomyśleć o mamie i natychmiast ujrzeć przed oczami rysy jej twarzy, jak wszyscy inni.

Stoję dość długo, próbuję oszacować, jak powinienem skoczyć, żeby uderzyć się w głowę dokładnie o to samo miejsce, co wtedy. Może lepiej byłoby walnąć się kamieniem? Ale co, jeśli to tylko bardziej mi zaszkodzi? Jeśli doznam całkowitej amnezji?

Siadam, a potem się kładę, chociaż dach jest mokry od deszczu. Pozwalam, żeby woda przesiąkła mi przez koszulkę, wpatruję się w niebo i w gwiazdy. Wszystkie wyglądają identycznie, równie dobrze mogłoby to być niebo pełne twarzy. Tłumaczę sobie, że Libby jest taką gwiazdą. Wybieram jedną z nich, nadaję jej imię Libby i staram się patrzeć na nią tak długo, jak to możliwe.

A potem mrugam.

Zostań. Zostań.

Nie odchodź.

Ale ona znika.



Dzwoni telefon. To Jack, jedyna osoba, z którą mam ochotę rozmawiać. Coś jest jednak nie tak, słyszę to po jego głosie.

Początkowo nie rozumiem, co on mówi.

– Przepraszam – powtarza tak długo, aż każę mu przestać.

– Za co przepraszasz? Co się dzieje?

– Nie mogę. Sądziłem, że mogę. Chciałem. Ale nie. To nie fair wobec ciebie.

– Co jest nie...

– Zaslugujesz na to, żeby cię wszyscy widzieli, a ja nigdy cię nie zobaczę tak naprawdę. Co się stanie, jeśli schudniesz? Musiałabyś zostać duża już na zawsze, bo to twój znak szczególny, a przecież jesteś kimś więcej niż tylko wagą.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć?

Ale ja już wiem, i mój żołądek wie, wiedzą kości, a przede wszystkim wie serce. Zapadam się w sobie, jakby przyciskał mnie ciężki kamień.

– Nie mogę być z tobą, Libby. Nie możemy być razem. Przepraszam.

Rozłącza się.

Tak po prostu.

Osuwam się przez podłogę do ogrodu, a stamtąd w ciemną, mroczną głąb ziemi.

* * *

Myślę o Beatrice w swoim ogrodzie i o tym, jak umarła w imię miłości. A potem nie wiedzieć czemu przychodzi mi do głowy inna baśń, którą czytała mi mama, *Stańcowane pantofelki*. Podchodzę do regału i szukam, aż w końcu ją znajduję. Przekartkowuję książkę i otwieram ją na moim imieniu zapisanym fioletową kredką. Podpisałam nim spódniczkę najmłodszej z dwunastu księżniczek, Elise. Najbardziej ją lubiłam, nie tylko dlatego, że zdobyła księcia, ale także ponieważ miała cudowne serce. Chciałam być taka jak ona.

Przypatruję się jej idealnym włosom i pięknej figurze. Oczywiście, że ludzie uwielbiali patrzeć, jak tańczy. Oczywiście, że wyszła za mąż za księcia. Ciekawe, co by się stało, gdyby Elise wyglądała tak jak ja.



Zanim pójde spać, piszę długi list z przeprosinami do Libby, ale ostatecznie go wykasowuję, bo jaki to ma sens? Nic nie zmieni faktu, że zawsze pozostanie jakaś część mnie, która będzie jej szukała, nawet wtedy, gdy ona będzie tuż obok.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ



Chociaż nie spodziewam się, że zostanę wybrana, i tak podchodzę pod gabinet Heather Alpern, żeby sprawdzić, czy wisi tam nazwisko nowej członkini drużyny Damsels.

Rzeczywiście, na drzwiach dostrzegam kartkę, a na niej jedno nazwisko: Jesselle Villegas. Tłumaczę sobie: „Nie powinnaś być zaskoczona. Ani rozczarowana. Czego się spodziewałaś po tym, jak odpyskowałaś Caroline?”. A jednak czuję i zaskoczenie, i rozczarowanie.

Mówię sobie: „Tak naprawdę wcale nie chciałaś dostać się do Damsels. Nie w ten sposób. Nie po to, żeby tańczyć w formacji, nieść flagi i wykonywać polecenia Caroline Lushamp”. Co z tego, skoro moje serce jest jak przekłuty balon.

* * *

Czekam z Bailey i Travisem na zewnątrz, aż pan Dominguez podstawia samochód. Travis ma zamknięte oczy i wygląda, jakby spał na stojąco.

– Słyszałam o Jesselle – mówi Bailey.

– Jest okej. Nic mi nie jest. – I żeby udowodnić, jak bardzo nic mi nie jest, macham ręką w powietrzu, tak beztrzesko, jakbym odganiała komara.

– To ta okropna Caroline – wzdycha Bailey.

– Dzięki temu będę wolna, żeby zajmować się innymi rzeczami. – Jak na przykład samotnym tańcem w moim pokoju i tworzeniem laleczek voodoo z twarzą Caroline Lushamp.

Grzebię w plecaku w poszukiwaniu balsamu do ust, a tymczasem Bailey wymienia wszystkie możliwe zajęcia inne niż taniec i tworzenie laleczek voodoo, którymi mogłabym się zainteresować. Moje palce zaciskają się na jakimś przedmiocie. To koperta. Wyciągam ją i odwracam, żeby przeczytać, chociaż domyślam się, co to będzie.

Jesteś niechciana (a nie mówiliśmy?).

Podnoszę głowę, spodziewam się, że Caroline mnie obserwuje. Bailey czyta mi przez ramię.

– Od kogo to?

– Od nikogo.

Wpycham list z powrotem do plecaka.

A nie mówiliśmy?

Czy to oznacza: „A widzisz? Jack cię nie kocha”. Czy może: „Skąd ci przyszło do głowy, że TY mogłabyś kandydować do Damsels?”.

– Libby, kto to napisał?

– Nie zaprzataj sobie tym głowy.

– Ale...

– Proszę, Bailey. Jest okej.

– Rozumiem, że jest też okej w sprawie Jacka.

– Nie chcę rozmawiać o Jacku.

Zamyka usta. A potem je znów otwiera.

– Nie zawsze wszystko może być okej. To niemożliwe. Wiem, że jesteś przyzwyczajona do samotności, i wiem, że powinnam być lepszą koleżanką, żebyś nie musiała żyć w samotności, ale teraz tu jestem i chciałabym, żebyś ze mną porozmawiała.

* * *

W samochodzie proszę pana Domingueza, żeby, na litość boską, puścił jakąś muzykę, tyle że tak naprawdę nie wymieniam imienia Pana Boga, bo to by zdenerwowało Bailey, a ja już i tak mam wyrzuty sumienia, że na nią wsiadłam. Oczywiście pierwszy utwór, jaki pan Dominguez wybiera, to stary kawałek z lat siedemdziesiątych, Love Hurts. Jeśli jeszcze tego nie wiecie, NIGDY W ŻYCIU NIE SŁUCHAJCIE TEGO KAWAŁKA, ZWŁASZCZA JEŚLI MACIE ZŁAMANE SERCE. Natychmiast ściska mnie w gardle, z trudem przełykam ślinę, a nawet oddycham.

Chwilę później łzy płyną mi po twarzy, ale instruktor nawet nie mrugnie okiem.

* * *

Na korytarzu szkolnym widzę Jacka w otoczeniu Seta Powella i Dave'a Kaminskiego. Obaj patrzą prosto na mnie, niemal przeszywają mnie spojrzeniem na wylot, ale Jack mija mnie, jakbym była niewidzialna.

Może jestem.

Jak wszyscy inni w jego życiu.

Jeszcze jedna osoba, której nie widzi.



Kółko konwersacyjne zostało dzisiaj odwołane, ponieważ pan Levine ma jakieś zebranie. Szczerze mówiąc, bardzo mnie to cieszy – nie chcę spotkać się z Libby, ponieważ jestem żalonym tchórzem, a to właśnie robią żalśni tchórze: unikają ważnych rzeczy. Wychodzę ze szkoły z Kamem, który pyta:

– Co robisz wieczorem? Słyszałem, że Kendra coś organizuje.

Wyobrażam sobie tę imprezę, jakby już się odbyła. Wielki dom Kendry wypełniony ujadającymi psiakami sięgającymi do kostek. Caroline i cała reszta marudząca na to czy tamto, i wszyscy pijący tak długo, aż ogłupieją (jeszcze bardziej).

– Człowieku, mam szlaban. – Ale gdybym nie miał, też bym nie poszedł.

Zaczyna mi opowiadać jakąś historię z Sethem w roli głównej, ale słucham go tylko jednym uchem, bo właśnie podjeżdża samochód i wsiada do niego dziewczyna, która może być tylko Libby. Auto jedzie dalej, a ja myślę: „Podnieś wzrok. Podnieś wzrok”. Ale ona nie patrzy w moją stronę.

* * *

Mama w wersji z rozpuszczonymi włosami stoi przy oknie w kuchni i pije jeden z soczków Dusty’ego. Wydaje się rozkojarzona, daleka myślami. Wchodzę, kaszląc, żeby jej nie zaskoczyć.

Obdarza mnie uśmiechem, który ląduje gdzieś za moim lewym ramieniem.

– Co jest?

– Pić mi się zachciało. – Biorę sok i opieram się o blat. – Pamiętasz, jak grałem w małej lidze?

– Pewnie.

– Zawsze mi mówiłaś przed treningiem kto jest kim, bo nigdy nie wiedziałem.

– Ciągle wszystkich myliłaś.

– Fajnie, że to robiłaś.

– Na tym właśnie polega nasza rola. – Mówi to takim rzeczowym tonem, że jeszcze bardziej ją za to kocham. Uśmiecha się do jakiegoś punktu, do przeszłości, a potem zaczyna się śmiać. – Byłeś wtedy taki butny, nie wiem, skąd ci się to wzięło. Na pewno nie od nas.

– Od ciebie, bez dwóch zdań.

Uśmiecha się. Wzdycha.

– To co jest, tak naprawdę?

– Rozwodzić się z tatą?

– Co? Skąd ci to przyszło do głowy?

To moja silna, konkretna mama, ale w jej głosie czai się jakiś głęboko ukryty strach, jakbym wiedział coś, o czym ona nie wie. To jak cios prosto w splot słoneczny, żałuję, że to usłyszałem, bo do końca życia nie zapomnę tego brzmienia.

– Po prostu ostatnio nie jesteście sobą.

– Są różne napięcia – mówi. Jest ostrożna, w głosie i w minie. W sposobie, w jaki krzyżuje ręce na piersi. – Ale jestem rodzicem, a ty moim dzieckiem, bez względu na to, jaki wysoki urośniesz albo jak wielkie afro wyhodujesz na głowie. A to oznacza, że masz się nie zamartwiać.

Jej uśmiech jest jak kropka, mówiąca mi, że to koniec rozmowy na ten temat. W jej chęci chronienia mnie jest coś, jakieś *déjà vu*, nagle znowu mam sześć lat i leżę w szpitalu. Mama trzyma mnie za rękę. Rozmawia z tatą, są szczęśliwi, czują ulgę, ponieważ nic mi nie będzie. Tata nie ma jeszcze nowotworu, nie poznał też Moniki Chapman. Mama zerka na mnie, a potem na tatę i jej twarz się zmienia. Czy to się wtedy zaczęło?... Ale jej uśmiech pozostaje taki sam.

A teraz, gdy tak stoję w kuchni, przychodzi mi do głowy doktor Oliver Sacks, który wierzył, że rozpoznawanie twarzy nie zależy wyłącznie od zakrętu wrzecionowatego, ale od zdolności do przywoływania wspomnień, doświadczeń i towarzyszących im uczuć. Generalnie rzecz biorąc, chodziło mu o to, że zdolność do rozpoznawania twarzy znanych nam osób wiąże się z mnóstwem znaczeń. I nadaje znaczenie ludziom, których znamy i kochamy.

Moja mama wiele dla mnie znaczy – w końcu jest moją mamą – ale czy znacząłaby więcej, gdybym potrafił rozpoznać jej twarz?

– Obiecuj mi tylko, że nie będziecie jedną z tych par, które trzymają się razem ze względu na dzieci. To wszystko niszczy, łącznie z dziećmi – dodaje. Wyrzucam kartonik po soku. Biorę głęboki wdech. Mówię to, czego pewnie nie powinienem mówić: – Zaslługujesz na coś lepszego.

* * *

Pierwsze próby stworzenia technologii rozpoznawania twarzy pojawiły się w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Każda twarz ma charakterystyczne punkty – łącznie około osiemdziesięciu – a sposób polega na zmierzeniu ich wszystkich. Szerokość nosa, rozstaw oczu, długość szczęki. Wszystkie te cechy dodane do siebie tworzą coś w rodzaju linii papilarnych twarzy.

Okej, ta technologia pozostaje poza moim zasięgiem, ale jestem w stanie zrobić coś innego. Siedzę przez długie godziny i łączę kable, które stworzą mózg robota. To delikatna praca, jak operacja chirurgiczna. Możesz mieć najlepszy projekt na świecie, ale i tak każdy poradnik, tutorial, każda strona internetowa powie ci jedno: potrzebny ci obwód zamknięty, idealnie podłączony, żeby wszystko zadziało. Wystarczy, żeby jeden kabelek był luźny, a silniczki nie zaczną pracować, robot nie będzie funkcjonował.

Nic nie zdziałam w kwestii mojego własnego mózgu, ale mogę zrobić wszystko, żeby czerwony kabelek podłączyć tutaj, czarny tam, żeby wszystkie przewody znalazły się na właściwych miejscach, żeby silnik zaskoczył. Wyposażę tego robota w idealnie funkcjonujący zakręt wrzecionowaty, i to nie jeden, ale co najmniej sto.



Przed kolacją mówię tacie, że idę do Walgreens w naszej dzielnicy na „babskie zakupy”. Dziesięć minut później chodzę po sklepowych alejkach, oślepiona światłem jarzeniówek, i napełniam koszyk śmieciowym jedzeniem. Wszystkim tym, czym się kiedyś zapychałam – ciastkami, chipsami, napojami gazowanymi. Ludzie się gapią, domyślam się, jak to musi wyglądać: gruba dziewczyna przygotowuje się do wyzerki. Mam to w nosie. Nagle ogarnia mnie pragnienie, by zjeść dosłownie wszystko, i mam wrażenie, że na półkach jest za mało jedzenia, mimo że Halloween zbliża się wielkimi krokami. Biorę paczki z cukierkami, wkrótce koszyk jest pełen, więc idę na przód sklepu, znajduję wózek, wrzucam do niego moje zakupy i wracam po więcej.

Stoję przy dziale z płatkami śniadaniowymi i sięgam po kartonik Honey Nut Cheerios, kiedy czuję, że klatka piersiowa mi się kurczy, ale nie rozkurcza. Zaciska się coraz bardziej, jakby ktoś zapinał mi ciasny gorset. Dłonie mam wilgotne, głowa mi pulsuje, rośnie i kurczy się jednocześnie. W uszach słyszę własny oddech, brzmi jak przez wzmacniacze, jakbym była Darthem Vaderem. Jakaś kobieta zamiera na końcu alejki i mnie obserwuje. Wydaje się przestraszona. Podchodzi do mnie chłopak w uniformie Walgreens. Ma może z szesnaście lat.

– Wszystko dobrze? Halo?

Oddycham coraz głośniejszym, zatykam uszy, żeby tego nie słyszeć. W tej samej chwili sufit zaczyna wirować, brakuje mi powietrza, moje płuca przestają pracować i nie mam czym oddychać. Rzucam wszystko, uciekam od wózka i jedzenia, na zewnątrz. Staję na parkingu, zgięta wpół, oddycham świeżym, wieczornym powietrzem. A potem kładę się na ziemi, jakby to miało otworzyć mi płuca i pozwolić oddychać. Oddech jednak nie nadchodzi. Zamykam oczy i spowija mnie ciemność.

* * *

Tak to właśnie wyglądało trzy lata temu. Moje płuca przestały pracować, całe powietrze wyszło, w domu, na świecie, wszędzie. Nie byłam zdolna mówić ani się ruszać. Leżałam na plecach, czując jedynie wszechogarniającą panikę.

Podnoszę powieki, ale zamiast obskurnego sufitu ciężarówki widzę niebo.

Wstawaj, Libby.

Siadam i czekam, aż świat się wyprostuje. Rozglądam się pomału, żeby nic nie

zaczęło znowu wirować. Wewnątrz sklepu widzę tego szesnastoletniego chłopaka z telefonem przy uchu. Ktoś inny wychodzi, żeby pomóc dziewczynie leżącej na parkingu.

Wstawaj.

Podnoszę się, a wtedy ogarnia mnie zupełnie inne uczucie. Jest spokojne, pogodne, wiem, że to ona, że to moja mama. Chciałabym, by trwało na wieki, by mama ze mną została.

Żyj żyj żyj żyj...

I wtedy oddycham.

Oddycham.

* * *

Gdy wracam do domu, stoję przed lustrem w jaskrawofioletowym bikini, które kupiłam sobie zaraz po tym, jak schudłam. Nadal są do niego przyczepione metki, bo jeszcze nigdy go nie nosiłam. Odrywam je, rzucam na dywan i patrzę na swoje odbicie.

George przygląda mi się z taką samą miną jak zawsze. Gdyby tylko ludzie byli tacy jak on, myślę. Patrzy na mnie tak samo, gdy jestem goła i ubrana, umalowana i nie, gdy się śmieję i gdy płaczę. Jest stały i chyba to właśnie najbardziej w nim kocham.

Nie zdejmując bikini, siadam na łóżku i otwieram laptopa. Wpatruję się w ekran przez jakieś dziesięć sekund, a potem słowa wylewają się ze mnie ciągłym strumieniem.

NASTĘPNEGO DNIA



Dzisiaj mamy pierwszy dzień zajęć na basenie, co oznacza, że czeka mnie spełnienie jednego z najgorszych koszmarów: będę musiała paradować przed koleżankami ze szkoły w najbardziej skąpom i najmniej korzystnym ubraniu z możliwych.

Znajduję się w szatni wraz z trzydziestoma innymi dziewczynami, a tak właśnie zaczyna się ten koszmar. Wszystkie laski, oprócz Caroline Lushamp i Bailey Bishop, wpatrują się w swoje szafki, jakby w ten sposób mogły się ukryć przed wzrokiem reszty. Nawet Kendra Wu ściemnia, bo siada na ławce i owija się ręcznikiem tak powoli, jakby była najbardziej pewną siebie osobą na świecie. Obwiązuje ręcznik i wstaje, znam te ruchy, ponieważ sama powtarzałam je pewnie ze sto razy.

Mam ochotę zawołać: „I tak cię widzimy, Kendra! Nie znikniesz nam z oczu! Ale co z tego? Wyglądasz świetnie! Wszystkie wyglądamy świetnie! Nasze ciała to cudowne dzieła natury, nie powinnyśmy się ich wstydzić!”

Bailey opowiada mi o ratowniku, Brandonie jakimś tam, który był jej pierwszą prawdziwą miłością (nie mylić z pierwszą miłością w ogóle, czyli Krzysiem od Kubusia Puchatka). Opiera się o szafkę i macha rękami, jak zawsze, kiedy gada. Oczywiście wygląda, jakby właśnie zeszła z okładki „Seventeen”, mimo brzydkiej, bezkształtnej szmaty, która jest naszym przepisowym jednoczęściowym czarnym strojem kąpielowym.

Jestem tu bezsprzecznie największa, wszystkie patrzą na mnie, żeby się przekonać, czy już się zaczęłam rozbierać, zapewne poczują się wtedy lepiej we własnych ciałach. Poruszam się jak na zwolnionym filmie, postanawiam się spóźnić. Powoli zsuwam jeden but, potem drugi, układam je równiutko, starannie pod szafką, jakby zostały wykonane z najdelikatniejszego szkła.

Zdejmuję bransoletkę, niezwykle drobiazgowo układam ją w plecaku, żeby nic jej się nie stało. Pieszczę się z nią jak z małym dzieckiem. Wkładam rękę do kieszeni, wyciągam gumkę do włosów, po czym przyglądam pasemko po pasemku i gładko związuję włosy, jakbym była kapitanką zespołu Damsels.

– Nie odwleczesz tego, co nieuniknione – mówi Caroline, która właśnie przechodzi obok mnie. Nawet ona nie jest w stanie wyprowadzić mnie dzisiaj z równowagi.

W końcu zostają już tylko ja, Bailey oraz niejaka Margaret Harrison, która trajkocze przez telefon. Pani Railey, nasza instruktorka, przemyka przez szatnię,

praktycznie na nas nie patrząc, i woła:

– Margaret, telefon! Bailey, basen! Libby, strój! – Byłaby rewelacyjnym sierżantem prowadzącym musztrę w wojsku.

– To na razie, Libbs! – Bailey macha do mnie i odchodzi. Włosy jej podskakują na ramionach, stawia wysokie kroki swoimi długimi nogami. Jestem ciekawa, jak to jest być kimś takim jak ona.

Zostałyśmy już tylko we dwie, ja i Margaret, która nadal gada przez komórkę. Chciałabym, żeby wreszcie sobie poszła, więc zaczynam śpiewać. Głośno. Przesuwam buty, sprawdzam bransoletkę. Nadal trajkocze, ale teraz mnie obserwuje. Znosi się na to, że zostaniemy tu na długie dni. W końcu myślę sobie: „Pieprzyć to”. Ściągam bluzkę i wieszam ją w szafce. Zdejmuję džinsy, łądają na drugim haczyku. Wyciągam ręcznik i zatraskuję szafkę. Zrzucam sobie ręcznik na ramię i spoglądam na Margaret. Ta patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Telefon ma w dalszym ciągu przy uchu, ale wreszcie przestała gadać. Kładę jedną rękę na biodrze, drugą za głowę, ustawiam się kokieteryjnie, a na jej twarzy zakwita uśmiech.

– Jestem, jestem – mówi do swojego rozmówcy i unosi kciuk w moją stronę.

* * *

Wchodzę do centrum pływackiego szkoły MVB.

Wszyscy zamierają.

Tak po prostu.

– Co to ma być, Strout? – krzyczy pani Reilly z drugiej strony basenu.

– Fioletowe bikini! – odwraskuję.

A potem przyjmuję tę samą pozę co w szatni: jedna ręka na biodrze, druga za głowę.

Pani Reilly idzie do mnie, jej stopy człapią na mokrej posadzce.

– Co tam masz na brzuchu?

Chyba jest krótkowzroczna, bo pisałam olbrzymimi literami na wielkiej połaci skóry, którą posiadam.

– „Jestem chciana” – odpowiadam. – Ale proszę się nie obawiać, nie zmyje się w basenie, napisałam to markerem permanentnym.

To powiedziawszy, podchodzę do najgłębszej strony basenu, zrzucam ręcznik i wykonuję olimpijski skok do wody, który zachwyciłby nawet najtrudniejszego do zachwycenia sędziego.

Moja mama nauczyła się pływać, kiedy skończyła czterdzieści lat, rok przed śmiercią. Chodziłyśmy razem na zajęcia na basenie miejskim niedaleko parku, gdzie uczyłyśmy się chodzić w wodzie, oddychać, pływać na plecach, na brzuchu, nurkować. Dla mnie pływanie było czymś tak naturalnym jak chodzenie czy spanie. W wodzie czułam się jak ryba. Mama zachowywała się bardziej nerwowo, zrzucała to na swój wiek.

– Musisz zaufać sile wody – mówiłam jej. – Nasze ciała są tak skonstruowane, że będą się unosić na powierzchni. Woda cię utrzyma.

Od tamtego czasu niewiele pływałam, ale to cudowne, że umiejętność zostaje. Przecinam wodę i momentalnie zapominam, gdzie się znalazłam. Mam wrażenie, że

jestem tylko ja i woda dookoła. Oraz mama, tuż obok. Zamykam oczy i widzę ją na sąsiednim torze.

Wynurzam się, żeby złapać powietrze, podnoszę powieki i znów znajduję się na szkolnym basenie, otoczona gapiącymi się, śmiejącymi się dziewczynami. To mnie deprymuje na chwilę, ale tylko na chwilę. Najwyraźniej moim głównym zadaniem w życiu jest dawanie nauczki gapiącym się i śmiejącym dziewczynom. Gdyby ktoś, kiedy miałam siedem czy osiem lat, powiedział mi, że to będzie rola, jakiej się podejmę, że nigdy nie będę miała od niej odpoczynku bez względu na to, jak dobrze się poczuje we własnej skórze, z pewnością oznajmiłabym: „W takim razie dziękuję bardzo. Poproszę o inną rolę. Jakie są jeszcze do wyboru?”

Wiem, co sobie teraz myślicie – skoro tak bardzo tego nienawidzisz i stanowi to dla ciebie taki ciężar, po prostu schudnij, a ta rola sama zniknie. Tyle że ja się dobrze czuję taka, jaka jestem. Być może zrzucę jeszcze jakieś kilogramy. Być może nie. Dlaczego to, ile ważę, tak działa na innych ludzi? Przecież na nich nie siadam, więc nie powinno to ich obchodzić, prawda?

Wychodzę po drabince z basenu. Odgarniam włosy z twarzy i spoglądam na swój brzuch. Napis nadal tam jest.

Podnoszę ręcznik, mijam je wszystkie w drodze do szatni, gdzie się wycieram i wkładam buty, które wybrałam na dzisiejszą okazję. Z jednej strony ozdobiłam je cytatem z *A Separate Peace*: Everyone has a moment in history which belongs particularly to him. Każdy człowiek ma moment w historii, który należy wyłącznie do niego.

Ta chwila należy do mnie.



Przeciskam się przez tłum, udając, że rozmawiam przez telefon. Zamierzam ominąć główny korytarz, chociaż to oznacza wejście na górę, przejście piętrem i zejście z powrotem, żeby dostać się na następną lekcję. Najbliższe schody znajdują się w miejscu, które nazywamy „czwororogiem”, bo właśnie tam główny korytarz rozgałęzia się na cztery strony. Jeśli będę odpowiednio sprytny, może uda mi się wejść tamtędy na górę. Jeśli nie, będę musiał iść do frontowej części budynku, gdzie też są schody. Nie chciałbym jednak spotkać nikogo po drodze.

Słyszę, że ktoś mnie woła, ale skupiam się na karkach osób, które mam przed sobą. Na korytarzu panuje wielki tłok, praktycznie stoimy w miejscu. Ktoś ciągle wykrzykuje moje imię, a potem wysoka dziewczyna o ciemnej skórze i namalowanym pieprzyku koło oka ciągnie mnie za rękę.

- Nie słyszysz, że cię wołam? – pyta.
- Caroline?
- Mówiłam, że tam jest twoja dziewczyna. To dlatego nie można przejść.



Staję na środku głównego holu. Mam na sobie wyłącznie buty i bikini. Zarówno strój, jak i włosy są nadal mokre i trochę się trzęsę, ale wmawiam sobie: „To twój moment w historii, ta chwila należy do ciebie”.

Pięć, cztery, trzy...

Zjawia się zdyszana Iris.

– Przyniosłaś? – pytam.

– Proszę. – Podaje mi stos kartek.

– Jeśli chcesz iść, nie pogniewam się.

Ale Iris kręci głową.

– Zostanę.

Rozlega się dźwięk dzwonka, a ja podskakuję. Jeszcze nie jest za późno. Mogłabym pobiec szybko jak błyskawica, a wtedy zobaczyłoby mnie zaledwie parę osób.

A jednak stoję.

Chociaż otwierają się po kolei drzwi i cała populacja uczniów naszej szkoły wylewa się na korytarz. Chociaż wszyscy się na mnie gapią. Chociaż unoszą komórki. Chociaż robią łącznie – jak szacuję – czterysta zdjęć. Chociaż czuję ucisk w klatce piersiowej. Chociaż mam wrażenie, że moją głowę wypełnia wata. Chociaż mam rwany oddech. Chociaż wilgotnieją mi dłonie.

Stoję.



Próbuję się przepchnąć, ale gdy się zbliżam do głównego korytarza, muszę zwolnić i chwilę później utykam w tłumie, wciśnięty między dziewczynę przede mną, chłopaka za mną oraz dziewczynę po lewej i chłopaka po prawej. Caroline też gdzieś tu jest, ale ją zgubiłem.



Rozdajemy z Iris kartki, po jednej dla każdego. Jedni wyrywają nam je z rąk i odchodzą, czytając, inni celują we mnie komórkami i robią zdjęcia. Staram się pozować do każdego, bo skoro już i tak wyląduję w Internecie, to niech chociaż mają, do cholery, jak najlepsze ujęcia.

Skądś wylania się Seth Powell ze swoim wielkim irokezem, a za nim Jack Masselin.

– Co to jest? Bal przebierańców? – pyta Seth i śmieje się tak mocno, że aż się trzęsie.

Jack jest poważny.

– Co ty robisz? – pyta.

– Przypominam ludziom pewne podstawowe prawdy.

Nadchodzi Moses Hunt ze swoją ekipą, dają im jedną kartkę, chociaż podejrzewam, że nie potrafią czytać.

– Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczy, chociaż w sumie wątpię – mówię do Mosesa.

Wyciąga ręce, jakby chciał mnie przytulić, ale Jack protestuje:

– Hej!

– Pieprz się, Mass. Masz jakiś problem, ty dupku?

– Problem polega na tym, że to jego dziewczyna – mówi Seth i rechocze/trzęsie się jak tamburyn.

– Dziękuję, ale nie musisz mnie chronić – zwracam się do Jacka.

– Powinnaś coś na siebie włożyć – odpowiada.

* * *

Dyrektorka siedzi za biurkiem i kręci głową.

– Nie wiem, co powiedzieć, Libby – zaczyna. – Pomóż mi to zrozumieć – dodaje i podnosi kartkę z tekstem, który napisałam. Traktat dla Świata. – Ktoś cię dręczył? Wysyłał ci listy? Dlaczego nie przysłał z tym do mnie?

– Nie wiem, kto je przysłał, a nawet gdybym wiedziała, na nikogo bym nie donosiła, bez względu na okropieństwo tej osoby. Poczułam jednak, że muszę coś powiedzieć.

Teraz jestem już ubrana, ale nadal się trzęsę. Po pierwsze, mam mokre włosy. Po drugie, jestem maksymalnie wkurzona. Tym jednym zdaniem Jack Masselin odebrał mi część chwały. Powinnaś coś na siebie włożyć.

Pani Wasserman czyta ponownie mój traktat, a potem kładzie go przed sobą. Splata na nim ręce i patrzy na mnie, a ja widzę w jej oczach gniew. Wiem jednak, że nie na mnie jest skierowany.

– Przykro mi – mówi. – Tak bardzo mi przykro.

Nagle czuję pieczenie pod powiekami, co mnie zaskakuje. Wbijam wzrok we własne dłonie, napominam się, żeby nie płakać. Nie ma takiej potrzeby. Byłaś dzisiaj świetna. Przekazałaś to, co chciałaś. Może nawet pomogłaś komuś, kto potrzebował usłyszeć to, co miałaś do powiedzenia.

– Możesz iść.

Podnoszę głowę.

– Naprawdę?

– Ale niech to będzie ostatni raz, kiedy wzięłaś sprawy we własne ręce, i ostatni raz, kiedy cię widzę w moim gabinecie. No chyba że dostaniesz kolejne listy. Wtedy masz przyjść bezpośrednio do mnie i nie próbować samej się z tym uporać. A jeśli się dowiesz, kto je wysyła, też mi powiedz.

JESTEŚ CHCIANA/CHCIANY

Libby Strout

„Jesteś niechciana”.

Te słowa ktoś napisał mi niedawno w anonimowym liście.

Zastanawiam się, kim jest osoba, która uważa, że można coś takiego powiedzieć drugiemu człowiekowi. Naprawdę, pomyślcie o tym.

„Jesteś niechciana”.

To jedna z najwstrętniejszych rzeczy, jakie można komuś przekazać.

Ta osoba zapewne chciała powiedzieć: „Jesteś gruba i budzisz moje obrzydzenie”. Dlaczego więc nie oznajmiła tego wprost?

Nie wiecie, czy jestem chciana, czy nie.

Ale wam powiem. Jestem.

Możecie w to nie uwierzyć, mam jednak rodzinę, która mnie kocha, oraz przyjaciół. Nawet całowałam się z chłopakami, a to, że nie uprawiałam dotąd seksu, jest wynikiem tego, że nie jestem na to gotowa. Nie dlatego, że nikt mnie nie chce. Bo wyobraź sobie, maluczka i pełna nienawiści osobo, która napisała ten list, że jestem fajną dziewczyną. Mam ciekawy charakter, sprawny mózg, jestem silna i potrafię biegać. Jestem odporna. Potężna. Zamierzam zrobić coś z moim życiem, ponieważ wierzę w siebie. Jeszcze nie wiem, co to będzie, ale nie wiem tylko dlatego, że mam nieograniczone możliwości. Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

Życie jest zbyt krótkie, żeby oceniać innych. Nie do nas należy wmawianie innym, co powinni czuć i kim są. Chyba lepiej poświęcić ten czas samemu sobie, prawda? Nie wiem, kim jesteś, ale jestem pewna, że masz problemy, nad którymi mógłbyś/mogłabyś popracować. Może masz smukłe ciało i piękną twarz, ale założę się, że też masz pewne niedoskonałości. Braki, przez które nie rozebrał(a)byś się do fioletowego bikini i nie pobawił(a) w modelkę/modela na oczach całej szkoły.

A jeśli chodzi o was, całą resztę, zapamiętajcie jedno: JESTEŚCIE CHCIANI. Czy

jesteście duzi, czy mali, niscy czy wysocy, zwykli czy śliczni, towarzyscy czy nieśmiali.
Nie pozwólcie, żeby ktokolwiek wmawiał wam, że jest inaczej. I sami też tego nie róbcie.

Zwłaszcza nie róbcie tego sami.



Stoję na środku naszego sklepu i żałuję, że sezon baseballowy nie trwa przez okrągły rok. Że muszę czekać aż do wiosny i że nie może być tak, że wszyscy muszą grać. Gdybym to ja mógł zaprojektować ten świat, każdy człowiek nosiłby uniform i dzięki temu łatwo byśmy się odnajdowali.

Gdyby tak właśnie funkcjonował świat, rozpoznałbym Monicę Chapman stojącą na środku naszego sklepu. Wiedziałbym od razu, że kobieta, z którą rozmawia mój tata, to ona. Nie musiałbym się zastanawiać, czy wcześniej też tu bywała, i to na moich oczach.

Ale ponieważ świat tak nie działa, przerywam tym dwojgu, którzy stoją zbyt blisko wystawy z *Gwiezdnych wojen*, w miejscu, w którym każdy – łącznie z mamą – mógłby ich zobaczyć. Odskakują od siebie, a ja czytam plaketkę z nazwiskiem taty oraz poczucie winy na jego twarzy.

– Witaj, Jack – mówi ona.

Zresztą nie wiem, może to ona, a może nie ona, jednak nie czekam, by się przekonać. Patrzę na ojca i mówię:

– Ty sukinsynu.

A potem wychodzę.

* * *

W domu zgarniam wszystko z piwnicznych półek na podłogę. Wyrzucam różne rzeczy do śmieci, ogarniam mnie szaleństwo, jestem jak dzieciak, który wpadł w szal. Miażdżę części butem, rozwalam je o stół, niszczę narzędzia i różne gówna, których projektowanie i budowa zajęły mi tyle czasu.

Ogarniam mnie coraz większe szaleństwo, w końcu zaczynam uderzać w ścianę, aż mi krew leci z ręki. Ból jest pozytywny, więc uderzam raz za razem. To sposób na to, by coś poczuć, bez konieczności stania za niewidzialnym płotem pod napięciem, który oddziela mnie od wszystkich.

Pół godziny później sprzątam bałagan, jestem spokojny i zrównoważony. Do piwnicy wchodzi facet z plaketką, na której widnieje nazwisko mojego ojca.

Przebiega wzrokiem chaos, który nas otacza, a potem patrzy mi prosto w oczy.

– Kończę to. Z nią.

– To nie moja sprawa.

– Chciałem ci tylko powiedzieć.
– Dlaczego akurat teraz? Co cię skłoniło do podjęcia takiej ważnej życiowej decyzji?

– To. – Pokazuje brodą na mnie. – Ten gniew. Nie chcę, żebyś mnie nienawidził.

– Nie zrzucaj winy na mnie.

– Nie zrzucam. To ja jestem winny. Dostałem drugą szansę i nie mówię wyłącznie o nowotworze, ale także o drugiej szansie u mamy, szansie na to, by przemyśleć, co chcę robić w życiu.

– Myślałem, że kochasz sklep.

– Kocham to, co znaczy, jego historię. Uwielbiałem tam chodzić jako dziecko. Ale to nie jest to, co chciałem robić w życiu. Miałem inne plany.

To mnie zbija z tropu, ponieważ nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że tata mógłby robić cokolwiek innego, mieć jakieś inne opcje.

– Chciałem zostać architektem. Albo inżynierem.

To też mnie zdumiewa. Dochodzę do wniosku, że może jednak mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłem, chociaż sam nie wiem, co o tym myśleć. Wiem tylko jedno – dzięki tobie i Monice Chapman – jakim człowiekiem nie chcę być.

– Zabawne, prawda? – mówi tata. – Że chociaż jesteśmy tu praktycznie sami – uderza się w pierś – to jednak czasem się gubimy.

Chciałbym powiedzieć: „Rozumiem. Tak łatwo jest dawać innym to, czego pragną. Czego oczekują. Problem polega na tym, że wtedy traci się świadomość, gdzie kończy się twoje prawdziwe ja, a gdzie zaczyna to fałszywe, które chce być wszystkim dla wszystkich”.

Tata uśmiecha się ze smutkiem.

– Zachowuję się wstrętnie.

– Widzę, że Dusty też dał ci do myślenia.

– Chyba tak.

* * *

Marcus i jego dziewczyna Melinda są w naszym salonie. Siedzą pochyleni nad komórką mojego brata i coś gorączkowo szepczą. Na mój widok Marcus podnosi głowę.

– Widziałeś? – pyta i pokazuje mi telefon.

Podchodzę, wyjmuję mu z ręki aparat i widzę Libby Strout w intensywnie fioletowym stroju kąpielowym, jak praktycznie daje całemu światu do zrozumienia, że ma się od niej odpiardolić. Byłem przy tym. Widziałem to. Ale teraz patrzę na to, jak światło odbija się od jej włosów, na piegi, które zdobią jej ramiona i klatkę piersiową i które są prawdziwe, a nie domalowane.

Potem popełniam błąd i czytam komentarze. Niektóre są wyjątkowo paskudne. Ale widzę też bardzo miłe. Nie liczę, jednak z ulgą zauważam, że tych miłszych jest chyba więcej niż paskudnych. Oddaję komórkę mojemu bratu, ale nie zwraca na to uwagi, bo zaczyna się klócić z Melindą.

– Mówię poważnie – mówi jego dziewczyna. – To nie jest zabawne, Cuss. – Tak go nazywa. – Żal mi jej.

– Dlaczego jest ci jej żal, Da? – Tak ją nazywam.

Patrzy na mnie, mrugając tymi swoimi wielkimi, głupimi oczami.

– No wiesz, chyba nie jest jej łatwo.

– Dlaczego? – Nie powinienem się z nią droczyć tak, jak to robię z Sethem, ale nie mogę się powstrzymać.

– No wiesz. – Podnosi telefon i pokazuje na ekran.

– Jak dla mnie daje sobie świetnie radę.

Na piętrze, na biurku w moim pokoju leży ulotka Libby. Od momentu, w którym przeczytałem ten tekst, próbuję zignorować głos, który mi powtarza: „To twoja wina. Gdybyś się na nią wtedy nie rzucił, nie wystawiłbyś jej na cel. A gdyby nie była celem, nie musiałaby udowadniać niczego całej szkole”.



Szkoła Martin Van Buren to całkiem ładne miejsce, co jest dziwnym wnioskiem, kiedy człowiek pomyśli, ile osób w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu kilku lat bało się tutaj przychodzić. Mamy świetną, prawdziwą galerię sztuki, nasza hala sportowa mieści dziesięć tysięcy widzów, a zbudowana obok aula jest główną salą koncertową w naszym mieście. W stołówce mamy bar sałatkowy, bar kanapkowy oraz pizzę, a obok gabinetu pielęgniarki mieści się mały sklepik. Ale równie dobrze mogłoby to być więzienie na Wyspie Ognistej, na samym środku jeziora w nieprzystępnej głębi Rosji, gdzie więźniowie spędzają całe doby w swoich celach i przyjmują odwiedzających zaledwie dwa razy w roku. Tak właśnie się tu czujemy.

Dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. Wszyscy – dosłownie wszyscy – wiedzą już, jak się nazywam, i wszyscy są w stanie przywołać obraz mnie w stroju kąpielowym. Nawet ci, których przy tym nie było. Filmik na YouTube został zatytułowany *Gruba dziewczyna walczy: Libby Strout, kiedyś najgrubsza nastolatka w Ameryce, mówi swoim kolegom i koleżankom: „Jesteście chcieli”*. Nagranie zostało opublikowane wczoraj wieczorem, a już miało 262 356 odsłon.

Wyobrażacie to sobie?

Powiem wam, że to dziwne i niepokojące. Ten chłopak z zeszytem, na którym widnieje fotos z *Gry o tron*. Tamta dziewczyna i jej koleżanki z instrumentami. Cheerleaderki. Drużyna koszykówki. Oraz – o matko – nauczyciele.

Wolę o tym nie myśleć.

Być może to tylko moja wyobraźnia, ale mam wrażenie, że gdy idę korytarzem, wszystkie pary oczu kierują się na mnie. Idę i oddycham, oddycham i idę. Próbuję kroczyć dumnie. Kołysać biodrami. Przypominam sobie, jak tańczyłam w moim pokoju do piosenki Spice Girls, i tłumaczę sobie w duchu: „Tym właśnie jesteś, superosobą, jak w tym utworze”.

Słyszę tylko jedno muczenie, reszta po prostu się gapi.

Zaczepia mnie pan Levine.

– Wszystko w porządku. Libby? – pyta, co oznacza, że może obejrzał nagranie, a może nie, ale wie, co się wydarzyło. – To, że się spotykamy na kółku, nie znaczy, że nie możesz ze mną porozmawiać. Na tym w końcu polega moja rola.

– Wiem, dziękuję, ale wszystko jest świetnie. Naprawdę.

Nie jestem pewna, czy mi uwierzył, na wszelki wypadek szybko odchodzę, żeby już o nic mnie nie pytał.

* * *

Drugie śniadanie jem w sali artystycznej razem z Bailey, Jayvee oraz Iris, ponieważ chwilowo jest tu spokojniej niż w stołówce (= nie tak traumatycznie). Moje koleżanki zaczynają rozmawiać jak zwykle o tym, co będą robić po skończeniu szkoły. Bailey planuje zostać artystką i jednocześnie lekarką, a Jayvee – pisarką.

W którymś momencie Iris spogląda na mnie i mówi:

– Chciałabym być taka jak one. Chciałabym wiedzieć, co będę robić.

– Możesz zostać piosenkarką. Gdybym miała taki głos jak ty, śpiewałabym od rana do nocy, żeby go słyszeć.

Uszy jej się czerwienią i upija łyk dietetycznej coli.

– To nie zawód, tylko hobby. – Domyślam się, że kogoś cytuję, może swoją mamę.

– Powiedz to Taylor Swift – odpowiadam, grzebiąc w telefonie.

Znajduję piosenkę i włączam odtwarzanie. Wszystkie milkną, gdy zaczynam tańczyć.

– Ja chcę zostać tancerką. Może nawet dostać się do Rockettes. – Robię wymach nogą. Wyrzucam ją do samego nieba.

Jayvee zaczyna klaskać i gwizdać.

– Otworzę własny klub taneczny, przyjmę wszystkie dziewczyny, które się nie dostały do Damsels albo nie chcą należeć do Damsels. Nie będziemy tańczyć żadnych sztywnych układów, nie będzie żadnych flag. Każda będzie tańczyła, co chce, ale zrobimy to razem.

– Ja też chcę należeć do twojego klubu! – Bailey zrywa się z miejsca i zaczyna się kołysać.

– I ja. – Jayvee wchodzi na biurko i macha ramionami. Uchyła rąbek niewidzialnego kapelusza i uśmiecha się najszerszym, najbardziej przerażającym uśmiechem scenicznym, jaki widział świat.

Iris odstawia colę, wyciera usta w serwetkę i zaczyna śpiewać. Zagłusza Spice Girls tym swoim cudownym głosem. Porusza się na krześle, ramiona w lewo, ramiona w prawo. Biorę pędzel i jej podaję, tylko że to nie pędzel, a mikrofon, a my nie znajdujemy się w szkole średniej, ale na scenie. To nasz wspólny występ.

Przerywa nam dopiero pan Grazer, nauczyciel plastyki, który wchodzi i krzyczy:

– Co tu się dzieje?!

– My tylko dokonujemy ekspresji artystycznej, panie profesorze – mówi Bailey.

– To dokonujcie jej nieco ciszej – prosi pan Grazer.



Na środku boiska do koszykówki stoją krzesła. Wychodzi na to, że na dzisiejszym kółku konwersacyjnym – już ostatnim – będziemy rzeczywiście siedzieć w kółku.

Już niemal się odwracam i uciekam, ale to ostatni dzień, więc zmuszam się, by zająć miejsce, powiedzieć wszystkim „cześć” i razem z nimi zaczekać, aż dołączy do nas pan Levine. Wyciągam nogi przed siebie, krzyżuję je w kostkach, odchylam głowę do tyłu i zamykam oczy. Wszyscy pomyślą, że jestem skacowany, zmęczony albo wyjątkowo znudzony, ale tak naprawdę serce mi wali trochę za szybko, trochę za głośno.

Nie wiem, co będziemy robić w tym kółku, ale cokolwiek to będzie, nie wygląda dobrze.

Nasłuchuję, jak wszyscy zajmują miejsca, jak ich głosy wznoszą się i opadają. Słyszę, jak Libby coś mówi, a potem dociera do mnie skrzypienie tenisówek na zdartym parkiecie i wiem, że przyszedł pan Levine.

– Zapewne się zastanawiacie, dlaczego na kółku konwersacyjnym będziemy siedzieć w kółku.

Podnoszę powieki, prostuję się nieco i staram się wyglądać na zainteresowanego, jakbym nie był nieuczynnie przestraszony. Zerkam na Libby, chciałbym jej powiedzieć: „Przepraszam, tęsknię za tobą”. Ale ona patrzy na pana Levine’a, który trzyma w ręku piłkę do koszykówki.

– Dzisiaj będziemy po kolei mówić pięć pozytywnych rzeczy na temat każdej znajdującej się tutaj osoby. Ja zacznę i powiem pięć pozytywów o Maddy. – Pan Levine rzuca dziewczynie piłkę. – Jesteś miła, punktualna, grzeczna, dobrze się dogadujesz z innymi i masz o wiele więcej pewności siebie niż na początku, gdy zaczynaliśmy. Teraz Maddy powinna powiedzieć pięć pozytywów na mój temat.

– Nosi pan fajne muszki, wygląda jak Doktor Who, jest pan luzakiem jak na nauczyciela, nie strofuje pan nas za bardzo i prowadzi ciekawe zajęcia. – Maddy odrzuca piłkę do pana Levine’a.

– Wspaniale, Maddy, i bardzo ci dziękuję. Teraz będę rzucał piłkę do pozostałych, tak aby każdy powiedział coś o każdym z obecnych. Wszyscy po kolei. Macie jakieś pytania?

– To może być wszystko, byle było pozytywne? – dopytuje Keshawn.

– Powiedzmy, że to muszą być rzeczy dozwolone bez ograniczeń wiekowych. –

Wszyscy wybuchają śmiechem, oprócz Keshawna, który wydaje się zawiedziony.

Patrzmy po sobie, przyglądamy się sobie nawzajem, zapewne zastanawiając się nad pięcioma miłymi rzeczami. Ja też ich studiuję, ale w inny sposób. Po tylu spotkaniach jestem w stanie rozpoznać Keshawna. Natasha to musi być dziewczyna o długich brązowych włosach, która trzyma rękę na jego nodze – a przynajmniej taką mam nadzieję, dla dobra Keshawna. Wiem, która to Libby, ponieważ jest największa z dziewczyn, a pan Levine wskazał mi Maddy. Ale jak zwykle mam problemy z Andym i Travisem. Mają taki sam wzrost i sylwetkę oraz potargane włosy opadające na oczy. Niektórych ludzi można łatwo rozpoznać po gestach i manierach, na przykład po tym, jak odgarniają sobie włosy z twarzy. Ci jednak patrzą na świat przez swoje grzywki.

Wmawiam sobie, że będzie dobrze, że pan Levine wybierze kogoś innego na początek. Zastanawiam się nad tym, co powiedzieć o moich rówieśnikach. Keshawn i Natasha zostali przyłapani na uprawianiu seksu w jednej z łazienek, a więc wyładowali na tej terapii ze zdecydowanie najlepszego powodu. Raczej jednak nie mogę o tym wspomnieć, mówiąc o pięciu pozytywach. Maddy jest tutaj, ponieważ wykradała kosmetyki z szafek. Andy zniszczył szkolne mienie (sikając na nie), a Travis dla zakładu zapalił jointa na lekcji. Więc tak, jedyną osobą, o której mogę powiedzieć coś pozytywnego, jest Libby. Ale zamiast o pięciu rzeczach myślę o stu.

– Jack, może ty zaczniesz?

Cholera.

Uśmiecham się do niego promiennie.

– Kobiety mają pierwszeństwo.

– Jestem pewien, że dziewczyny doceniają twój gest, ale założę się, że tym razem nie będą miały nic przeciwko temu. – Siada wygodniej, krzyżuje ręce na piersi i czeka.

Nie wiedzieć czemu spoglądam na Libby. Nie zostawiaj mnie, Libby. Nie teraz, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebna. Patrzy na mnie, marszcząc czoło, i przez chwilę sądzę, że mnie zdradzi albo wstanie i wyjdzie. Ale ona chyba dostrzega moją panikę, bo mówi:

– Przepraszam pana bardzo, ale zanim zapomnę... Travis, czy jutro na zajęciach na prawo jazdy mamy test? – zwraca się do chłopaka ubranego w czarną bluzę, który siedzi naprzeciwko niej.

– Co? Cholera, mamy test? – Travis mruga gwałtownie pod grzywą, jego usta układają się w okrągłe „o”, a mnie nagle chce się śmiać.

– Myślałam, że pan Dominguez mówił... A może to było na innej lekcji... Moment, tak. To historia.

Pan Levine patrzy na nią, jakby wiedział, że coś knuje, ale mówi tylko:

– Proszę bardzo, Jack.

Keshawn dobrze gra w kosza. Natasha ma w sobie pozytywną energię i ciągle się uśmiecha. Maddy wydaje się bardzo inteligentna. Dzięki Andy'emu zaszliśmy w zeszłym roku aż do finałów w futbolu. Travis ma świetną kolekcję koszulek vintage. Tego typu rzeczy.

A oto, co oni mówią o mnie: Jack jest przystojny. Jack jest zorganizowany. Jack jeździ fajnym wozem. Jack ma ładny dom. Jack ładnie się uśmiecha. Jack ma świetne

włosy. Jack jest inteligentny. Jack jest zabawny. Jack dobrze gra w kosza. Jack dostanie się zapewne na każdą uczelnię, którą wybierze.

Wiem, że chcą dobrze, ale czuję się jak przekłuty balon. Może oni także. Chciałbym powiedzieć: „Nie znacie mnie. Jeśli to właśnie o mnie myślicie, to nie macie zielonego pojęcia, jaki jestem”.

Ale czyja to wina?

Odwracam się do Libby:

– Jesteś dobra, masz w sobie najwięcej dobroci ze wszystkich osób, jakie znam. Potrafisz wybaczać, przynajmniej częściowo, ale mam nadzieję, że bardzo, a to dla mnie jak supermoc. – Ona też na mnie patrzy, w jej oczach mnóstwo się dzieje. – Jesteś niesamowicie inteligentna i nie łapiesz się na gówna innych osób, a już na pewno nie na moje. Jesteś sobą. Wiesz dobrze, co to oznacza, nie boisz się tego, a chyba mało kto z nas może to samo powiedzieć o sobie. – Nie uśmiecha się, i nie mówię o jej ustach, ale o oczach. – I jesteś silna. Nie mam na myśli tego, że potrafisz powalić chłopaka jednym ciosem w szczękę. – Wszyscy się śmieją, oprócz niej. – Mówię o twojej wewnętrznej sile. Gdybym miał ją narysować, wyglądałaby jak trójkąt zbudowany z karbinu, najtrwalszego i najtwardszego materiału na świecie. Dzięki tobie życie otaczających się osób staje się lepsze...

Mam zamiar kontynuować, ale pan Levine mi przerywa:

– To więcej niż pięć. Chciałbym pozwolić ci mówić dalej, ale nie zdążylibyśmy wysłuchać pozostałych uczestników. W każdym razie świetna robota, Jack. Wspaniały początek.

Libby nadal na mnie patrzy, jej oczy są otwarte jak niebo.

I wtedy pojawia się to wrażenie.

Jakbym naprawdę ją widział. Nie bursztynowe oczy i piegi na policzkach, ale ją, prawdziwą.

– Jack? Teraz kolej na Libby.

Pocieram sobie kark, gdzie włoski stanęły mi dęba.

– Tak. Oczywiście. – Rzucam jej piłkę, wpatruje się w nią przez chwilę, okręca delikatnie w dłoniach, jakby trzymała kulę ziemską.

A potem przenosi wzrok na mnie, trudno z niego cokolwiek wyczytać. Otwiera usta, zamyka je. Znowu otwiera. Jak się okazuje, nie ma pięciu rzeczy, które mogłaby o mnie powiedzieć. Ma tylko jedną.

– Musisz wiedzieć, Jack, że nie jesteś złym człowiekiem. Chociaż nie jestem pewna, czy zdajesz sobie z tego sprawę.



Wychodzę z sali najszybciej, jak się da, nie biegnąc, ale Jack mnie dogania. Jego afro rozwiewa się na wszystkie strony, jakby wiał w niego jego prywatny wiatr.

– Dzięki za wszystko, co powiedziałaś – mówi.

– To nie było nic wielkiego.

– Dla mnie było. A to, co zrobiłaś wczoraj? Jesteś bohaterką.

– Kazałeś mi się ubrać.

– Bo Moses Hunt podchodził za blisko, kto wie, co mógłby zrobić. Nie chciałem, żeby cię chwycił.

– Cóż za ironia – rzucam, po czym nie wiedzieć czemu dodaję: – Trafiło do sieci i się rozniosło.

– Wiem, widziałem. Słuchaj, jakaś dziewczyna obejrzy to nagranie i dasz jej odwagę do zakupu własnego fioletowego bikini. To, co zrobiłaś, wiele zdziała, sama się przekonasz. Wszystkie dziewczyny, wszędzie, o różnych sylwetkach i rozmiarach będą chciały taki sam strój. Producenci odzieży z całego świata będą pracowali po godzinach, chcąc wypuścić na rynek tyle fioletowych strojów, żeby sprostać zapotrzebowaniu. Dziewczyny przestaną zadawać pytania w rodzaju: „Czy w tych dzinsach mam gruby tyłek?”. Będą miały w nosie, czy jest duży, czy mały. Będą zakładać, na co im przyjdzie ochota, i czuć się w tym świetnie.

Uśmiecha się i jest w nim coś takiego, że ja też mam ochotę się uśmiechnąć, ale nie robię tego, bo przecież to chłopak, który złamał mi serce.

– Może to tak nie wygląda, ale się uśmiechasz – mówi.



Nie zamierzam czekać do świąt Bożego Narodzenia, zanoszę robota do pokoju Dusty'ego i pukam do drzwi.

– Proszę! – krzyczy mój brat.

Otwieram drzwi, ale nie wchodzę, ponieważ on nadal ze mną nie rozmawia. Stawiam robota na podłodze i wysyłam go do środka. Nazwałem go Podłobójcą. To superbohater.

Robot wchodzi do pokoju i mówi:

– Cześć, Dusty. Walczę z podłością i wredotą. Podłobójca przyszedł skopać ci tyłek!

– Skopać mi tyłek? – pyta Dusty i wybucha śmiechem.

To najcudowniejszy dźwięk na świecie. Wsuwam głowę do pokoju, mój brat kula się po łóżku, a potem zrywa się i ogląda robota z każdej strony.

Na mój widok się krzywi. Wciskam guzik na pilocie, a wtedy Podłobójca mówi:

– Ja i ty, Dusty, przeciwko całemu światu.

Dusty wpatruje się w robota i kręci głową.

– Zupełnie jakby mnie rozpoznał. Jak to zrobiłeś?

Prawda jest taka, że Podłobójca rozpoznaje go mniej więcej tak samo jak ja. Zaprogramowałem urządzenie, żeby używało imienia Dusty'ego. Dla mojego robota każdy jest Dustym.

– Magia – odpowiadam. – Żeby zawsze mógł cię znaleźć.

Uderzam w pilota, a wtedy Podłobójca mówi:

– Nie bądź podły!

Wciskam kolejny przycisk i robot zaczyna wierzgać nogami. Ale nie kopie niczego – tańczy. Z głośnika na jego piersi dobiegają dźwięki piosenki Jackson 5, Dusty zaczyna tańczyć razem z robotem.

Wręczam mojemu braciszkowi pilota i też tańczę. Po chwili Dusty woła:

– Czy on ma torebkę?

Oczywiście, że tak. Podłobójca wie, że tylko najfajniejsze dzieciaki noszą torebki. Dusty się śmieje, teraz tańczymy we trójkę, i chociaż jesteśmy z Dustym dobrzy, nie ma co do tego wątpliwości – Podłobójca bije nas na głowę.

DWIE RZECZY ZWIĄZANE Z LIBBY, KTÓRYCH NAJBARDZIEJ MI BRAKUJE

Jack Masselin

1. To, jak się czuję, gdy z nią jestem. Jakbym połknął słońce, a ono przeświecało mi przez skórę.
2. Wszystko.

CZTERY DNI PÓŹNIEJ



Mam być u Kama koło dziewiątej. Caroline też tam będzie. Wszyscy będą. Nie mam ochoty oglądać ich wszystkich – nikogo, prawdę powiedziawszy – ale tak musi być. W końcu jestem Jackiem Masselinem, mam reputację, którą muszę utrzymać.

Biorę prysznic, ubieram się, potrząsam włosami. Chwytam kluczyki i już prawie wychodzę, kiedy tata (krzaczaste brwi, blada skóra, firmowa koszula naszego sklepu) wybiega za mną.

– Jack, możemy chwilę porozmawiać?

Przychodzi mi do głowy każda możliwa wymówka – mam randkę, a już jestem spóźniony (prawda), chyba mój samochód zajął się ogniem (mam nadzieję, że nieprawda), nie mam ochoty z tobą rozmawiać (prawda, jeszcze jaka).

– Jasne. O co chodzi? Mów szybko, bo kobiety nie lubią czekać. – Już niemal dodaje: „Jak zapewne wiesz”.

– To poważna sprawa.

* * *

Siedzimy z Marcusem i Dustym na sofie. Mama przycupnęła na pufie, która ma rozmiary małej łodzi. Pochyliła się do przodu, ręce oparła na kolanach, jakby była gotowa w każdej chwili się zerwać.

Tata odchrząkuje.

– Bardzo się z mamą kochamy. I was też kochamy. Jesteście dla nas wszystkim, nigdy byśmy was nie skrzywdzili. – Ciągnie to przemówienie o tym, jak bardzo nas kocha i jakim jest szczęściarzem, że ma taką wspaniałą rodzinę, i jak go wspieraliśmy, kiedy zachorował, i jak nie jest w stanie wyrazić, ile to dla niego znaczy.

Marcus, Dusty i ja patrzymy jednak nie na niego, tylko na mamę, bo to ona zawsze mówi prawdę. Ale ona milczy, nawet na nas nie patrzy. Wpatruje się w jakiś punkt za plecami ojca, który nadal nawija.

W końcu Dusty podnosi rękę.

– Rozwodzicie się? – pyta.

Twarz taty kurczy się w sobie, nie mogę na to patrzeć. Przez pewien czas nikt nic nie mówi, dopiero w którymś momencie mama odzywa się bardzo, bardzo cicho:

– Uznaliśmy z waszym ojcem, że najlepiej będzie, jeśli na pewien czas

wprowadzimy separację. Musimy popracować nad niektórymi sprawami w naszym małżeństwie, ale to są rzeczy niezwiązane z wami.

Rozmowa na tym się nie kończy.

Dusty ma pytania, Marcus chce wiedzieć, co to oznacza dla nas, gdzie będziemy mieszkać i czy nadal możemy iść na studia.

A ja znajduję się na zewnątrz – zawsze na zewnątrz, nawet wtedy, gdy mój świat się wali – z twarzą przyciśniętą do szyby, która nas rozdziela.



Jedziemy po Iris, Jayvee prowadzi, ponieważ tylko ona ma prawo jazdy. Bailey siedzi ze mną z tyłu.

– Dave Kaminski urządza imprezę – mówi Bailey. – Obiecałam, że wpadnę na chwilę.

Jayvee patrzy na mnie w lusterku.

– Libby? To zależy od ciebie.

– Jacka nie będzie – dodaje Bailey.

– Skąd wiesz?

– Bo on raczej nie chodzi na imprezy.

Podjeżdżamy pod dom Iris, ale naszej koleżanki nigdzie nie widać. Jayvee wysyła jej esemesa, po czym czekamy w samochodzie. Ponieważ nadal jej nie ma, Jayvee przeklina pod nosem.

– Zaraz wracam – obiecuje i wysiada, zostawiając włączony silnik.

– Libbs? – Bailey patrzy na mnie, unosi brwi jak transparenty, jej usta wyginają się w półuśmiechu, oczy błyszczą.

– Okej – mówię.

Bo w sumie czemu nie? Co mam do stracenia?

A potem, ponieważ nie mam nic do stracenia, dodaję:

– Dlaczego mnie nie wspierałaś, kiedy byłam prześladowana? W piątej klasie. Kiedy Moses Hunt nie pozwalał mi wejść na plac zabaw. Dlaczego nic nie zrobiłaś albo chociaż nie przyszłaś ze mną porozmawiać? Stałam z boku dzień w dzień, zbyt przerażona, żeby postawić stopę na placu, a ty ani razu do mnie nie podeszłaś.

Mówię to rzeczowym tonem, bez emocji. Nie jestem wzburzona, po prostu chciałabym to wiedzieć. Początkowo mam wrażenie, że ona mnie chyba nie słyszy, ale potem jej brwi wracają na swoje miejsce, półuśmiech znika jej z twarzy, a oczy pochmurnieją.

– Nie wiem, Libbs. Chyba sobie tłumaczyłam, że się kolegowaliśmy, a nie przyjaźniłyśmy, i że wyglądałaś, jakby wszystko było okej. Nadal sprawiasz takie wrażenie. Dostajesz listy od jakiejś okropnej osoby i zupełnie to bagatelizujesz. Jack ci mówi, że jednak nie będzie z tobą chodził, a tobie „nic nie jest”.

– Ale wtedy to był poważny problem, a do tego raczej oczywisty. A jednak nikt nic

nie zrobił.

– Czułam się strasznie z tego powodu, a potem ty nagle zniknęłaś. I już nie wróciłaś.

– To dlatego jesteś teraz dla mnie taka miła?

– To dlatego podeszłam do ciebie w pierwszy dzień szkoły, ale nie z tego powodu jestem dla ciebie miła. Jestem miła, ponieważ cię lubię. I jest mi bardzo, naprawdę bardzo przykro, że nie okazałam się dobrą koleżanką.

To niczego nie zmienia, ale mi wystarcza.

– Ja też mogłam być lepszą koleżanką. Mogłam z tobą porozmawiać, powiedzieć ci, jak się czuję.

A potem Bailey mnie ściska, a ja wdycham zapach jej włosów, przypominający tęczę i ciasto brzoskwińowe. Tak właśnie powinny smakować włosy Bailey Bishop.

* * *

Pierwszą osobą, którą widzę po wejściu do domu Dave’a Kaminskiego, jest Mick z Kopenhagi. Tańczy w salonie, otoczony wianuszkami dziewczyn, a jego czarne włosy błyszczą jak pióra kruka.

– Cześć, Micku z Kopenhagi – mówi Jayvee gardłowym głosem i udając, że mdleje, opada w ramiona Iris.

Idę za Bailey, dom Dave’a nie przypomina budynku mieszkalnego, ale siedzibę jakiegoś bractwa. Jest tak napchany ludźmi, że ledwo można się ruszyć. Gra głośno muzyka, wszyscy próbują tańczyć, ale udaje im się najwyżej podskakiwać w miejscu.

Moja pierwsza impreza licealna.

Muza jest dobra, więc idąc, kołyszę lekko biodrami i w pewnym momencie niechcący trącam jakiegoś chłopaka.

– Ej! Uważaj! – krzyczy.

Mówię swoim biodrom, że mają się zachowywać, i idę dalej. W końcu udaje nam się przebić do salonu, gdzie Dave Kaminski gra w pokera z grupką chłopaków i dwiema dziewczynami. Bailey podchodzi do niego i mówi mu coś do ucha, a on nagle ją chwyta i sadza sobie na kolanach. Bailey się śmieje, udaje, że go uderza, a potem go ściska i wraca do nas.

– Dave bardzo się cieszy, że przyszliśmy.

– Właśnie widzę – mówię.

W tej samej chwili wzrok Dave’a napotyka moje spojrzenie. Chłopak kiwa lekko głową, jest w tym coś takiego, co niemal wygląda jak przeprosiny.



Caroline (ciemna skóra, zapach cynamonu, pieprzyk przy oku) jest ze mną w pokoju siostry Kama. Praktycznie każdy centymetr ścian jest przykryty plakatami Boy Parade. Mam wrażenie, że siedzimy na środku niedużej areny pełnej dwudziestoletnich chłopaków. Ich twarze są wszędzie, nie spuszczaają nas z oczu. Uśmiechają się nienaturalnie białymi uśmiechami, które świecą w ciemności.

Caroline sądzi, że przyprowadziłem ją tutaj, żeby się z nią całować. A ja tylko chciałem sprawdzić raz a dobrze, czy uda mi się wydobyć z niej słodką i miłą Caroline, która porozmawiałaby ze mną tak naprawdę. Ponieważ brakuje mi Libby. Ponieważ brakuje mi takich rozmów, jakie można z nią prowadzić.

Jesteśmy tak długo razem, że już znamy na pamięć zasady postępowania. Do niedawna próbowałem dobrać się do jej majtek, ale to ona sama się rozbierała, mnie nie było wolno, bo jeszcze potargałbym jej włosy. Potem prawie uprawialiśmy seks, a potem przez chwilę trzymałem ją w objęciach i leżałem, zastanawiając się: „Kiedy kiedy kiedy?”

Zwykle nie angażuję w to serca, a tylko ciało, mój umysł współpracuje w ten sposób, że się wyłącza. Ale teraz mój mózg przejmuje kontrolę. Jest jak pan Levine, chce wiedzieć dlaczego. Dlaczego to robisz? Dlaczego w ogóle przyszedłeś tu z tą dziewczyną? Dlaczego ciągle do niej wracasz? Dlaczego nie przestaniesz, Jack? Dlaczego nie zaczniesz żyć własnym życiem, nie będziesz sobą?

I dlatego pytam:

– Jaka jest najlepsza rzecz, jaka ci się przydarzyła w życiu?

– Mam powiedzieć „Jack Masselin”, tak? – Mruga, nie rozumiejąc.

– Tylko jeśli to prawda. No dalej, chcę wiedzieć. W całym twoim życiu, co było najlepsze?

– Nie wiem. Może jak Chloe się urodziła. – Chloe to jej młodsza siostra.

– A co było najgorsze?

– Kiedy mój kot Damon wpadł pod samochód.

Najgorszą rzeczą, jaka zdarzyła się w moim życiu, było spieprzenie tego, co mnie łączyło z Libby Strout.

– Na pewno było coś jeszcze.

– Dlaczego?

– Ponieważ kiedyś byłaś inna. Nieśmiała. Cicha. Niemądra.

– O Boże, nie przypominaj mi tego.

– Okej. A jaka jest jedna rzecz, której nikt o tobie nie wie?

Caroline krzywi się do łóżka.

– Nienawidzę koloru brązowego. Nie lubię żółwi. Kiedy miałam czternaście lat, wyrwali mi zęby mądrości.

Nuda nuda nuda. Już prawie mówię: „Mam neurologiczną wadę mózgu, przez którą nie rozpoznaję twarzy. Bum! Muahahahahahaha”.

Zamiast tego zadaję jej pytanie za pytaniem, a ona odpowiada tępym głosem i skubie narzutę. Ledwo słucham jej odpowiedzi, bo rozmyślam. Przez cały ten czas sądziłem, że ona jest moim wentylem bezpieczeństwa, ale o żadnym bezpieczeństwie nie ma mowy. Jak może być, skoro ona wcale nie widzi mnie lepiej niż ja ją? Równie dobrze mógłbym być sam. Oczywiście, tak właśnie jest: jestem sam.

Nagle Caroline podnosi bluzkę, ściąga ją przez głowę i upuszcza na podłogę. Poprawia ramiączka od stanika i odchyła się uwodzicielsko. Przygryza dolną wargę, to także element naszej gry. Dwa lata temu ta przygryziona warga nieźle na mnie działała.

Już mam powiedzieć coś w rodzaju: „Załóż, proszę, tę bluzkę”, kiedy Caroline na moich oczach robi się coraz bledsza i pełniejsza, aż w końcu znika, a na jej miejscu siedzi Libby Strout. Opiera się na łokciu, bawi ramiączkiem fioletowego bikini. Rozmawia ze mną, opowiada mi różne rzeczy, śmieje się i zadaje pytania. Ja też mówię, a potem ona się podnosi i przysuwa do mnie, i rozmawiamy tak długo, aż w końcu ona mówi:

– Halo! – I pstryka mi palcami przed nosem.

I znów zamienia się w Caroline.

Wpatruję się w nią, z nadzieją, że znów przerodzi się w Libby.

– O co chodzi? – pyta. – Dlaczego jesteś taki dziwny?

Ma na sobie seksowny stanik, jej ciało jest seksowne, chyba każdy chłopak hetero z naszej szkoły, łącznie z tymi, którzy się jej boją, chętnie by się teraz zamienił ze mną miejscami. Kładę rękę na jej nodze, jest gładka jak jedwab, ale ja myślę tylko o jednym: „Nie kocham Caroline. Ja jej nawet nie lubię”.

Zmuszam się, żeby pomyśleć o czymś, co mi się w niej podoba – w tej Caroline, która tu siedzi przede mną.

Ładnie pachnie. Jej zęby są... eee... równe. Ma oczy w porządku. Ładne usta.

No tak, ale to wszystko, co mówi... To już nie jest takie w porządku. Za to Libby ma mnóstwo ciekawych rzeczy do powiedzenia i nic z tego nie jest ani okrutne, ani egoistyczne.

„Dlaczego to robisz?”, pytam swój mózg. „Dlaczego nie możesz przestać myśleć o Libby? Dlaczego tak mnie męczysz?”.

Siedzę, prowadząc głęboką rozmowę z moim umysłem, kiedy Caroline nagle mówi:

– Chyba jestem gotowa.

– Na co?

– Na to.

Próbuję spojrzeć jej w oczy, ale w pokoju panuje ciemność, nie licząc wąskiej

strużki światła sączącego się pod drzwiami i jej komórki, której ekran co chwilę się rozświetla od przychodzących wiadomości.

– Na to. Na seks. Jack, jestem gotowa na seks. Z tobą. – Zaraz potem w jej głosie pojawia się rozdrażnienie. – No, chyba że nie chcesz.

Chcę praktycznie od urodzenia, ale nie wiedzieć czemu pytam:

– Dlaczego akurat teraz?

– Słucham?

– Skąd ta decyzja teraz? Po tak długim czasie? Co się zmieniło?

Najwyraźniej moja gęba ma swój własny mózg, bo nie chce się przymknąć. Moje męskie części ciała krzyczą: „PRZESTAŃ GADAĆ, DEBILU! ZAMKNIJ SIĘ, DO CHOLERY!”. Ale moje usta nie słuchają. Dlaczego nie słuchają?

– Będziesz się ze mną o to kłócił?

– Naprawdę chcesz to zrobić pierwszy raz w tym miejscu? Rozejrzyj się. – Pokazuję na plakaty na ścianach. Wyjmuję sobie spod pleców pluszaka i macham jej przed twarzą. – Chyba nie chciałybyś robić tego na jego oczach, prawda?

– Czy ciebie zupełnie popieprzyło? – irytuje się i popycha mnie tak mocno, że spadam z łóżka.



Tańczę z Mickiem z Kopenhagi, ma takie kruczoczarne, kruczoczarne włosy i taki biały, biały uśmiech. Wymyślamy kroki, a właściwie to ja je wymyślam, a on mnie naśladowuje.

– To jest „maszyna do robienia wiatru”! – wołam i poruszam się tak, jakbym szła z trudem w wichurze. – A to „płonące buty”! – Zaczynam podskakiwać, jakby moje buty zajęły się ogniem. Jakbym nie mogła postawić ich na ziemi.

Kiedy zaczyna się wolna piosenka, Mick wyciąga rękę, a ja ją chwytam. Taniec z nim jest zupełnie inny niż taniec z Jackiem. Po pierwsze, Mick ma wzrost wielkoluda, więc moja twarz wypada na wysokości jego klatki piersiowej. Po drugie, on tylko się kołysze w przód i w tył i przesuwa stopy po podłodze.

Przestań myśleć o Jacku Masselinie. Jack cię nie chce, a przynajmniej nie na tyle, żeby dać szansę temu związkowi. Skup się na Micku z Kopenhagi, jego błyszczących zębach i wielkich dłoniach.

– Chodź ze mną – mówi Mick, a ja idę za nim. Bailey przygląda się z rozdziawionymi ustami, jak wchodzę za nim po schodach do pokoju, który zapewne należy do Dave’a Kaminskiego. Mick włącza lampkę na biurku i siada na łóżku. Staję w progu i na niego patrzę. Uśmiecha się, ja też, a potem mówi głośno, żebym usłyszała:

– Zastanawiałem się, czy mogę cię pocałować. Pragnę tego od chwili, w której zobaczyłem cię po raz pierwszy.

I chociaż to nie jest Jack Masselin – a może właśnie dlatego, że to nie jest Jack Masselin – przechodzę przez pokój, siadam obok niego na łóżku i nagle zaczynamy się całować.

Mam skręconą szyję, chciałabym ją przesunąć, ale nie mogę się ruszyć, ponieważ to Mick z Kopenhagi. Dostaję skurczu, więc poruszam się delikatnie i teraz czuję skurcz w łydce. To najgorszy ból w całym moim życiu, ale właśnie całuję się z szalenie przystojnym chłopakiem, więc postanawiam wytrzymać.

Chociaż całe moje ciało cierpi i czuję przeszywający ból dosłownie wszędzie, muszę przyznać, że Mick z Kopenhagi dobrze całuje. Przypuszczam, że ma spore doświadczenie w tym temacie, bo trochę się popisuje, udowadniając mi, jak jego język potrafi tańczyć. Nie zrozumcie mnie źle, nie ma w tym nic zdrożnego. Pewnie tak właśnie całują się w Kopenhadze. On pewnie całuje się z dziewczynami, odkąd skończył dwa lata.

Pocałunek dobiega końca, odsuwamy się od siebie i czuję dziwną potrzebę bicia brawa, bo mam wrażenie, że on tego właśnie oczekuje.

– Wow – mówi Mick z Kopenhagi.

– Wow – dyszę. Bo co jeszcze mogłabym powiedzieć? „Następnym razem nie staraj się aż tak bardzo?” Czy może: „Wybacz, ale teraz muszę chwilę pochodzić, bo złapał mnie skurcz”?

– Byłaś kiedyś w Skandynawii?

– Nie. – Nigdzie nie byłam, oprócz Ohio. Ciekawe, czy on wie, że spędziłam część życia zamknięta w czterech ścianach.

– Powinnaś kiedyś się wybrać.

Ja słyszę jednak coś innego: „Może cię tam zabiorę. Może pojedziemy razem, pokażę ci, skąd pochodzę, poznasz moją rodzinę i będę cię kochał po wsze czasy”.

I chociaż nie chcę wcale poznawać jego rodziny i nie chcę, żeby mnie kochał po wsze czasy, znów go całuję. Ponieważ kiedy się z nim całuję, nie ma już najgrubszej nastolatki w Ameryce – przynajmniej chwilowo. Nie ma dźwigów i szpitali. Nieżyjącej mamy. Mosesa Hunta. A przede wszystkim nie ma Jacka Masselina.

Jestem tylko ja. Ten chłopak. I nasz pocałunek.



Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Caroline płakała, więc przez dłuższą chwilę siedzę ogłupiały i zastanawiam się, co zrobić. Caroline czka i rzezi, jakby nie mogła złapać oddechu. Głaszczę ją jak psa, ale zrzuca moją rękę.

– Dlaczego mnie nie chcesz? – Jej głos brzmi, jakby była malutka, jakby złożyła się na pół, a potem jeszcze raz na pół i jeszcze. – Co takiego we mnie jest? – Teraz już w ogóle głupieję, ponieważ to strona Caroline, o której istnieniu nie wiedziałem. Czy to możliwe, że jest tak samo niepewna siebie jak my wszyscy?

– Jesteś śliczna – odpowiadam. – Jesteś Caroline Amelia Lushamp. – Ale wiem, że ona nie o to mnie pyta. Powiedz, że jej pragniesz. Jednak nie mogę, ponieważ tak nie jest. Nie pragnę jej w taki sposób. Zaczynam się plątać. Powtarzam jej w kółko, kim jest i jaka jest śliczna – nawet wtedy, gdy ona zaczyna się ubierać. Nawet wtedy, gdy bierze swoją komórkę.

– Nie mogę tego dłużej ciągnąć – stwierdza i otwiera drzwi, wpuszczając do środka światło. Jestem oślepiony, a kiedy odzyskuję wzrok, jej już nie ma.



Całujemy się przez całą wieczność.

Nawet wtedy, gdy ktoś gramoli się do pokoju, oślepia nas na chwilę, włączając górne oświetlenie, po czym wychodzi.

Całujemy się, aż czuję mnóstwo jego rąk na sobie i jego język w moim uchu i myślę: „Nie chcę być Pauline Potter. Nie chcę, żeby on był moim pierwszym. Nie chcę, żeby on był moim którymkolwiek”.

Odsuwam się więc, mówiąc:

– Przepraszam, Micku z Kopenhagi, ale nie jestem Pauline Potter.

On siada i pyta:

– Kim?

– Nieważne. Chyba muszę się napić. Przepraszam, ale nie chcę się już całować.

Spodziewam się, że będzie zrozpaczony, ale on wzrusza ramionami i się do mnie uśmiecha.

– Okej – mówi.

Pomaga mi wstać, idziemy, a ja wygładzam włosy i bluzkę. Idę za nim i chociaż nie mam ochoty na pieszczoty z Mickiem z Kopenhagi, on jest taki uroczy, że stwierdzam w duchu: „Dziewczyno, jesteś chciana”. To cholernie fajne uczucie.



Kam jest w kuchni, pochłania shota za shotem. Białe włosy przykleiły mu się do głowy, jedną ręką obejmuje dziewczynę, którą być może jest Kendra Wu (drobna Azjatka, długie czarne włosy zaplecione w warkocz).

– Co pijemy? – pytam. Dziewczyna, która być może jest Kendrą Wu, podaje mi coś brązowego, co nie wygląda jak piwo.

Wlewam to sobie do gardła, krtań mnie pali, jakbym nawdychał się benzyny.

– Jeszcze jeden – żądam, a wtedy wszyscy zaczynają mi podawać kieliszki.

Kam wypija swojego shota i odstawia kieliszek z hukiem na blat. A potem wyrzuca do góry obie ręce zwinięte w pięści i wyje.

* * *

Chwilę później przeciskam się między ludźmi, rozglądając się w poszukiwaniu czarnego irokeza, ponieważ jestem zbyt napruty, żeby samemu jechać, a nagle ogarnia mnie chęć powrotu do domu. Chcę natychmiast wracać do domu. Znajduję irokeza przy basenie, na głowie kogoś, kto zapewne jest Sethem. W tym momencie nie chce mi się podglądać, by się upewnić, czy to na pewno on. Od razu podchodzę do gościa, który jest chyba Sethem, i mówię:

– Musisz mnie odwieźć do domu.

– Jasne, Mass. Jak skończymy. – Podnosi jointa, zaciąga się i wybucha śmiechem bez powodu.

Wrywam mu skręta i sam się zaciągam, ponieważ być może na tym właśnie polega sekret życia. Może to da mi odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Zamiast tego przez dobre pięć minut kaszlę jak stary gruźlik. Ktoś podaje mi drinka do popicia, a wtedy basen się nagle przechyla i ziemia się przechyla, a potem niebo jest tam, gdzie powinna być ziemia, a chłopak z irokezem pochyla się nade mną i pyta:

– Wszystko okej, Mass?

Zamykam oczy, ponieważ nie, nic nie jest okej. Mam ochotę tak leżeć w miejscu nieba, gdzie powinna być ziemia, ale przy zamkniętych powiekach świat jeszcze bardziej się chwieje. Podnoszę je i jakimś cudem wstaję. Mam wielką nadzieję, że jest tu gdzieś Bailey Bishop, bo ona na pewno nie wypła ani grama. Tylko że ona nie zawsze bywa na imprezach, a poza tym w życiu jej nie znajduję w tłumie blondynek. Wracam do środka

i mam wrażenie, że ludzi jest jeszcze więcej, jakby podczas mojej krótkiej nieobecności przyszła brać uczniowska z trzech kolejnych szkół średnich.

Oczywiście nikogo nie znam.

Przepycham się do kuchni, potem do jadalni i salonu. Ludzie na mnie wrzeszczą, jakaś laska chwyta mnie za rękę i się trzyma, jakby to była szalupa ratunkowa. Pachnie jak Caroline, ale to nie jest Caroline – jest koścista, biała i ma kręcone włosy w kolorze margaryny.

– O mój Boże, Jack Masselin! – woła i całuje mnie prosto w usta.

Smakuje papierosami, więc ją odpycham.

– Ty dupku – odpowiada, po czym się odwraca i zaczyna tańczyć ze stojącymi obok niej ludźmi.

Łamię każdą zasadę, którą stworzyłem na takie właśnie sytuacje – nie uśmiecham się, nie witam skinieniem głowy, nie mówię: „Hej, i co tam?”. Nie flirtuję z każdą dziewczyną. Utrzymuję kontakt wzrokowy, jakbym nagle rozpoznawał wszystkich (tak nie jest). Na jednego chłopaka patrzę tak długo, że pyta:

– Co się tak, kurwa, gapisz?

Mam to w nosie. Jestem nakręcony jak nie wiem co, bo czuję się, jakbym robił coś bardzo niebezpiecznego, jakby w każdej chwili mogli mnie na tym nakryć.

Pokój, w którym się znajduję, powiększył się trzykrotnie, a ściany znajdują się kilometry ode mnie. Pomiędzy nimi tłoczy się mnóstwo ludzi, w życiu się nie precisnę. Czuję się jak gwiazda rocka, obce osoby ciągną mnie za koszulkę, za rękę, za wszystko. Przepycham się mocniej, przecież gdzieś tu muszą być drzwi, a ja przede wszystkim potrzebuję teraz powietrza. Moje płuca są wypełnione oparami dymu i alkoholu, w uszach mi huczy od dudniącej muzy, a mój mózg został zbombardowany informacjami, których nie jestem w stanie przetworzyć.

Mógłbym sam się zawieźć do domu. Tylko że jestem pijany i nie mogę nie chcę nie powinienem prowadzić.

– Gdzie są drzwi? – pytam kogoś.

– Co?! – odkrzykuje.

– Gdzie są drzwi?! – Ja też krzyczę.

– Tam. – Pokazuje skinieniem głowy.

Gdy się odwracam, jakaś dziewczyna na mnie wpada i prawie tracę równowagę. Ona chwyta mnie za ramię i się śmieje, śmieje się bez końca. Ujmuje moją dłoń i zaczyna się okręcać w rytm muzyki. Puszczam ją.

Nagle zaczyna mi brakować powietrza, mam wrażenie, że znika tlen. Zostało go już niewiele, przed oczami widzę nas wszystkich leżących na podłodze jak ofiary masowego samobójstwa członków sekty. Muszę koniecznie dostać się do drzwi albo okna, jednak to pomieszczenie mnie pochłonęło, a wraz z nim ci ludzie i ta muzyka. Jakim cudem oni nie panikują? Wszyscy wydają się szczęśliwi, jakby się świetnie bawili. Dlaczego nie martwią się brakiem powietrza?

Nie przypominam sobie, żeby dom Kama był tak wielki i skomplikowany, ale wydaje mi się kolosalny.

– Hej, jak się stąd wydostać? – pytam jakiegoś gościa.

– Co?

– Gdzie są drzwi?

– Przecież ci, kurwa, mówiłem, gdzie są.

To jak najgorsze *déjà vu*. A jeśli zostałem tu uwięziony podczas próby znalezienia wyjścia i będę na okrągło zaliczał te same rozmowy i te same interakcje?

Mam ochotę zrezygnować, dać się ponieść tłumowi, aż wszyscy przerodzą się w jedną wielką masę niezliczonych kończyn, ust i uszu. Ta masa mnie zmiażdży albo udusi, stanę się płaski jak papierowa laleczka, ale może wyniesie mnie na zewnątrz, gdzie uniosę się na wietrze albo popłynę pod jakiś krzak i będę tam leżał spokojnie przez wieki.

Zamykam oczy, a gdy je znów otwieram, tuż za tłumem widzę drzwi wejściowe. Zaczynam się przepychać w ich stronę, kiedy nagle wpadam na Caroline. To musi być ona. Ten sam czarny T-shirt, te same spodnie. Odwraca się, nie widzę pieprzyka, ale tłumaczę sobie, że go starła, gdy się rozbierała albo tańczyła. Zanim zdoła cokolwiek powiedzieć, chwytam ją i całuję.

Ona może mnie odwieźć do domu. Pomoże mi się stąd wydostać, przeproszę ją, wybaczy mi i wszystko będzie dobrze.

To długi pocałunek, jeden z moich najlepszych, ale od razu wiem, że coś jest nie tak. Mimo to nadal ją całuję, a gdy się w końcu odsuwam, mówię do niej:

– Tak właśnie za tobą tęskniłem.



– Czy to Jack? – Iris pokazuje palcem.

Odwracamy się wszystkie cztery jak jeden mąż idealnie w tym momencie, w którym Jack Masselin chwytą jakąś dziewczynę i zaczyna ją całować.

Moje koleżanki spoglądają na mnie, a ja sobie uświadamiam, że zakryłam usta dłonią. Dotykam warg, które przed chwilą całował Mick z Kopenhagi, i myślę sobie, że Jack ma prawo całować się, z kim zechce, ale ja nie muszę na to patrzeć.

Przepycham się do drzwi prowadzących do ogrodu, jak najdalej od Jacka i tej dziewczyny. Słyszę, że Bailey woła moje imię, ale się nie zatrzymuję. Nie mogę. Nie mogę też oddychać.

Wychodzę na chłodne nocne powietrze, wymijam wszystkich i skręcam za dom. Nagle robi się cicho, jestem zupełnie sama. Opieram się o ścianę budynku i wypełniam płuca tlenem.



Caroline ma bardzo dziwny wyraz twarzy, gdy mnie mierzy wzrokiem. Chwilę później są dwie Caroline, jedna obok drugiej. Takie same czarne koszulki, takie same spodnie, tyle że ta druga ma pieprzyk przy oku.

Piosenka dobiega końca, na moment zapada cisza.

– Jesteś sukinsynem! – mówi Caroline z pieprzykiem.

I chociaż znów gra muzyka, wszyscy teraz patrzą na nas.

Zaczyna płakać, czka i rzezi, po kościach czuję, że to jest Caroline, a nie tamta. Tamta, która stoi z błyskiem w oku i ustami skrzywionymi w udawanym grymasie. Kimkolwiek jest ta dziewczyna – zapewne kuzynką – widać, że świetnie się bawi. Miałbym ochotę zawołać: „Przecież to twoja krewniaczka, miejże litość”. Ale w moich ustach zakrawałoby to na hipokryzję, prawda?

Robię więc jedyną rzecz, jaką mogę zrobić w takiej sytuacji. Podchodzę do sprzętu grającego, wyłączam muzykę i oznajmiam wszystkim zebranym:

– Cierpię na rzadkie schorzenie neurologiczne zwane prozopagnozją, co oznacza, że nie rozpoznaję twarzy. Widzę wasze twarze, ale wystarczy, że się odwrócę, i zapominam, jak wyglądały. Nie jestem w stanie przywołać ich obrazu, a kiedy widzę was ponownie, jest tak, jakbyśmy się nigdy wcześniej nie spotkali.

W pokoju panuje kompletna cisza. Próbuję odnaleźć w tłumie Caroline, odczytać coś z jej miny. Próbuję znaleźć kogokolwiek znajomego, ale wszyscy są tu obcy. Razem tworzą zbiór kamieni, stado identycznych pand, nie do odróżnienia. Serce łomocze mi jak oszalałe, w uszach słyszę pulsowanie krwi. Zdaję sobie sprawę, że się trzęsę, chowam ręce w kieszeniach, żeby nikt tego nie zauważył. Powiedzcie coś. Ktokolwiek.

– Nie pierdol, Mass! – woła ktoś. Rozlega się rechot, wszyscy pokładają się ze śmiechu. Znów dudni muzyka, jakaś dziewczyna podchodzi do mnie i mnie policzkuje. Nie mam pojęcia, kim jest. Wszyscy uważają, że to świetny żart. Uważają, że ja jestem żartem. Widzę, że zwracają się przeciwko mnie.

Jedyne filmy, jakie zawsze oglądałem z przyjemnością, to stare czarno-białe horrory. Mam problemy z rozróżnianiem ludzi, ale bez problemu rozpoznam wilkołaka, King Konga, Drakulę. W tej chwili patrzę na bandę wieśniaków – identyczne twarze – wyposażonych w kije i pochodnie, goniących potwora Frankensteina na sam kraniec klifu. Tylko, że tym potworem jestem ja.

Przepycham się pomiędzy nimi, bo nic innego nie mogę zrobić. Wyciągają szyje, żeby mnie zobaczyć, kiedy toruję sobie drogę do drzwi. Ktoś mi podkłada nogę, ktoś woła:

– Popatrz na mnie, nie widzę twarzy.

Udaje mumię, idzie z wyprostowanymi rękami, wpada na ludzi i na ścianę. Rzucam się do drzwi, otwieram je szybko i próbuję obejść wielkiego faceta, który stoi na schodach. Nagle dostaję potężny cios między łopatki i lecę na trawnik, lądując na kolanach. Dopiero po chwili otrząsam się z bólu i zaskoczenia. Ktoś wyciąga do mnie rękę, przyjmuję ją bez namysłu. Pomaga mi wstać, a wtedy widzę, że ręka należy do tego samego olbrzyma, który mnie uderzył.

– Hej, Mass! – mówi. – Wyglądasz jak pół dupy zza krzaka. To chyba nie jest twój dzień. Niestety, za chwilę będzie jeszcze gorszy.

I bierze zamach. Jego pięść zbliża się do mnie zbyt szybko, nie jestem w stanie zrobić uniku ani się ruszyć. Czuję cios za ciosem, być może nie tylko on się do mnie dobrał. W którymś momencie słyszę własny głos mówiący:

– Dołóżcie więcej kamieni.

A potem wszystko spowija ciemność.



Obchodzę dom i właśnie wylaniam się z za rogu, kiedy widzę, jak Moses Hunt wali Jacka Masselina w plecy. Jak na zwolnionym filmie Jack upada na trawę, a ja mogę przysiąc, że słyszę huk. Teraz Moses bije go po twarzy, a któryś z jego braci, być może Malcolm, kopie go w żebra.

Nie mam czasu do namysłu. Chyba wydaję z siebie jakiś wrzask, ponieważ czuję, jak mi pękają bębrenki, widzę odwracające się twarze Mosesa, Malcolma i Reeda Younga oraz ich kumpli. Patrzą z rozdziawionymi ustami, jak rzucam się w ich stronę.

Uderzam Mosesa prosto w nos, aż go odrzuca do tyłu. A potem spycham wszystkich z Jacka i nawet przy tym nie myślę, bo nagle wypełnia mnie supermoc. W pojedynkę walczę z nimi wszystkimi, dopóki nie zjawiają się Dave Kaminski, Seth Powell i Keshawn Price i nie płoszą napastników.

Patrzę, jak bracia Hunt uciekają z podkulonymi ogonami, a Dave pochyla się nad Jackiem i nim potrząsa.



Pierwszą twarzą, jaką widzę, jest twarz Libby. Przez chwilę nie mam pojęcia, gdzie jestem, myślę, że może to sen, w którym ją przywołałem. Wyciągam rękę i dotykam jej policzka. Libby uderza mnie i odpycha.

– Oprzytomniał.

Ale ja muszę się upewnić, czy jest prawdziwa, i dlatego szczypię ją w nos.

– Przestań, proszę, Jack. Jestem realna.

Obok niej pojawia się chłopak o bardzo białych włosach.

– Zamierzali cię chyba zabić, Mass.

– Nic mi nie jest. – Macam się po klatce piersiowej, szukam serca, sprawdzam, czy nadal bije. A kiedy wyczuwam, jak się szamoce, powtarzam: – Nic mi nie jest.

Zza ramienia Kama wychyla się głowa z irokezem.

– Facet, ona uratowała ci tyłek – mówi i zaczyna się śmiać jak głupek.

* * *

– Odwiozę cię do domu – mówi Libby.

– Nie masz prawa jazdy.

– Poważnie?

– No co? Ja mogę jechać. – Chociaż wiem, że nie mogę nie chcę nie powinienem.

– PIŁEŚ! Gdzie stoi twój samochód?

– Kawalek dalej, po prawej stronie. Jakies trzy domy stąd.

Wymija mnie i rusza przodem, prowadzi mnie z dala od tej imprezy, a ja wyczuwam powiew czegoś przyjemnego – zapach słońca.



Początkowo milczymy. Zupełnie jakby samochód działał na siłę naszych umysłów, jakby większe skupienie oznaczało, że szybciej dotrzemy do celu. Jack wygląda przez szybę, nic nie robi, tylko siedzi, ale jestem absolutnie i całkowicie świadoma jego obecności. Tego, jak opiera jedną rękę na siedzeniu, a drugą na oknie. Jak co chwilę lampy uliczne odbijają się złotem w jego ciemnych włosach. Jak ma nogi dłuższe od moich i jak siedzi, niedbale i swobodnie, bez względu na to, gdzie się znajduje.

Chyba wyczuwa, że o nim myślę, bo nagle mówi:

– Dobrze jest tak sobie siedzieć. Z jednym celem na horyzoncie. Wiedząc, dokąd zmierzamy. Wiedząc, co zrobimy, gdy dojedziemy na miejsce. Jasno i przejrzysto. Czarno na białym.

– Pewnie tak. – Doskonale rozumiem, co ma na myśli.

– Wiesz, kim jest Herschel Walker? – pyta, patrząc na mnie.

– Futbolista amerykański?

Jack gwizdże i zaraz łapie się za szczękę.

– Auu.

– Kiedy człowiek jest zamknięty w domu, ogląda sporo telewizji – wyjaśniam. Nawet rzeczy, które go nie interesują, na przykład kanały sportowe oraz programy z cyklu „Jak wyremontować dom”.

– W takim razie, jak już zapewne wiesz, był jednym z najlepszych zawodników *running back* w historii. Ale kiedy był młodszy, bał się ciemności – tak naprawdę przerażała go. Do tego miał nadwagę i się jąkał, inne dzieciaki strasznie go z tego powodu prześladowały. I wtedy stworzył w sobie niesamowitego Hulka, kogoś, kto jest w stanie postawić się innym i nigdy nie dawać za wygraną.

Uznaję, że podoba mi się Herschel Walker i że na swój sposób też jestem takim Herschelem Walkerem.

– Codziennie czytał na głos i dzięki temu oduczył się jąkania. W gimnazjum zaczął ostro ćwiczyć i zanim poszedł do liceum, był już naprawdę niezły. Skończył szkołę z wyróżnieniem, a na trzecim roku studiów na Uniwersytecie Georgii zdobył Heisman Trophy[10]. Kiedy skończył z futbolem zawodowym, zaczął zauważać pewne zmiany w swoim zachowaniu. Wkrótce się dowiedział, że cierpi na zaburzenie tożsamości. Rozdwojenie osobowości.

Jack macha ręką jak pan Dominguez, kiedy z nim jeździmy.

– Musiałabyś zjechać na lewy pas.

Zmieniam pas i zatrzymuję się na czerwonym.

– Na następnych światłach w lewo w Hillcrest.

Mam w głowie mapę okolicy, bo to moja dawna dzielnica. Poznałam tu każdą uliczkę, gdy dostałam mój pierwszy rower. Jeździłam wszędzie, mama za mną biegła, śmiejąc się, i wołała: „Libby, jesteś za szybka!”, chociaż wcale tak nie było. Pamiętam jednak, że dzięki niej czułam, iż mogę wszystko.

– Po tylu latach zmuszania się do wysiłku i niedawania za wygraną wewnętrzna presja przyduśiła Herschela. Zapytany o swoją chorobę, porównał ją do noszenia czapek. Inna na każdą okazję. Do szkoły, na narty, do pracy. Ale przy zaburzeniach tożsamości te czapki się ze sobą mylą. Czapkę sportową zakładasz w domu, rodzinną do pracy...

– Za dużo czapek. – Chyba wiem, jak to jest.

– Po pewnym czasie zaczynają się mieszać.

Zastanawiam się, czy nadal mówi o Herschel Walkerze, czy może o sobie samym.

– Wydaje mi się, że jesteśmy bardziej jak Herschel Walker niż jak Mary Katherine Blackwood. Właściwie to uważam, że w niczym jej nie przypominamy – stwierdza.

Wyczuwam na sobie jego spojrzenie, ale nie odwracam głowy.

– Dziękuję za to, że mi dzisiaj pomogłaś – mówi.

– Wolę o tym myśleć w kategoriach ratunku.

– Dobrze. Dziękuję za to, że mnie uratowałaś.

Teraz wreszcie na niego spoglądam. Uśmiecha się. Uśmiech wypełza mu powoli na twarz, liże go jak promienie wschodzącego słońca, by po chwili załśnić jak niebo w samo południe. Siadam na jednej dłoni, żeby nie zasłonić sobie oczu, jeśli tego właśnie ode mnie oczekuje.

I też się uśmiecham.

Nasze spojrzenia się spotykają.

Żadne z nas nie odwraca wzroku, nie chcę tego robić, nawet wtedy, gdy się napominam: „Przecież prowadzisz samochód. Halo!”

W końcu jednak przenoszę wzrok na przednią szybę, chociaż widzę wszystko jak przez mgłę. Czuję, że on nadal na mnie patrzy.

Musisz się uspokoić, dziewczyno. Uspokój. Się.

Wjeżdżamy w koleinę, samochód Jacka wydaje z siebie dźwięk, jakby miał się rozpaść.

– Chryste, co za gówniany wóz – mówi Jack.

* * *

Skrećamy w moją dawną ulicę, Capri Lane. Nie byłam tu od tamtego czasu, kiedy mnie wywieźli do szpitala. Jack coś mówi, ale nie słucham, bo zalewają mnie wspomnienia. Moja mama. Uwięzienie w czterech ścianach. Uczucie, że nie mogę oddychać, przekonanie, że właśnie umieram. Ratunek.

Kiedy się obudziłam w szpitalu, wszystko było białe. Niebieski, szary, czarny i biały, tylko te kolory były na świecie.

– Miałaś napad lęku – wyjaśnił mi tata. – Będzie dobrze, ale musimy zyskać pewność, że to się nie powtórzy.

Zbliżamy się do mojego domu, widzę go coraz dokładniej, tyle że w niczym nie przypomina dawnego budynku. W końcu tamten musieli zburzyć, prawda? Chociaż to było ostatnie miejsce, w którym widziałam mamę żywą. Chociaż każdy kąt wypełniały wspomnienia.

Jestem pewna, że miniemy go i pojedziemy dalej, ale Jack każe mi się zatrzymać. Początkowo sądzę, że to jakiś podły żart, ale nie, on macha ręką w stronę stojącego naprzeciwko domu.

– Zobaczą, czy jest mój brat, jeśli już wrócił, odwiezie cię do domu. – Wysiada z land rovera i rusza w stronę drzwi.

Ja ani drgnę.

Dopiero po chwili – jakimś cudem – zmuszam się do otwarcia drzwi. Stawiam jedną stopę na ziemi. Przesuwam się. Stawiam drugą. Wstaję.

– To jest twój dom? – pytam.

– Chodź – odpowiada, a potem patrzy poza mnie, na miejsce, w którym kiedyś mieszkałam, i twarz mu tężeje, jakby zobaczył ducha.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – Słowa z trudem wydostają się z moich ust.

Nie odpowiada, wygląda, jakby doznał jakiegoś udaru.

– Jack? Od jak dawna tu mieszkasz? W tym domu.

Milczy.

– Odpowiedz.

– Całe moje życie.

Świat nagle się zatrzymuje.

– Powiesz mi, co się stało, Libbs? Powiesz mi, dlaczego wpadłaś w taką panikę?

– Z powodu wszystkiego. – Tak brzmiała moja odpowiedź, chociaż wiedziałam, że tata oczekuje czegoś więcej. Czegoś bardziej konkretnego. – Ciebie. Mnie. Tętniaków. Śmierci. Nowotworów. Morderstw. Zbrodni. Podłych ludzi. Zgniłych ludzi. Dwulicowców. Tyranów. Klęsk żywiołowych. Z powodu całego świata. Zwłaszcza tego, że daje nam ludzi do kochania, a potem odbiera.

W rzeczywistości odpowiedź była znacznie prostsza: postanowiłam się bać.

* * *

Nie wiem, jak długo milczę.

– Kiedyś tu mieszkałam – mówię w końcu i pokazuję na nowy dom, piękny, duży, nienaruszony, postawiony na szczątkach mojego starego. W niczym nie przypomina poprzedniego.

– Wiem.

– Skąd wiesz? – Czekam. Chcę to usłyszeć.

– Ponieważ widziałem, jak cię stąd zabierali.

10 Prestiżowa nagroda indywidualna w USA przyznawana od 1935 roku najwybitniejszemu zawodnikowi w futbolu uniwersyteckim.



Marcus prowadzi, ja siedzę z tyłu. Mój brat jest zły, że musiał wyjść z domu, rzuca mi mordercze spojrzenia w lusterku wstecznym. Nawet nie włączył radia, taki jest wkurzony. Jedziemy w milczeniu przerywanym jedynie przez Libby, która mówi: „Skręć tutaj”, „Teraz w prawo”. Jej głos brzmi lodowato. Teraz, kiedy nic nie robię, tylko siedzę, czuję, jaką mam ciężką głowę od wypitego alkoholu.

W samochodzie jest tak cicho i ciepło. Chyba na chwilę odpływam, bo nagle rozlega się buczenie mojej komórki, a ja podskakuję. Wyławiam ją z kieszeni i widzę, że to wiadomość od Kama.

Wszystko OK u ciebie?

Odpisuję: Tak.

Seth coś wspominał o ślepotcie.

Wpatruję się w wyświetlacz, potem w tył głowy Libby. Wyłączam telefon, żeby za chwilę włączyć go z powrotem. Piszę:

Moja ślepotka dotyczy wyłącznie twarzy. Nie rozpoznaję ludzi, to się nazywa prozopagnozja. Właśnie usłyszałem diagnozę.

Kiedy nie odpisuje, chowam komórkę do kieszeni.

Ogarnia mnie pragnienie, by przerwać tę ciszę krzykiem, ale tego nie robię. Po kilku minutach mój telefon znów buczy, jednak nie mam ochoty sprawdzać, o co chodzi.

* * *

W końcu wjeżdżamy w jej rejony, Marcus zwalnia, wlecze się jak żółw i wygląda przez okno. Z jednej strony mam nadzieję, że nigdy nie znajdziemy jej domu, a wtedy będę mógł wszystko naprawić. Z drugiej strony mam dosyć. Koniec. Koniec Libby, koniec wszystkiego.

A potem przychodzi nieuchronne, zatrzymujemy się pod jej domem, a ja po raz kolejny myślę, że wygląda identycznie jak wszystkie pozostałe. Gdybym ja miał zaprojektować dom dla Libby Strout, to byłoby coś wyjątkowego. Jedyne w swoim

rodzaju. Jaskrawoczerwony budynek o blaszanym dachu, co najmniej dwupiętrowy, może nawet wyższy. Najnowocześniejsza stacja pogodowa, mnóstwo wieżyczek. I jedna duża wieża, ale nie po to, by ją w niej zamknąć, ale żeby mogła sobie usiąść i spoglądać na miasto oraz poza nie, aż po horyzont, a może jeszcze dalej.

– Jesteśmy – mówi Marcus.

Libby mu dziękuje i niemal wyfruwa z samochodu. Ciągle zapominam, jaka jest szybka. Zanim zdążam się wygramolić, ona już jest pod drzwiami.

Okręca się na pięcie.

– Co, Jack? Co? No powiedz, co?

– Przepraszam, że nic nie powiedziałem. Nie chciałem cię wprawiać w jeszcze większe zakłopotanie, wystarczyło tego, co narobiłem.

– Mogłeś chociaż wspomnieć.

– Mogłem. Jeśli to w czymś pomoże, napiszę ci list z przeprosinami. – Uśmiecham się do niej z nadzieją, ale macha ręką, jakby chciała zmasać mi go z twarzy.

– Nie. Zachowaj to dla siebie, Jack. Rozumiesz? Daj spokój z tymi uśmiechami, one na mnie nie działają. Tak się martwisz, że nigdy się do nikogo nie zbliżysz, ale to nie prozopagnozja jest powodem. Powodem jesteś ty sam. Te wszystkie uśmiechy, oszustwa, udawanie, że jesteś tym, kim inni chcą, żebyś był. To dlatego trzymasz się na uboczu, to jest twój największy problem. Musisz się postarać być prawdziwy.

Uśmiech znika mi z twarzy.

– Nie licząc śmierci mojej mamy, to burzenie domu, żeby mnie wydostać, było najgorszą chwilą w moim życiu. Wiesz, że dostawałam listy od hejterów? Każdy miał coś do powiedzenia na temat tego, co się wydarzyło, na temat mojej tuszy, mojego taty. Chcieli, żebym wiedziała, jak są obrzydzeni tym wszystkim i jaka ja jestem obrzydliwa. Przysyłali je do szpitala i do domu. Znaleźli mój adres mejlowy i dostawałam je bezpośrednio na skrzynkę. Kto robi takie rzeczy? Kto widzi artykuł i stwierdza: „Dobra, napiszę do niej list i powiem jej, co o tym myślę. Hmm, czy powinienem wysłać to na adres szpitala, czy dostarczyć osobiście?”? Ty i twoi bracia też mieliście z tego niezłą polewkę?

Jej oczy błyszczą wściekle. Rzuciła mi wyzwanie, chce, żebym powiedział: „Tak. Właśnie tak. Zrywaliśmy boki ze śmiechu. Uwielbiamy patrzeć, jak ludzie prawie umierają”.

– Przepraszam – mówię.

W tym momencie chciałbym napisać jej nie jeden list z przeprosinami, ale całe setki. Jeden za każdą wstrętną osobę, która zrobiła lub powiedziała jej cokolwiek podłego.

– Nikt by tego nie zrobił, gdyby cię poznał. I wiesz, że nie wszyscy życzyli ci źle. My ci kibicowaliśmy. Ja ci kibicowałem.

– Co ty powiedziałeś?

– Kibicowałem ci.

Coś przemyka przez jej twarz, ona już wie, że to ja wysłałem jej wtedy tamtą książkę.



Tata siedzi przed komputerem. Kiedy tylko słyszy, że wchodzę, zrywa się i pokazuje na wiszący na ścianie zegar.

– Co się stało?

Mówię mu, bo jestem zbyt zmęczona, żeby udawać, że wszystko jest w porządku. Ale poważnie, on czasami powinien się o mnie trochę martwić. Nie mogę go ciągle chronić. Więc opowiadam mu wszystko, poczynając od Micka z Kopenhagi, bójki, Mosesa Hunta, odwiezienia Jacka do domu i uświadomienia sobie, że był tam w dniu, w którym mnie wyciągali, i że to on był Deanem z trójki Dean, Sam i Castiel. Mówię mu także o innych rzeczach – o listach, Damsels, fioletowym bikini. Jestem zmęczona, zła, smutna, załamana i pusta, ale przede wszystkim chce mi się spać. Jednak tata jest wszystkim, co mi zostało.

Podczas gdy ja mówię, on chodzi po pokoju, kiedy milknę, natychmiast się zatrzymuje.

– Muszę wiedzieć, czy nic ci nie jest. Muszę wiedzieć, czy mam jechać do Huntów i osobiście stłuc tego chłopaka.

Jest wściekły na świat rozciągający się poza naszym domem, przez to jeszcze bardziej go kocham.

– Wszystko ze mną okej, tato.

– Będiesz mi mówiła. – To pytanie. – Będiesz mi mówiła.

– Tak. Od teraz już zawsze. – A potem dodaję: – Przepraszam za wszystko, przez co musiałeś przeze mnie przechodzić.

Wiem, że on wie, że mówię o wszystkim, a nie tylko dzisiejszym wieczorze.

– Ja też cię przepraszam, Libbs.

Nagle dociera do mnie rozmiar smutku, który mój tato nosił w sobie – nie tylko ze względu na utratę żony, ale także z racji utraty współczucia ludzi, którzy go winili za to, co się ze mną stało. Jeśli kiedykolwiek był z tego powodu zły, nie dawał tego po sobie poznać. On zawsze idzie do przodu, pilnuje, żebym zdrowo się odżywiała, była bezpieczna i kochana.

A potem, może dla udowodnienia, że nie ma między nami żadnych tajemnic, opowiada mi o kobiecie, z którą się spotyka od pewnego czasu. Ma na imię Kerry i uczy matematyki w jednym z gimnazjów. Jest w jego wieku, miała jednego męża, nie ma

dzieci. Nie chciał mi mówić, bo nie jest pewien, czy cokolwiek z tego będzie i co w ogóle znaczy ich związek, a poza tym chce być ostrożny, i wobec mnie, i wobec niej. Myślę, że tak naprawdę nie chciał, żebym miała wyrzuty sumienia w związku z tym, że tylko ja, jako jedyna osoba na całym świecie, stoję w miejscu, podczas gdy wszyscy idą do przodu.

Mówię mu to, a wtedy on ujmuje moją rękę.

– To nie parcie do przodu, Libbs. To poruszanie się w inny sposób. Inne życie. Inny świat. Inne zasady. Nigdy nie zostawiamy z tyłu starego świata, po prostu tworzymy sobie nowy.



Kiedy docieramy z Marcusem do domu, jest już po pierwszej. Staję przed otwartą lodówką i przez dobrych pięć minut, może nawet dłużej, czekam, aż coś smacznego się w niej zmaterializuje – pizza, kurczak, wielki stek albo żeberka. Kiedy nic się nie pojawia, biorę puszkę napoju, jakiś dip szpinakowo-serowy, w spiżarni znajduję chipsy, po czym siadam w ciemnej kuchni i robię sobie ucztę.

Jestem w połowie paczki chipsów, kiedy leżący przy wejściu do kuchni telefon nagle się rozświecila. Wstaję, bo może to Libby, chociaż wiem, że nie. To Kam.

Cholera. Ta prozopagnozja to gówno. Ale słuchaj, każdy z nas coś ma. Wszyscy jesteśmy na swój sposób dziwni i pokręcani. Nie jesteś jedyny.

Czytam trzy razy, bo – poważnie – jestem zdumiony. Może z Dave’a Kaminskiego jeszcze będą kiedyś ludzie.

Zaraz przychodzi kolejna wiadomość.

Palant.

Odpisuję:

Kutas.

A potem zostawiam wszystko i idę na górę. Walę w drzwi do sypialni rodziców tak mocno, że otwierają się inne drzwi i pojawia się w nich chudy dzieciak o wielkich uszach.

– Jack?

– Sorry, że cię obudziłem, młody. Pójdiesz po Marcusa?

– Jasne.

Otwierają się drzwi sypialni rodziców i wychodzi zaspana kobieta. Włosy jej sterczą na wszystkie strony, jedno oko ma zamknięte.

– Jack?

Na mój widok otwiera szeroko oczy i dotyka mojej twarzy, ramion.

– Mój Boże, co ci się stało?

Wtedy sobie przypominam. A tak, bracia Huntowie sprali mnie na kwaśne jabłko.

– To nic takiego. Muszę porozmawiać z tobą i tatą.

Patrzę za jej plecy, ale sypialnia jest pusta. Gdzieś z tyłu słychać dźwięk

otwieranych drzwi i z pokoju gościnnego wylania się facet, który jest zapewne moim ojcem.

* * *

Siedzimy w piątkę na łóżku rodziców, jakby była Wigilia Bożego Narodzenia i jakbyśmy znów byli małymi dziećmi. Marcus nie powiedział ani słowa, tylko na mnie patrzy spod swojej grzywy.

– To rzadkie zaburzenie neurologiczne – tłumaczę.

Mama od razu sprawdza w Google.

– Masz problemy z widzeniem albo bóle głowy? – pyta tato.

– Może masz wstrząśnienie mózgu – sugeruje Dusty.

– To nie jest problem ze wzrokiem ani wstrząśnienie mózgu.

– Ja też czasami jestem zdezorientowany – mówi tata. – Ciągłe zapominam nazwisk. Tyle lat w sklepie, a ja nadal nie pamiętam, jak się kto nazywa.

– To nie to samo. Istnieje konkretna część mózgu zwana zakrętem wrzecionowatym, która pozwala na identyfikowanie i rozpoznawanie twarzy. Z jakiegoś powodu ja jej nie mam lub mam, ale niedziałającą.

Dusty chce wiedzieć, gdzie ta część leży, pokazuję mu, a wtedy mama znajduje rysunek mózgu. Wszyscy się pochylają nad ekranem, podczas gdy mama czyta:

– Pacjenci cierpiący na prozopagnozę mają trudności z rozpoznawaniem twarzy, mogą nie poznawać osób, które spotkali wielokrotnie i dobrze znają, także najbliższej rodziny. – Mama podnosi wzrok, jakby chciała mnie zapytać: „To prawda?”. Kiwam głową. – Prozopagnoza jest wynikiem zaburzeń przetwarzania informacji wizualnych w mózgu, może być wrodzona lub rozwinąć się później w związku z uszkodzeniem mózgu...

– Na przykład po upadku z dachu – zauważa Marcus.

Mówię im, że zostałem przebadany, mają milion pytań. Odpowiadam na nie najlepiej, jak potrafię, w którymś momencie mama stwierdza:

– Chcę, żebyście pamiętali, że nie możecie czuć się odpowiedzialni za wszystko. Jesteśmy waszymi rodzicami, rozwiążemy nasze problemy. Wy macie tylko, wy wszyscy – dodaje, patrząc na moich braci – być dziećmi i pozwolić nam się sobą opiekować.

– My wszyscy? – pyta Dusty. – Nawet ci bez rzadkich zaburzeń neurologicznych?

– Tak. Wszyscy.



Zawsze uważałam, że powinna istnieć możliwość zatrzymania czasu. Można by było wcisnąć przycisk „pauza” w naprawdę dobrym momencie życia, żeby nic się nie zmieniało. Pomyślcie tylko. Bliscy by nie odchodzili. Nie starzelibyście się. Szlibyście spać wieczorem, a rano wszystko byłoby tak, jak to zostawiliście. Żadnych niespodzianek.

Gdybym mogła zatrzymać czas, wybrałabym chwilę, w której miałam osiem lat, gdy zasypiałam na ramieniu taty z George’em leżącym mi na kolanach.

Oto, co mogę powiedzieć o poczuciu straty:

Z czasem wcale się nie zmniejsza. Po prostu człowiek w pewien sposób się do niego przyzwyczaja.

Nigdy nie przestajemy tęsknić za tymi, którzy odeszli.

Jak na coś, czego już nie ma, uczucie to waży naprawdę sporo.

W chwili, w której zaczęłam się tak naprawdę objadać, poczucie straty było tak wielkie, że miałam wrażenie, iż niosę na swoich barkach ciężar całego świata. Dźwiganie tuszy niczego więc nie zmieniało. Ale próba uniesienia jednego i drugiego jednocześnie okazała się nie do przejścia. I dlatego czasami trzeba coś odstawić. Nie da się dźwigać wszystkiego bez ustanku.



Kiedy idę do łóżka, już prawie świta. Leżę na kołdrze, w butach i ubraniu, w pełni obudzony, i gapię się w sufit. Czuję się pełen, a jednocześnie pusty, ale nie w negatywnym tego słowa znaczeniu. Może „pusty” to niewłaściwe określenie. Czuję się lekki.

Być może kocham Libby Strout.

Nie że tylko ją lubię.

Kocham.

Kocham jej gardłowy śmiech, który brzmi, jakby była przeziębiona. Kocham to, jak chodzi – jakby znajdowała się na wybiegu dla modelek. Kocham jej wielkość i wcale nie mam na myśli fizycznej wagi.

A potem zaczynam myśleć o jej oczach. Gdybyście mnie zapytali, jak wyglądają oczy Caroline, nie potrafiłbym ich opisać. Jestem w stanie to zrobić, gdy w nie patrzę, ale nie, gdy jej nie ma.

Za to potrafię opisać oczy Libby.

Są jak leżenie na trawie pod gołym niebem w letni dzień. Człowiek jest oślepiiony słońcem, ale czuje pod sobą ziemię, więc choć myśli, że mógłby unieść się w przestworza, wie, że tego nie robi. Jest rozgrzewany od środka i od zewnątrz, a kiedy się oddala, nadal czuje to ciepło na swojej skórze.

Mogę też opisać inne rzeczy.

Na twarzy Libby znajduje się konstelacja piegów, które przypominają mi gwiazdozbiór Pegaza (lewy policzek) i gwiazdozbiór Łabędzia (prawy policzek).

Ma rzęsy tak długie jak moje ramię, a gdy flirtuje, specjalnie powoli nimi mruga, co mnie po prostu zwala z nóg.

No i jej uśmiech. Powiem tylko, że jest niesamowity, pochodzi gdzieś z głębi, z miejsca, które składa się z błękitnego nieba i promieni słońca.

A potem nagle myślę: „Moment, do cholery”.

Siadam. Rozcieram skronie. Może to tylko alkohol, ale...

Od kiedy pamiętam jej twarz?

Nagle budzi się we mnie szósty zmysł, wracam pamięcią do tych tygodni, odkąd ją poznałem, do każdego dnia, w którym ją widziałem, do każdej chwili, w której udało mi się wyłowić ją z tłumy, znaleźć ją bez kontekstu. Sprawdzam samego siebie.

Wyobraź sobie jej brwi.

Lekko wygięte, jakby była wiecznie rozbawiona.

Wyobraź sobie jej nos.

To, jak się marszczy, gdy się śmieje.

Wyobraź sobie jej usta.

Nie tylko czerwień jej warg, ale także to, jak ich kąciki się unoszą, jak gdyby się uśmiechała, nawet wtedy, gdy tego nie robi.

Wyobraź sobie to wszystko razem.

To, jak jej kości policzkowe układają się na zewnątrz, a jej broda do wewnątrz, niemal tworząc kształt serca. Jej żywiołowość i delikatność, i blask, przez co jest taka żywa.

Przez cały ten czas sądziłem, że poznaję ją ze względu na wagę. Ale to nieprawda. To nie ze względu na wagę. To ze względu na nią samą.



Wstaję wcześnie, chociaż to niedziela. Zostawiam tacie kartkę i wychodzę z domu, opatulona kurtką i szalem. Po parunastu krokach ręce mi marzną, więc wpycham je głęboko do kieszeni. Spotykam się z Rachel w parku, ponieważ mam jej coś do powiedzenia. Wiem, dlaczego uderzyłam Jacka Masselina.

* * *

Powietrze czuć chłodem zimy, a przynajmniej jej początkiem. To dla mnie najgorsza pora roku, ponieważ wszystko umiera albo zasypia, wszędzie widzę śmierć i brak życia, niebo jest ciągle zasnuwane szarymi chmurami, można pomyśleć, że już nigdy nie wróci błękit. W tej chwili niebo jakby nie mogło się zdecydować, jest pokryte plamami niebieskiego, szarego i gdzieś tam upstrzone bielą, zupełnie jak wyblakła narzuta.

Rachel przyniosła gorący cydr z kawiarni, którą ma pod nosem. Siadamy przodem do pola golfowego i dmuchamy na napoje, żeby je schłodzić. Opowiadam jej trochę o Micku z Kopenhagi, Mosesie i odwiezieniu Jacka do domu.

– Tego Jacka?

– Tego.

Zanim jednak zaczniesz mnie o niego wypytywać, mówię o klubie tanecznym, który chcę założyć z Bailey, Jayvee i Iris.

– Najlepsze jest to, że każdy może do nas dołączyć. Nie ma ograniczeń wagowych, wzrostowych, wiekowych ani płciowych. Nie ma w ogóle żadnych ograniczeń. Wystarczy umieć tańczyć, choćby trochę. A będziemy tańczyć dla samej radości tańczenia, kiedy i gdzie tylko nam się zachce.

– Mogę się przyłączyć?

– Oczywiście.

– A będzie wirowanie?

– Koniecznie!

– Kostiumy?

– Tak, ale każdy inny.

Ona z kolei opowiada mi o swojej nowej dziewczynie, Elenie, która jest graficzką komputerową. Spotkały się w piekarni. Mówi, że mają ze sobą wiele wspólnego, różne

głupstwa, ale i ważne rzeczy, na przykład wiek, w którym dokonały coming outu wobec rodziny i przyjaciół. Rachel dmucha na napój, upija łyk i zerka na mnie znad kubka.

– Wiesz, to, co ty robisz, to też swoisty coming out. Z pokoju. Z domu. Ze skorupy.

– Pewnie tak – odpowiadam i myślę o Jacku, zamkniętym w sobie tak jak ja byłam zamknięta w moim pokoju.

Rachel chyba czyta mi w myślach, bo pyta:

– Więc dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego go uderzyłaś?

– Ponieważ po wszystkim, co przeszłam, miałam wrażenie, że on próbuje mnie złapać i wepchnąć z powrotem do domu, w którym byłam zamknięta. Jakby tym samym chciał mi wmówić, że dobrze, że panikowałam, dobrze, że się bałam.

– Nikt cię z powrotem nie zamknie, Libby. To ty decydujesz, czy i kogo wpuścisz.

– Teraz to wiem, naprawdę. Wtedy też sądziłam, że wiem, ale jednak tak nie było.

– Czyli nadal się przyjaźnicie?

– Okłamał mnie.

– Albo próbował cię chronić. Nie bronię go, ale może uważał, że postępuje najlepiej, jak się da.

– Być może.

A potem mówię jej o listach.

Rachel odstawia kubek.

– Kiedy dostałaś ostatni?

– Jakiś czas temu. Zanim włożyłam fioletowe bikini.

– Odkryłaś, kto je pisał?

– Nie, chociaż chyba wiem. Jest mi jej żal, bo ona nigdy nie dokona własnego coming outu. Swoje prawdziwe ja trzyma w ukryciu, tak żeby nikt go nie znalazł, nawet ona sama.

Rachel podnosi napój.

– Za Libby Strout, największego człowieka, jakiego znam, i nie mam na myśli powłoki zewnętrznej!

Trącamy się papierowymi kubkami.

– I za Rachel Mendes, która mnie kocha, chociaż wcale nie musi.

Prawie dodaję: „I uratowała mi życie”, ponieważ myślę o sobie w wieku jedenastu, a potem trzynastu lat. Tamta dziewczyna wydaje się kimś zupełnie innym, kimś z innego życia, jakby nie miała nic wspólnego z osobą, którą jestem teraz. A jednak bez niej nie byłabym sobą. Nie byłabym Libby Strout z trzeciej klasy szkoły średniej, z własną kliką przyjaciół. Nie tańczyłabym, nie zgłosiłabym się do Damsels. Nie stanęłabym we własnej obronie, nie włożyłabym fioletowego bikini. Nie pojechałabym do Bloomington ani Clara’s z chłopakiem, który mi się podoba. Bardzo podoba. Nie pozwoliłabym sobie złamać serca, ponieważ zbyt bym się bała. I chociaż złamane serce boli jak cholera, jest o wiele lepsze niż zupełny brak czucia.

I jeszcze jednego bym nie robiła: nie siedziałabym na tej ławce, z zimnym powietrzem szczypiącym mnie w nos i policzki, nie piłabym gorącego cydru z dobrą przyjaciółką. I chociaż wtedy nie wiedziałam jeszcze, że taka chwila kiedyś nadejdzie, chciałam wydostać się na świat, by być jej świadkiem.

* * *

Kiedy Rachel odchodzi, zostawiam na ławce moją książkę, tę książkę, *Zawsze mieszkaliśmy w zamku*. Dołączam do niej liścik:

Drogi przyjacielu,

Nie jesteś dziwakiem. Jesteś chciany. Jesteś potrzebny. Jesteś jedyny w swoim rodzaju. Nie bój się opuścić zamku. Na zewnątrz czeka na ciebie wielki świat.

Pozdrowienia
Czytelniczka



Jej tata mówi mi, że Libby jest w parku z przyjaciółką, więc tam właśnie się kieruję. Dzwoni moja komórka, to Kam, ale nie odbieram.

A gdyby zadzwoniła doktor Klein z informacją, że się pomyliła, że jednak jest dla mnie ratunek? Co bym zrobił? Czy dałbym sobie zmienić mózg, jeśli by to oznaczało, że zacząłbym rozpoznawać ludzi tak jak wszyscy?

Zrobiłbym to?

Analizuję sytuację w myślach, próbuję sobie wyobrazić, jak coś takiego mogłoby mnie zmienić.

Bo już nie byłbym sobą, prawda? Przecież odkąd sięgam pamięcią, tak właśnie znajduję ludzi: obserwując ich, ucząc się ich cech charakterystycznych.

Ja po prostu nie wiem, jak to jest widzieć świat tak jak inni. Może nie poznaję własnego odbicia w lustrze, może nie potrafię dokładnie opisać, jak wyglądam, ale myślę, że bez prozopagnozji nie znałbym siebie tak dobrze jak teraz. To samo tyczy się moich rodziców, braci, kolegów oraz Libby. Chodzi o szczegóły, które się na nich składają. Oni patrzą na siebie i widzą to samo, ja muszę się bardziej napracować, żeby zobaczyć to, co kryje się poza twarzą. Zupełnie jakbym rozbierał każdą osobę na części, a potem składał ją z powrotem w taki sam sposób, w jaki zbudowałem Podłobójcę dla Dusty'ego.

To jestem ja.

Czy to czyni mnie wyjątkowym? Może trochę. Muszę cholernie się napracować, żeby nauczyć się wszystkich, i nawet jeśli pomaga mi w tym kolor skóry albo włosów, to wiem, że ich właściciele są dla mnie czymś więcej. Nie chodzi o takie proste detale, ale o to, jak ich twarz się rozpromienia, gdy się śmieją, sposób, w jaki się poruszają, gdy idą w twoją stronę, albo jak ich piegi tworzą mapy gwiazd.



Docieram do skraju parku, okutana w kurtkę, z szalikiem naciągniętym na brodę, kiedy podjeżdża rdzawy land rover. Zatrzymuje się na środku drogi, kierowca zostawia włączony silnik, wysiada i rusza w moją stronę. To Jack Masselin.

– Co ty tu robisz?

– Twój tata powiedział, że cię tu znajdę. Jezu, ale zimno. Naprawdę chcesz wracać pieszo do domu?

– Co. Ty. Tu. Robisz? – mówię, wolniej i głośniejsze.

– Słuchaj, przepraszam, że ci nie powiedziałem, gdzie mieszkam, i nie wspomniałem, że widziałem, jak cię wyciągali. Powinienem był to zrobić, masz prawo być na mnie wkurzona.

– Tak, powinienes.

– Wiem, to był błąd z mojej strony. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym teraz coś powiedzieć. Później możemy wrócić do tamtej kwestii i możesz mnie opieprzyć z góry na dół.

– Co chciałbyś powiedzieć?

– Tylko ciebie widzę.

– Co?

– Tylko ciebie, Libby. Ciebie.

– Nie rozumiem.

– Widzę cię. Pamiętam. Poznaje.

Macham ręką, pokazując na moją sylwetkę.

– Przecież nie cierpisz na ślepotę wagi.

– Chryste, kobieto! Posłuchaj mnie uważnie.

– No co? Wykorzystujesz cechy charakterystyczne ludzi, żeby ich odróżnić. Moją cechą jest waga.

– Twoją cechą jesteś ty. Pamiętam twoje oczy. Usta. Piegi na policzkach, przypominające gwiazdozbiory. Znam twoje uśmiechy, co najmniej trzy różne, i co najmniej osiem min, w tym taką, którą robisz tylko oczami. Gdybym potrafił rysować, narysowałbym twój portret, i wcale nie musiałbym przy tym na ciebie patrzeć. Ponieważ twoja twarz tkwi w mojej pamięci.

A potem zamyka oczy i opisuje mój wygląd w sposób, z jakim się jeszcze nie

spotkałam. Słucham, a serce mi wali jak oszalałe, bo wiem, że nigdy tego nie zapomnę, nawet za pięćdziesiąt lat.

Jack podnosi powieki i mówi:

– Wiem, jak się poruszasz. Jak na mnie patrzysz. Wiem, że mnie widzisz, bo tylko ty patrzysz na mnie w taki sposób. Czy jestem obok ciebie, czy gdzieś daleko, nie muszę o tym myśleć, nie muszę składać wszystkich elementów w całość. Ty to ty.

– Ale to nie znaczy, że się we mnie zakochałeś... to, że mnie widzisz.

Unosi wysoko brwi i się śmieje.

– A kto mówi o zakochaniu?

Chciałabym zapaść się pod ziemię.

– Gdybym jednak – hipotetycznie – był w tobie zakochany, to nie dlatego, że cię widzę i myślę: „No dobra, skoro już ją widzę, to równie dobrze mogę się w niej zakochać”. Jestem pewien, że widzę cię, ponieważ się w tobie zakochałem. I pewnie się zakochałem, ponieważ cię widzę, całą twoją niesamowitość.

Czekam, aż doda „hipotetycznie”, ale on tylko na mnie patrzy.

Ja też patrzę na niego.

To romantyczna chwila.

Trwa kilka sekund, a może minut.

Zasłaniam nos szalikiem, najchętniej naciągnęłabym go sobie na głowę.

– Proszę.

Podaje mi jakiś przedmiot, obracam go w palcach i widzę, że to magnes. „Witajcie w Ohio”.

Początkowo nie rozumiem, dlaczego daje mi coś takiego. Przecież nigdy nie byliśmy razem w Ohio. Byłam tam tylko raz.

Wieki temu.

Z rodzicami.

Nagle wracam wspomnieniami do mojego domu, do dnia, w którym mama przyczepiła go do lodówki.

– Zapełnimy ją magnesami ze wszystkich miejsc, które odwiedzimy – powiedziała.

– Może Ohio nie jest zbyt egzotyczne, ale kiedyś spojrzysz na magnes i pomyślisz: „Od niego wszystko się zaczęło”.

– Nie powinienem był go brać.

– Brać?

– Z twojego domu. Wróciłem wtedy, żeby się dowiedzieć czegoś więcej na twój temat. Napomniałem strażnika, żeby lepiej pilnował, bo jeszcze was okradną.

– Ale najpierw ukradłeś magnes.

– I książkę. Tę, którą ci wysłałem.

– Dlaczego go zatrzymałeś?

– Przypominał mi ciebie.

– Ale ty jesteś cikliwy.

Jack się śmieje i pociera brodę.

– Chyba tak.

– To nic. – Mój głos jest przytłumiony przez szalik. Zaciskam palce na magnesie.

Wiem, że to głupie, ale myślę: „Mama go trzymała, ona na nim jest”. – Cieszę się, że go wzięłaś.

Od niego wszystko się zaczęło.

– Libby Strout. – Jack jest poważny, chyba nigdy jeszcze taki nie był. – Jesteś chciana – mówi.

A potem odsuwa szalik.

Ujmuje moją twarz w dłonie, delikatnie, ostrożnie, jakby to był rzadki i cenny klejnot.

I mnie całuje.

To najlepszy pocałunek w moim życiu, co – z czego zdaję sobie sprawę – nic nie znaczy w obliczu mojego braku doświadczenia. Ale to jeden z tych pocałunków, które zmieniają świat. Jestem pewna, że mógłby konkurować z każdym innym pocałunkiem w historii. Mam wrażenie, że Jack oddycha za mnie, a może oboje oddychamy za siebie nawzajem. Stapiamy się ze sobą, moje kości, mięśnie i skóra topnieją, zostają tylko wyładowania elektryczne. Mglistoszare wczesnoporanne niebo przeradza się w nocny nieboskłon. Gwiazdy są wszędzie, czuję, że mogłabym je zdjąć i zabrać do domu, a może nawet wpleść sobie we włosy.

Nie mam pojęcia, kto odsuwa się pierwszy, może on, a może ja. Stoimy, dotykając się czołami, jestem za to wdzięczna, ponieważ w duchu aż piszczę: „O mój Boże! Przecież to Jack Masselin!”. I nie chodzi o podziw, raczej o zakłopotanie, ponieważ znam tego chłopaka bardziej niż innych, a on zna mnie tak dobrze.

W końcu nasze głowy się prostują, nasze oczy się odnajdują i nie muszę się zastanawiać, jak on mnie widzi, ponieważ dostrzegam swoje odbicie w jego źrenicach, jakby mnie przechowywał i wszędzie ze sobą zabierał.

– Hmm – mówi i wypuszcza powietrze, jakby przez cały ten czas wstrzymywał oddech.

– Właśnie. – Staram się być zabawna, ponieważ to dla mnie zupełnie nowy świat, nadal próbuję się w nim odnaleźć. – Ale jakoś ziemia nie drgnęła w posadach – dorzucam. Głos mi drży, troszeczkę.

Tak naprawdę jednak drgnęła. I to jeszcze jak.

To się dzieje, zmieniamy świat, jego i mój.

Mam wrażenie, że moje ciało jest jednym nerwem sięgającym od palców stóp do czubka głowy. Moje serce się otwiera jak serce córki Rappacciniego, Beatrice, gdy spotkała młodego Giovanniego, który trafił do jej ogrodu. Stoję i czuję, jak się rozchyła, płatek po płatku, uderzenie po uderzeniu.



– Kocham cię – mówię.

– Ja też cię kocham – odpowiada i się śmieje. – To trochę szaleństwo. No bo... ty?

– Wiem. Jakim cudem?

Zakrywa usta dłonią, ale oczy jej błyszczą.

Przychodzi mi na myśl połać trawy w letni dzień. Przychodzi mi na myśl słońce i ciepło bijące z zewnątrz i ze środka.

Chwytam ją za rękę pod szaroniebieskim niebem i czuję, że jestem w domu.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść pochodzi prosto z mojego serca, jest wynikiem mojej własnej straty, strachu i cierpienia, zawdzięczam ją bliskim mi osobom. To oni – a wraz z nimi wielu innych – podtrzymują mój wszechświat. Bez nich nie byłabym w stanie napisać tej książki.

Przede wszystkim dziękuję wszystkim moim czytelnikom z całego świata, którzy stali się moją jedną wielką rodziną. Macie moje wielkie i dozgonne uwielbienie.

Dziękuję mojej wyjątkowej agentce, Kerry Sparks, najmądrzejszej, najbardziej obrotnej i wspaniałej istocie ludzkiej zamieszkującej tę planetę, osobie, która zawsze, ale to zawsze się o mnie troszczy. Dziękuję również całej ekipie z agencji literackiej Levine Greenberg Rostan Literary Agency. To Wy zamieniliście mój czarno-biały świat na technikolor.

Jestem wdzięczna mojej precudownej redaktorce, Allison Wortche, i jej niezrównanej intuicji. Ta kobieta nie trzyma w ręku czerwonego długopisu, ale magiczną różdżkę. Wyrazy wdzięczności kieruję także pod adresem mojego wspaniałego redaktora edycji brytyjskiej, genialnego Bena Horslena.

Dziękuję wszystkim z Knopf, Random House Children's Books oraz Penguin UK za okazaną dobroć, wsparcie i niesamowitą wiarę w moją osobę. Jesteście najlepsi z najlepszych. Wielkie dzięki kieruję także pod adresem następujących osób: Barbary Marcus, Jenny Brown, Melanie Nolan, Dominique Ciminy, Jillian Vandall, Karen Greenberg, Kim Lauber, Laury Antonacci, Pam White, Jocelyn Lange, Zacka O'Brien, Barbary Perris, Alison Impey, Stephanie Moss, Rosamund Hutchison oraz Clare Kelly. Dziękuję również Davidowi Drummondowi za absolutnie rewelacyjną okładkę.

Dziękuję gorąco mojej fantastycznej asystentce, Brianie Bailey, za to, jaka jest i co robi, a także niesamowitej Shelby Padgett (która – przysięgam – jest po części czarodziejką) oraz cudownej Larze Yacoubian. Ściskam także Letty Lopez oraz wszystkich autorów, redaktorów, wydawców i dyrektorów Germ Magazine, ze szczególnym uwzględnieniem Briany, Shelby oraz Jordan Gripenwaldt. Jestem dumna ze wszystkiego, co razem robimy.

Co prawda nie trzeba było mnie wyciągać z mojego własnego domu jak Libby, jednak przez lata – zwłaszcza gdy byłam w wieku mojej bohaterki – zmagalam się z nadwagą i stanami lękowymi. Wiem, jak to jest być prześladowanym przez rówieśników. Pisząc, bazowałam nie tylko na własnych doświadczeniach, ale i na przeżyciach moich krewnych i przyjaciół, którzy również dobrze wiedzą, przez co Libby musiała przechodzić.

Nie cierpię na prozopagnozę, jednak mam w rodzinie osoby, które dotknęła ta przypadłość. Mój nastoletni kuzyn nauczył się rozpoznawać ludzi nie po twarzach, ale po innych ważnych czynnikach, na przykład „po tym, jacy są mili albo ile mają piegów”. To on pomógł mi zobaczyć świat swoimi oczami.

Ogromne dzięki dla niesamowitego – prozopagnostycznego – Jacoba Hodesa, który bardzo uważnie przeczytał moją książkę, a następnie miał dla mnie kluczowe uwagi na temat tego, co jest skuteczne, a co nie. Dzięki jego bezcennym wskazówkom Jack jest bardziej autentyczny.

Wyrazy wdzięczności kieruję także pod adresem Prosopagnosia Research Centers i dr. Brada Duchaine'a z wydziału nauk psychologicznych i nauk o mózgu w Dartmouth College – za wielką pomoc i wspaniałomyślność. Dr Duchaine wraz z dr. Irvingiem Biedermanem, profesorem neurologii i psychologii na University of Southern California, cierpliwie odpowiadali na moje niezliczone pytania.

Wiele zawdzięczam Chuckowi Close'owi i Oliverowi Sacksowi, których książki i artykuły były dla mnie źródłem inspiracji oraz informacji; a także członkom grupy Yahoo Face Blindness–Prosopagnosia, dzięki którym dowiedziałam się wiele na temat tego zaburzenia.

Dziękuję dr. Williamowi Rice'owi III z Wake Forest Baptist Medical Center za podzielenie się ze mną wiedzą medyczną oraz mojemu cudownemu kuzynowi, Learynowi von Spreckenowi, błyskotliwemu inżynierowi, który pomógł mnie i Jackowi w tworzeniu obłądnych projektów.

Wyrazy wdzięczności kieruję także pod adresem:

Moich pierwszych czytelników, którymi byli Louis Kapeleris, Angelo Surmelis, Garen Thomas, Nic Stone, Becky Albertalli, oraz wielkiej fanki *Wszystkich jasnych miejsc* Margaret Harrison, której tekst na okładkę *Podtrzymując wszechświat* brzmiałby zapewne tak: „Prawdę powiedziawszy, po *Wszystkich jasnych miejscach* spodziewałam się, że na ostatniej stronie kogoś potraci ciężarówka. Cieszę się, że tak się nie stało”. A także innej autorki książek YA, mojej idolki i przyjaciółki Kerry Kletter. To fantastyczna autorka, ale i świetna redaktorka. Pojawiła się obok mnie w jednym z kluczowych momentów podczas pisania tej książki i do końca tkwiła u mojego boku, oferując mi przyjaźń, trzymając mnie za rękę i dokonując na ostatnią chwilę najlepszych poprawek, jakie mógłby sobie wymarzyć wyczerpany autor. Będę Cię zawsze uwielbiać za to, co dałaś Jackowi, Libby i mnie.

Innych zaprzyjaźnionych autorów młodzieżowych – za nieustanne towarzystwo i inspirację, a także wszystkich księgarzy, bibliotekarzy, nauczycieli i blogerów, których poznałam w ciągu ostatnich dwóch lat. Jesteście boscy, żadne słowa nie oddadzą tego, co dla mnie zrobiliście.

Zespołu Jackson 5 za dotrzymywanie mi towarzystwa podczas pisania. Sama, Deana i wszystkich istot nie z tego świata, którzy pomagali mi się zrelaksować po długim dniu pracy, a także utalentowanego Jacka Robinsona za napisanie mojej ukochanej piosenki wszech czasów – *I Love to Love* – i wspaniałomyślną zgodę na wykorzystanie jej tekstu w książce.

Mojej rodziny i przyjaciół z daleka i z bliska, a zwłaszcza Louisa, Angelo, Eda Barana oraz moich literackich kociaków – bez was nie przeżyłabym tych ostatnich dwóch lat.

Ta książka jest dla mojego stoickiego, cudownego taty, który ciągle kazał mi ściszać muzykę (ale który zbudował dla mnie najlepszy – i największy – zestaw stereo na

świecie).

A także dla mamy, która podarowała mi buty do tańczenia i towarzyszące im słowa. To ona nauczyła mnie wchodzić w skórę innych, dała mi do zrozumienia, że mogę być, kim chcę, i robić, co zechcę. Dzięki niej wiedziałam, że jestem chciana. *Podtrzymując wszechświat* to pierwsza moja książka, której mama już nie przeczyta, ale Wy ją przeczytaliście, a to dla mnie znaczy naprawdę wiele.

Fot. © Louis Kapeleris



JENNIFER NIVEN

jest autorką bestsellerowej powieści *Wszystkie jasne miejsca*, a także czterech powieści dla dorosłych czytelników, trzech książek niebeletrystycznych oraz scenariusza do filmu na podstawie *Wszystkich jasnych miejsc*. Założyła Germ Magazine, internetowy magazyn literacko-obyczajowy dla licealistów i studentów. Pisarka dorastała w Indianie, obecnie mieszka w Los Angeles.

Więcej informacji na stronie JenniferNiven.com, GermMagazine.com, a także w mediach społecznościowych, gdzie autorka chętnie rozmawia z czytelnikami.

„Nigdy dotąd nie polubiłem bohaterów książkowych tak bardzo, jak polubiłem Libby i Jacka. *Podtrzymując wszechświat* pięknie przypomina, jak ważne jest, by podchodzić do innych ze zrozumieniem”.

Jay Asher, autor *13 powodów*

„Wspaniale napisana i jakże prawdziwa, a do tego wprowadza parę bohaterów, którzy już zawsze będą należeli do moich ulubionych. Każdy czytelnik zakocha się w Libby Strout!”

Nicola Yoon, autorka *Ponad wszystko*



PODTRZYMUJĄC WSZECHŚWIAT

Wszystkim się wydaje, że dobrze znają Libby, dziewczynę kiedyś zwaną „najgrubszą nastolatką w Ameryce”. Nikt jednak nie zadaje sobie trudu, żeby poznać ją tak naprawdę. Po śmierci mamy Libby zajądała się w czterech ścianach swojego domu w towarzystwie załamane go ojca i własnego smutku. Teraz wraca do szkoły, jest gotowa na nowych przyjaciół, miłość, na wszystko, co życie ma jej do zaoferowania.

Wszystkim się wydaje, że dobrze znają Jacka. Owszem, to popularny i lubiany uczeń, ale i osoba, która nauczyła się nie rzucać w oczy. Jack potrafi zaprojektować i zbudować niemal wszystko, ale nie jest w stanie zrozumieć, jak działają trybiki jego własnego mózgu. Nikt nie zna wielkiego sekretu Jacka: chłopak nie rozpoznaje twarzy, nawet rodzeni bracia wyglądają dla niego jak obcy ludzie.

Jack i Libby, połączeni okrutną licealną zabawą, spotykają się na szkolnej terapii. Oboje są wściekli, lecz złość powoli zmienia się w zainteresowanie. Odkrywają, że im więcej czasu spędzają ze sobą, tym mniej czują się samotni i niepotrzebni.

Przejmująca, pełna prawdy historia o poszukiwaniu akceptacji i miłości



www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku



Wyłączny
dystrybutor

